

ZIEMIA W OGNIU

KSIĘGA 2 SERII WSCHÓD ZIEMI



DANIEL ARENSEN

USA TODAY BESTSELLER



DANIEL ARENSON

**ZIEMIA
W OGNIU**

KSIĘGA 2 SERII WSCHÓD ZIEMI

OŚWIĘCIM 2019

Tytuł oryginału
Earth Lost: Earthrise Book 2
Copyright © 2016 by Daniel Arenson
All rights reserved
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Tłumaczenie:
Marta Słońska
Redakcja:
Paweł Gryzta
Korekta:
Dariusz Marszałek
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-065-0

Skład wersji elektronicznej: Kamil Raczyński

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Przypisy



ROZDZIAŁ 1

Coś czai się w ciemnościach. Coś mnie śledzi.

Kara szła przed siebie ulicami Corpus City pod krwawiącym niebem. Niebo zawsze tu krwawiło; zawsze cuchnęło śmiercią. Corpus, ten niegościnnie księżyc, krążył po orbicie gazowego olbrzyma, który przesłaniał gwiazdy, pochłaniał nieboskłon, kłębił się, bulgotał i buchał oparami. Cały czerwony, pokryty smugami czerni i żółtymi plamami, wyglądał, jakby zaraz miał ją zmiażdżyć. Ilekroć Kara spoglądała w górę pomiędzy żelaznymi wieżami, kopułami rafinerii i dymiącymi kominami, zdawało jej się, że znajduje się w brzuchu jakiejś bestii, pokrytym od środka ropiejącymi wrzodami.

– Mamusiu – wyszeptał jej syn. – Mamusiu, słyszę to. Za nami. W cieniu. – Chłopiec wskazał palcem. – Widzę to.

Kara spojrzała w głąb zaułka. Wydłużone, powykrzywiane cienie majaczące pomiędzy rurami i pokrytymi sadzą ścianami rafinerii zdawały się ich obserwować.

– To tylko cienie, skarbie – powiedziała. – Tylko twoja wyobraźnia.

Ale ona też to czuła. Też to słyszała. Stukot. Brzęk. Syk ściszonego oddechu. Wiedziała, że to tylko klekot starych rur i para wydobywająca się z trzewi miasta, z kopalń wydrążonych głęboko pod powierzchnią tego świata, gdzie silniki nigdy nie przestają dudnić, a wiertła wciąż zanurzają się coraz głębiej i głębiej.

Kara wciąż szła przed siebie, trzymając dzieci za ręce. Po prawej jej syn, odważny i cichy siedmiolatek; po lewej córka, zaledwie trzyletnia, niemal zbyt mała, by za nimi nadążyć; a w brzuchu jej trzecie dziecko, wciąż tak maleńkie, wywołujące w niej mdłości i poczucie winy. Jak mogła sprowadzać kolejne niemowlę na ten świat, na Corpus, tę nędzną kolonię górniczą oddaloną o tak wiele lat świetlnych od Ziemi? Jak mogła skazywać je na życie w świecie, gdzie niebo krwawi, każdy kąt spowijają cienie i nigdy nie widać gwiazd ani słońca?

Kara nie chciała się tu przeprowadzać. Tęskniła za Ziemią. Ledwie pamiętała drzewa, fale i błękitne niebo, ale i tak tęskniła. Sprowadził ich tu jej mąż, górnik. Był twardym człowiekiem, przytłoczonym wspomnieniami ubóstwa i przekonany, że jego zachłanność ma się przysłużyć wyłącznie jego rodzinie, nigdy jemu samemu. Wierzył, że jeśli tylko dokopie się dość głęboko i wydobędzie wystarczająco dużo eterytu – cennego surowca

kryjącego się tu pośród mroku – wzbogacą się na tyle, aby powrócić na Ziemię i resztę swoich dni przeżyć szczęśliwie i dostatnio. Jednak Kara nie dbała o bogactwa. Mogłaby mieszkać choćby w jaskini, byle tylko móc wyrzeć na zewnątrz i zobaczyć gwiazdy, odetchnąć powietrzem nieprzesiąkniętym smrodem spalin, przytulić się do męża, który nie byłby wysmarowany brudem i sadzą.

„A jednak przyleciałam tu razem z nim – myślała, krocząc labiryntem uliczek górniczej kolonii. – Przyleciałam, żeby nasza rodzina się nie rozpadła, ale teraz sama jestem w rozsypce”.

– Mamusiu – odezwała się jej córka. – Mamusiu, to coś się zbliża.

– Nic tam nie ma! – odparła Kara zbyt głośno, zbyt surowo.

Dziewczynka zaczęła płakać, jednak Kara nie miała odwagi się zatrzymać, aby ją pocieszyć. Szła wciąż naprzód, jeszcze szybciej, ściskając dłonie swoich dzieci, coraz bardziej zagłębiając się w miasto. Światła wokół zamigotały, po czym zgasły. Uliczne latarnie, jasno oświetlone okna, neony – wszystkie wyzionęły ducha. Świat zatonął w mroku. Gazowy olbrzym w górze przybrał intensywniejszy odcień czerwieni, roztaczając nad kolonią krwawą poświatę. Miasto zdawało się kurczyć i wyglądało, jakby szkarłatny baldachim miał lada moment je pochłonąć.

– Mamusiu – zakwilił jej syn.

– To tylko znowu nie ma prądu – odparła, idąc przed siebie. – Tak, jak w zeszłym tygodniu.

Ostatnio zdawało się, że co tydzień światła na Corpusie migotały i gasły. Kara w rozmowie z mężem wspomniała, jaka to ironia losu, że górnicy wydobywający eteryt, najcenniejsze źródło energii w całym kosmosie, tak często nie mają prądu. Roześmiał się i powiedział, że szewc najczęściej chodzi bez butów. Nie będzie mu do śmiechu, kiedy Kara znów się z nim zobaczy. Zażąda, żeby opuścili Corpus, wrócili na Ziemię i zapomnieli o tym księżycu, tym kawałku skały, tym piekle, w którym światła wciąż gasną, niebo krwawi, a w cieniach przemykają jakieś stworzenia.

– Mamusiu, to coś jest za nami! – Córka mocniej ścisnęła ją za rękę. – Mamusiu, patrzy na mnie.

– Nic tam... – zaczęła Kara, odwracając się, i nagle umilkła.

Za nią, w cieniu. Para białych ślepi. Wpatrywały się w nią przez chwilę, po czym rozplynęły w ciemności.

Jakaś istota skryta w mroku.

Kara energicznie potrząsnęła głową, odpędzając od siebie wspomnienie opowieści, które górnicy opowiadali nocami swoim żonom.

Obserwują nas. Śledzą. Przyglądają się.

Wtedy, pośród cieni... Syk. Tupot. Stuk. Stuk. Stuk.

Kara odwróciła się i sztywnym krokiem podjęła marsz, trzymając dzieci za ręce. Szły

obok w milczeniu, przyspieszając kroku. Za ich plecami wciąż słychać było stukot i zgrzytanie, jakby wiele stóp skrobało o kamień, i ten syk. Kara nie miała odwagi się odwrócić ani puścić biegiem, aby stworzenie nie zorientowało się, że zostało zauważone.

Śledzi nas.

Nie. Bzdury! To wszystko wymyśli. Legendy. Straszne historie.

Ale Kara czuła zapach tego stworzenia. Boże, jak ono cuchnęło. To nie był smród sadzy, popiołu ani dymu, tylko organiczna woń rozkładu, przywodząca na myśl dżdżownice po deszczu i sączącą się ropę.

– Chcę do domu – wyszeptała jej córka. – Proszę.

Ale gdzie był ich dom? Kara nie umiała znaleźć drogi. Choć spędziła już trzy lata na tym odległym świecie, wciąż gubiła się w labiryncie uliczek, a w ciemności straciła wszelką zdolność orientacji. Przyspieszyła kroku, próbując odnaleźć znajomą ścieżkę albo jakiś punkt orientacyjny, ale poszarpane krawędzie budynków wszędzie wyglądały tak samo, a na ulicach nie było widać żywej duszy. Miasto liczyło sobie dwadzieścia tysięcy mieszkańców, ale ci przemykali tylko w oddali jak cienie, otuleni płaszczami, i kryli się w domach, czekając, aż wróci prąd, a z nim ciepło i światło. Muzyka. Elektroniczne urządzenia, pozwalające zająć czymś myśli. Kolory i dźwięki, które pomagały stłumić strach.

Kara zaczęła biec. Stukot za nią przybrał na sile, a potem zobaczyła w górze ślepie – przyglądały jej się z dachu, po czym znowu zniknęły. Tupanie rozbrzmiewało teraz bliżej. Nie mogła złapać tchu. Załomotała w drzwi, błagając kryjącą się w czarnym domu osobę, kimkolwiek była, aby wpuściła ją do środka, ale jej prośby pozostały bez odpowiedzi. Pobieгла dalej, jednak znajdowała się w dzielnicy emigrantów, pracowników, którzy przybyli tu bez rodzin i obecnie wszyscy przebywali pod ziemią, kopiąc w poszukiwaniu eterytu, drążąc zbyt głęboko, budząc to, co kryło się w czeluściach.

Biegła, a stworzenie podążało za nią, skacząc od budynku do budynku niczym pasmo mroku w szkarłacie nocy. Szpony ryły metal i kamień, drapiąc je i dziurawiąc. Spojrzenie białych ślepi podążało za nią. Stwór syczał, ślinił się, wołał ją.

Chodź do mnie, Kara.

Przyjdź do mnie tak, jak przyszedł do niego.

Bądź z nami.

Bądź nami.

Daj nam.

Kara biegła ze łzami w oczach, ciągnąc za sobą dzieci, i wiedziała, że ten mroczny bóg pragnął ich, chciał ofiary, tak, jak Bóg Ziemi, który zażądał, aby złożyć mu w ofierze Izaaka na szczycie góry. Ona jednak nie wypełni woli tego pradawnego bóstwa kopalń. Oprze mu się. Ucieknie. Załomotała w kolejne drzwi, bezskutecznie błagając, aby wpuszczono ją do środka. Pobieгла w stronę mężczyzny, którego ujrzała pośród cieni, on jednak uciekł. Wokół była tylko ciemność i labirynt krętych uliczek. Nad nią zwieszały się rury, z których kapala

woda – nie, krew. Niebo wciąż jak okiem sięgnąć burzyło się, zatapiając ją w krwawym wirze, a stworzenie zanosilo się śmiechem brzmiącym jak zardzewiałe wiertła z trzaskiem kruszące kamień.

Trzaski. Kamień. Ciemność.

Wszyscy byli pod ziemią. Jej mąż. Pozostali mężczyźni. Kilka innych kobiet na tyle głupich, aby tutaj przybyć. Wszyscy przedzierali się przez mrok, z dala od nieba, w poszukiwaniu surowca, piachu, pyłu, cennych niebieskich kryształów o tysiącu nazw, skarbu, który pozwolił ludzkości wyruszyć do gwiazd. Tutaj jednak gwiazd nie było. Nigdy nie powinni byli tu przylecieć, do tego cuchnącego, żelaznego ula, w którym nocami coś wychodziło na łowy.

Pod ziemią.

Syk.

Skrobanie.

Kara...

– Mamusiu!

– Pod ziemią – wyszeptała.

Zobaczyła przed sobą łuk bramy prowadzącej do tunelu, do kopalni, do górników, w głąb tego skalistego globu zawieszzonego pod krwistoczerwoną planetą. Kara wraz z dziećmi puściła się biegiem i zanurkowała w ciemność. Słyszała kroki licznych stóp podążającego za nią cienia, szpony drapiące o kamień. Syk stawał się coraz głośniejszy, smród przybierał na sile. W tunelu migotało tylko kilka rozrzuconych z rzadka lamp, napędzanych zapasowym generatorem, które mrugały i bzyczały niczym chmara owadów. W górze wiły się rury, w dole biegły szyny. Kara gnała przed siebie razem z dziećmi, tutaj też natrafiając na labirynt przejść, węższych, ciemniejszych, bijących chłodem. Pod ziemią było tak zimno.

– Hej! – zawołała, a jej krzyk poniósł się echem przez tunele i powrócił, drwiąc z niej, śmiejąc jej się w twarz. Odpowiedział mu tysiąc syczących głosów. Były wszędzie. Było ich tu pełno.

Kara odwróciła się gwałtownie i wtedy go zobaczyła. Stwór zbliżał się do niej tunelem, a jego długie, pokryte szponami ciało unosiło się niczym kobra gotowa do ataku. Mówił do niej w myślach.

Kara. Kara... Daj je nam... Wielb nas... Złóż je w ofierze na naszą chwałę...

Odwróciła się i pobiegła przed siebie w poszukiwaniu męża. Tunel rozgałęział się, więc wybrała odnogę na chybił trafił, potem kolejną, a wszystkie korytarze wiły się i niebawem stały się tak wąskie, że ledwie była w stanie się poruszać. Ścisnęła dłonie dzieci, które z płaczem biegły u jej boku. Zgubili się. Zmylili drogę w ciemności. Byli tu uwięzieni. To nie były ścieżki przeznaczone dla górników; musiała skręcić w złą stronę. Popęłniła błąd. Nie powinna była nigdy postawić tu stopy – w tej kopalni, na tym księżycu, pośród tego koszmaru. Pałace łzy popłynęły jej po policzkach. Zawołała raz jeszcze, o pomoc, o łaskę,

ale echo jej głosu odpowiedziało jedynie drwiącym śmiechem. Upadła na kolana.

Dzieci przytuliły się do niej.

Wszędzie wokół niej wznosiły się rury, maszyny i silniki. Dotarła do maszynowni, podziemnego miasta, którego kręte wieże wznosiły się ku kamiennemu sklepieniu niczym ogromne stalagmity z metalu, buchając kłębamii pary i siarki, a od bulgoczących kotłów bił niezdrowy, złoty blask. Znajdowała się w wysokiej, zagraconej hali, przypominającej grobowiec jakiegoś starożytnego władcy wydrążony we wnętrzu góry. Teraz będzie to jej grobowiec.

Stworzenie pełzło poprzez cienie, wyciągając ku niej szpony – tak wiele szponów, całe rzędy. Kara odsunęła się, tuląc do siebie zapłakane dzieci.

– Kara?

Zbliżyło się do niej światło, a wraz z nim jakiś cień.

Kara zamrugła i odetchnęła z ulgą.

– Tom!

Jej mąż podszedł bliżej, marszcząc brwi. Światło pochodziło z latarki przymocowanej do jego kasku. Szeroką twarz i szorstkie dłonie pokryte miał sadzą. Zbliżył się pospiesznie, odganiając cienie.

Kara obejrzała się na stworzenie.

Zniknęło.

Jeszcze raz odetchnęła z ulgą.

– To tylko sen – wymamrotała. – Tylko moja wyobraźnia.

Mąż wpatrywał się w nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Kara, nic ci nie jest? Co się stało?

Wstała, a syn wyrwał się z jej uścisku i pobiegł w stronę ojca.

– Tatusiu! – Rzucił się w objęcia górnika. – Tam był potwór.

Tom uśmiechnął się i wziął chłopca w swoje silne ramiona.

– Tata już tu jest. Przegonił potwora i...

Szpon z mdlącym trzaskiem przebił pierś Toma na wylot.

Kara krzyknęła.

Chłopiec wypadł z objęć ojca, a szpony pochwyciły go i rozszarpały, zrywając mięso z kości i z trzaskiem otwierając klatkę piersiową, po czym zawlekły ojca i syna w ciemność, aby ich pożreć. W tej samej chwili wrócił prąd i silniki obudziły się do życia, brzęcząc, szcękając, buchając oparami i z chrzęstem metalu krusząc kamień.

– Tatusiu! – krzyknęła ich córka, wyciągając rękę w stronę ojca, ale Kara złapała ją, zatkała jej usta dłonią i zerwała się do biegu.

„Nie żyją. – Płakała. – Nie żyją. Nie żyją. Ale moja córka żyje. Dziecko w moim brzuchu żyje. Ja żyję. Musimy przetrwać. Musimy przetrwać”.

Podczas gdy stworzenie się pożywiało, Kara zaciągnęła córkę pomiędzy rury, za silnik,

gdzie przywarła do ściany, dygocząc i szlochając. Jej syn martwy, przenikliwy chłód w sercu, jej syn wydarty, rozszarpany, jej mąż martwy, rozczłonkowany, pożarty. Wciąż słyszała te dźwięki – rozrywane ciało, łamane kości, mlaskanie. Wciąż czuła ten smród. Obrazy wciąż raz za razem przewijały się jej przed oczami. Jej mąż. Jej syn. Martwi. Martwi. W kawałkach. Utraceni. To nie mogło się dziać naprawdę. To musiał być zły sen, jeden z tych koszmarów, w których błądziła w labiryncie, błądziła w swoim życiu, szukając wyjścia. Niedługo obudzi się we własnym łóżku, w przesiąkniętej potem pościeli, rozgrzana mimo panującego w pokoju zimna, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Niedługo obróci się i zastanie u swego boku męża, a syn wskoczy im do łóżka.

Szpony znów zachrobotały.

Słyszała, jak się zbliża, parszkając, oblizując się, mieląc językiem. Cienie tańczyły.

– Ka...ra...

Nie była pewna, czy słyszy jego głos w swojej głowie, czy stworzenie naprawdę mówi, czy to tylko wyobraźnia płata jej figle. Przyłgnęła do ściany, skryta za rurami i pracującymi silnikami. Wciąż słyszała jego oddech. Słyszała, jak węszy. Węszy za nią.

– Ka...ra...

Zbliżał się. Zbliżał. Ociekał krwią. Zobaczyła pod rurami jego odnóża, parę za parą, poruszające się w jednym rytmie; ogromna stonoga, obcy, bóg. Rozpoznała go. Nazywali je *scolopendra titania*. Nazywali je wijcami. Jeden z roju, jeden z tych, którzy pięćdziesiąt lat temu doprowadzili Ziemię do ruiny, którzy czaili się w cieniu i żądali ludzkiego mięsa na pożarcie, którzy odebrali jej męża. Odebrali jej syna.

– Mamu... – zaczęła jej córka, a stworzenie gwałtownie obróciło się w ich stronę. Kara zasłoniła dłonią usta dziewczynki, uciszając ją. Trzymała dziecko w objęciach, niemal je miażdżąc.

Stworzenie zbliżyło się i nachyliło w dół. Pod rury wsunęły się podobne do drutu czułki, macając i węsząc. Słyszała jego głos w swojej głowie.

Gdzie jesteś, Kara? Gdzie jesteś, mój słodki kawałku mięska?

Skuliła się. Córka wierciła się i rzucała, krzycząc w jej dłoń, ale Kara trzymała mocno, zatykając dziewczynce usta, aby ją uciszyć, dusząc, nie pozwalając zaczerpnąć tchu.

„Nie krzycz. Nie krzycz. Nie oddychaj. Bądź cicho. Nie płacz. Nie jęcz. Nawet nie oddychaj. Nie krzycz”.

Stworzenie zaczęło się oddalać w stronę innego silnika, a Kara zadrżała, ale nie wypuściła córki z uścisku, wciąż zasłaniając jej usta dłonią.

„Bądź cicho. Nie krzycz. Nie jęcz. Cicho, sza”.

Stworzenie oddaliło się, rozmazując za sobą krew jej syna.

Córka wierzgała, usiłując się uwolnić.

„Nie krzycz.

Bądź cicho.

Nawet nie oddychaj”.

Z wolna dziewczynka opadała z sił. Z wolna przestała się rzucać i zwiotczała, ale Kara wciąż trzymała ją mocno, zasłaniając jej usta, aby była cicho.

Stworzenie odeszło.

Wokół nich oddychała ciemność.

Znów zabrakło prądu, światła zgasły, silniki zamarły. W mrocznej otchłani migotało tylko jedno światełko – porzucona latarka jej męża, niczym samotna gwiazda na nocnym niebie.

Kara położyła córkę na ziemi, nieruchomą, cichą, złożoną w ofierze.

– Córeczko? – wyszeptwała. Potrząsnęła nią. Dziewczynka leżała bez ruchu, wpatrując się w ciemność pełnym wyrzutu spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

Kara zawyła.

Jej pełen żalu skowyt wypełnił otchłań i poniósł się echem przez kopalnię, rozbrzmiewając w ciemności, słyszalny dla każdego.

Stworzenie w jednej chwili odwróciło się i pognało w jej stronę na szponiastych odnóżach, dając susa naprzód. Potężna czarna skolopendra uniosła się przed nią. Była od niej dwa razy wyższa i miała trzydzieści sześć odnóży zakończonych ociekającymi jadem szponami. Bóg. Runęła w dół tak szybko, że Kara ledwie była w stanie dostrzec, jak się porusza. Pochwyciła jej córkę i żarłocznie wessała ciało do gardła, drżąc z rozkoszy.

Złożona w ofierze.

Uciszona.

Skowyt. Skowyt. Nie krzycz. Nawet nie oddychaj.

Kara skuliła się pod ścianą, gotowa do nich dołączyć, wypełnić brzuch bestii jak dziecko, które nosiła w sobie. Położyła dłonie na brzuchu i poczuła, jak chłopczyk kopie. Łzy popłynęły jej po policzkach.

Obcy zbliżył się i pochylił głowę nad jej nabrzmiętym brzuchem. Jego czułki dźgnęły ją jak igły próbujące pobrać wody płodowe, a żuwaczki otwarły się i zamknęły. Stworzenie zdawało się węszyć, oddychając głęboko. Głowę miało większą niż ona, nachyloną, pozbawioną oczu, i myślało. Nieustannie myślało.

Spojrzało na nią.

Ka...ra...bę...dziesz...na...mi...

Pełznąć, okrążyło ją i zwinęło się, oplatając ją niczym pyton. Nie przebiło jej szponami. Obchodziło się z nią delikatnie. Wzięło ją w objęcia i uniosło daleko od tego miejsca cuchnącego śmiercią, w głąb labiryntu, w głąb swojego terytorium. Uniosło ją w ciemność. Uniosło ją do domu.



ROZDZIAŁ 2

Ziemia została już daleko w tyle, niewiele większa od błękitnej kulki do gry, kiedy toporna rakieta zwróciła się w stronę połyskującego srebrzyście statku kosmicznego.

– No, to ja rozumiem – stwierdziła Addy. – Statek kosmiczny z prawdziwego zdarzenia. – Skinęła głową i tupnęła w podłogę. – Nie to, co ta kupa złomu.

– No, to akurat w ogóle nie jest statek kosmiczny – odparł Marco. – Siedzimy w solarnej rakiecie transportowej klasy Y67, służącej do podróżowania w obrębie Układu Słonecznego. Zawiezie cię na Księżyc, a nawet na Marsa, ale niewiele dalej. Statek kosmiczny to dużo bardziej zaawansowany środek transportu, wyposażony w silnik warp napędzany eterem i zdolny do pokonywania ogromnych odległości dzielących systemy gwiazdne. – Wskazał przez okno na drugą jednostkę. – Taki jak tamten.

– Nerd – rzuciła Addy.

W rakiecie siedziało pięćdziesięciu żołnierzy, jeden pluton. Kadłub był długi, a kolejne poziomy siedzeń układały się w kręgi wokół biegnącej przez środek drabiny, tworząc coś w rodzaju bardzo wąskiego i wysokiego Koloseum. Wszyscy mieli na sobie wyblakłe, oliwkowozielone mundury bojowe, a między kolanami trzymali swoje karabiny automatyczne T57. Marco większości z nich nie znał. Był to nowo sformowany pluton, złożony z żołnierzy wybranych specjalnie na misję w odległym zakątku wszechświata. Nazwali się Krukami – ten ptak wydał im się odpowiednim symbolem dla wyprawy w czerń kosmosu. Marco widział wokół siebie wiele surowych twarzy, jak również kilka łagodnych, a na większości z nich malował się strach. Nikt z obecnych nie wylatywał do tej pory poza orbitę okołoziemską, a teraz czekało ich starcie w głębi kosmosu, na linii frontu. Mieli zmierzyć się z wujkami, obcymi, którzy spustoszyli Ziemię.

Jednak znalazły się tu również znajome twarze i to dodawało Marco otuchy. Addy, jego najstarsza i najlepsza przyjaciółka, siedziała wyciągając przed siebie długie nogi, z butami zwisającymi nad szybem biegnącym przez środek kabiny, a blond włosy wysypywały jej się spod hełmu. Naprzeciw nich siedział Bestia, potężny osiłek ledwie mieszczący się na siedzeniu, o ramionach przypominających pnie drzew. Miejsce obok krzepkiego Rosjanina zajmował o wiele niższy i smuklejszy Elvis, nucąc po cichu jakiś przebój piosenkarza, od

którego pochodziła jego ksywka. Był tu również kapral Diaz o przystojnej twarzy i pokrytym bliznami ciele, a także brodaty sierżant Singh, z głową owiniętą turbanem w kolorze wojskowej zieleni. Marco przetrwał podstawowe szkolenie razem z tymi żołnierzami, walczył z nimi ramię w ramię na afrykańskiej pustyni. To byli jego towarzysze broni, ludzie, którym powierzyłby własne życie.

Oraz jedna osoba, którą kochał.

Marco odwrócił się, aby spojrzeć na Lailani. Siedziała obok niego, najmniejsza z całego plutonu. Wyciągnęła nogi przed siebie, a mimo to sięgały niewiele dalej niż kolana Marco. Mierząca metr czterdzieści pięć wzrostu, ogolona niemal na łyso Lailani wyglądała jak mały chłopiec w męskim mundurze, a jej karabin był większy od niej. Ze względu na nieduży wzrost nie przyjęto jej do wojska, gdyby nie jej zaciekłość. Siedziała ze zmrużonymi oczami i zaciśniętymi ustami, i aż wrzała, gotowa do boju. Była córką nastoletniej prostytutki, dorastała grzebiąc za jedzeniem w slumsach Manili. Przez całe życie walczyła z głodem i chorobami, a teraz przyszło jej zmierzyć się z wujkami. Zdaniem Marco była najlepszym żołnierzem w plutonie.

„I nie uważam tak tylko dlatego, że ją kocham” – pomyślał.

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku, de la Rosa?

Skinęła głową.

– Nie mogę się doczekać, żeby skopać tyłki wujkom, Emery.

Marco pomyślał o zeszłej nocy, o tym, jak wślizgnęła się na jego prycze i kochali się po ciemku, w tajemnicy – tajemnicy, którą większość ich przyjaciół już znała. Za dnia byli kompanami, towarzyszami broni, zabójcami kosmitów. Nocą stawali się kochankami. Marco zdecydowanie wołał noc.

Kiedy rakieta podlegała bliżej do statku kosmicznego, wszyscy żołnierze zaczęli wyciągać szyje, aby spojrzeć przez iluminator. Jednostka na zewnątrz była ogromna w porównaniu z ich środkiem transportu. Pierścień paneli słonecznych obracał się niespiesznie wokół srebrzystego kadłuba niczym diabelski młyn. Kiedy Marco przyjrzał się lepiej, zauważył, że sam kadłub również wiruje, być może po to, aby generować siłę odśrodkową i tworzyć złudzenie grawitacji. Wzdłuż jego boków rozmieszczonych było kilka wież artyleryjskich, uzbrojonych w działa, a na tyłach statku otwory silnika emanowały bladoniebieskim światłem, charakterystycznym dla silników eterytowych, stworzonych do podróży międzygwiazdnych. Marco nie dostrzegł żadnych skrzydeł ani podwozia – miał przed sobą statek, który nigdy nie lądował, cały czas spędzając w kosmosie. Wraz z obrotem kadłuba oczom żołnierzy ukazały się złociste litery: OSOL *Miyari*.

Addy wskazała złotą płytę przymocowaną do burty.

– Ooo, statek imprezowy!

Kilkoro żołnierzy z plutonu zaczęło chichotać i wymieniać kuksańce. Na tablicy

znajdowali się ogromnych rozmiarów kobieta i mężczyzna, oboje całkiem nadzy. Mężczyzna unosił rękę w geście powitania.

– Kochaj mnie czule¹ – wyszeptał Elvis z zachwytem, wyglądając przez iluminator.

– Nie będę zdejmować ubrań – wyburczał Bestia. – W Rosji walczymy w mundurach.

Marco westchnął.

– Co wy, nie poznajecie Płytki Pioneera? – Odpowiedziały mu tylko puste spojrzenia. Jęknął. – W 1972 roku ludzkość wystrzeliła jeden z pierwszych pojazdów kosmicznych, Pioneera. Znajdowała się na nim mniejsza wersja tej tablicy. Chcieliśmy w ten sposób przedstawić się obcym, pokazać im, jak wyglądają ludzie.

– Jak wyglądają nago – stwierdziła Addy.

– Tak, Addy, nago – odparł Marco. – Jak nas Darwin stworzył. Teraz to symbol DOPK. Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej, gdybyście tego też nie wiedzieli, ignoranci.

– Ignora-co tym razem? – zapytał Elvis, po czym znowu zaczął nucić.

Addy spojrzała na tablicę zamocowaną na kadłubie statku.

– Bogate sukinsyny. Czy to prawdziwe złoto? – Zmrużyła oczy, lustrując *Miyari* wzrokiem. – Gdzie rdza i wgniecenia? Nic nie rozumiem.

Marco uśmiechnął się blado i poklepał ją po kolanie.

– Nie ma żadnej rdzy ani wgnieceń. To już nie Dowództwo Obrony Terytorialnej Ziemi. DOPK ma sto razy mniej ludzi niż my i sto razy większy budżet.

– Skurwiele – skomentowała Addy.

Marco skinął głową.

– Zaraz mamy do nich dołączyć, pamiętasz?

– *Uwielbiam* ich – stwierdziła Addy.

Właz w górze otworzył się i pięćdziesięcioro żołnierzy z plutonu zamilkło. Nieopodal włazu sierżant Singh uniósł się z miejsca i zasalutował.

– Pluton, baczność! – zagrzmiał.

Pięćdziesięcioro żołnierzy usadowionych wewnątrz podłużnego kadłuba wstało z bronią przy boku i rękami wzdłuż tułowia. Trwali w tej pozycji nieruchomo, z poważnym wyrazem twarzy. Marco odważył się zerknąć w górę na właz i z trudem powstrzymał wypływający na twarz uśmiech.

Porucznik Einav Ben-Ari schodziła po drabinie biegnącej przez środek kadłuba. Młoda oficer miała włosy związane w praktyczny kucyk i pełne powagi zielone oczy, a na ramionach dźwigała ciężar całych pokoleń. W przeciwieństwie do pozostałych szeregowych Marco miał okazję poznać porucznik Ben-Ari bliżej. Pokazała mu medale swojego przodka, który przetrwał pobyt w nazistowskim obozie koncentracyjnym i uciekł, aby dołączyć do partyzantki. Od tamtej pory każde pokolenie jej rodziny walczyło na wojnie: pradiadkowie brali udział w wyniszczających starciach na Bliskim Wschodzie, dziadek walczył w wijkami, gdy te po raz pierwszy zaatakowały Ziemię, a ojciec był pułkownikiem SOL. Teraz zaś ona,

Einav Ben-Ari – młoda oficer, która ledwie przekroczyła dwadzieścia lat – dowodziła plutonem zmierzającym w głąb kosmosu.

Marco wiedział, że wielu jego towarzyszy nazywało Ben-Ari oziębłą królową śniegu, robotem, rozpieszczoną córeczką pułkownika. On jednak rozmawiał z nią kilka razy w cztery oczy, być może jako jedyny z obecnych tu żołnierzy, nie licząc sierżanta Singha, i widział jej strach, smutek, a także dobroć. Była jego dowódcą, ale też przyjaciółką.

– Spocznij – rzuciła Ben-Ari, schodząc do połowy wysokości kabiny. Pluton z powrotem usiadł na miejscach, a porucznik mówiła dalej. Jej głos rozbrzmiewał w całym kadłubie. – Niektórzy z was służą w wojsku od lat, inni zaledwie kilka miesięcy. Łączy was jedno – wszyscy nosicie zielone mundury. Jesteście żołnierzami Dowództwa Obrony Terytorialnej Ziemi.

– Tych biednych dziewięćdziesięciu dziewięciu procent – szepnęła Addy, nachylając się w stronę Marco. Uciszył ją.

– Wybrałam was osobiście – ciągnęła porucznik Ben-Ari – abyście towarzyszyli mi w kosmosie i dołączyli do DOPK. To wielki zaszczyt. Tylko najlepsi, najbystrzejsi, najtwardsi wojownicy służą w kosmosie. Wszyscy wyróżniliście się swoimi dokonaniem na Ziemi. Niektórzy z was walczyli w Forcie Dżamila, inni brali udział w Bitwie o Rzym albo w Oblężeniu Yokohamy. Jednak tutaj, w kosmosie, jesteście tak samo zieloni jak wasze mundury. Nie zaznaliście prawdziwej grozy, dopóki nie zmierzycie się z wujkami w mroku przestrzeni kosmicznej, na pierwszej linii frontu.

Marco przełknął ślinę i rozejrzał się wokoło. Walczył tylko w jednej bitwie, zabił zaledwie kilka wujków. Kapral Diaz, siedzący naprzeciwko, brał udział w walkach od ponad roku i zgładził licznych wrogów na Szlaku Appalachów. Sierżant Singh, jeszcze bardziej doświadczony weteran, spędził na wojnie już kilka lat. To byli silni mężczyźni, uzbrojeni w granaty i karabiny automatyczne. Trudno sobie wyobrazić, że tu, w kosmosie, pluton mógłby się okazać bezradny.

Marco powrócił myślami do bitwy w Forcie Dżamila. Wspominał wielotysięczny rój wujków, żołnierzy ginących na piasku, urywające się nagle krzyki przyjaciół. Te obrazy wciąż go dręczyły, a była to tylko niewielka bitwa w zapomnianej wojskowej bazie szkoleniowej. Teraz zmierzali w stronę samej linii frontu. Marco wolał nie myśleć o tym, co ich tam czeka.

– Na pokładzie OSOL *Miyari* – podjęła Ben-Ari – nasz pluton będzie służył u boku kompanii Latona, pododdziału Brygady Erebus. O tej ostatniej chyba nie muszę wam opowiadać.

Marco odetchnął gwałtownie. Brygada Erebus? W całej rakiecie dało się słyszeć westchnienia i szepty.

– Ale ci z Erebus to prawie nieludzie! – powiedział ktoś. – Są chyba genetycznie modyfikowani, co nie? Tak słyszałem.

- To super wojownicy – stwierdził Bestia. – Prawie silni jak Rosjanie.
- Pani oficer, czy na pewno jesteśmy tego godni? – zapytał Elvis pokornie.
- Ja tak! – wtrąciła się Addy.
- Ja też! – dodała Lailani.

Marco nie był tak pewny siebie jak one. Podobnie jak wszyscy słyszał o Brygadzie Erebu, legendarnym oddziale bojowym. Walczyli w niemal każdej słynnej bitwie ostatniego pięćdziesięciolecia. Od czasu Kataklyzmu pod ich sztandarami służyli najwięksi bohaterowie ludzkości, a ci, którzy opuszczali ich szeregi, zostawali generałami, prezesami wielkich firm, premierami. Może sierżant Singh był godzien tego zaszczytu, ale Marco i pozostali?

– *Miyari* zabierze was do Przyczółku Nightwall, stacji kosmicznej położonej na samej linii frontu – oznajmiła Ben-Ari. – Tam dostaniecie nowe mundury i przejście kolejne szkolenie, aby stać się wojownikami Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej. W trakcie podróży macie się zachowywać jak należy. Na pokładzie *Miyari* będziecie służyć razem z wojownikami z Erebu i sprawicie, że będę z was dumna. Zaskarbicie sobie ich szacunek i udowodnicie, że wybierając was, podjęłam słuszną decyzję. Zrozumieliście?

– Tak, pani oficer! – zawołali wszyscy, ale Marco nie był tego taki pewien. Zaczynał żałować, że przyjął tę misję. Może mógł przekonać swoją porucznik, aby pozwoliła mu zostać na Ziemi i znaleźć sobie ciepłą posadkę w archiwum. Kosmos sam w sobie był dostatecznie przerażający, ale walka u boku bohaterów? Podejmowanie się najniebezpieczniejszych zadań w głębi terytorium wroga?

„Nie jestem wojownikiem – pomyślał. – Jestem tylko synem bibliotekarza”.

Zmusił się, aby wziąć głęboki wdech. Nie. Synem bibliotekarza był zupełnie inny chłopak, w innym życiu. Marco przeszedł szkolenie, brał udział w bitwie, wykazał się na wojnie. Da radę.

Kiedy wyrzwał przez iluminator, zobaczył, jak ze srebrzystego statku w stronę rakiety wysuwa się pomost. Uderzył w nią z trzaskiem, łącząc dwie jednostki.

– W porządku, żołnierze! – powiedział sierżant Singh, wstając z miejsca i unosząc się w stronę drabiny. – Ruszajcie za waszą oficer. Jeden za drugim. Macie być cicho i zachowywać się z szacunkiem, a ty, Elvis, przestań podśpiewywać.

Sierżant zszedł po drabinie na dół rakiety, gdzie otworzył drzwi prowadzące teraz na pomost. Porucznik Ben-Ari wyleciała jako pierwsza, a Singh podążył za nią. Pozostałych czterdziestu ośmiu żołnierzy plutonu zeszło po drabinie i ruszyło pomostem.

Marco dryfował za Addy, posuwając się naprzód w stanie nieważkości za pomocą uchwytów zamocowanych na ścianach. Nigdy wcześniej tego nie robił; aż do tej pory nie zdarzało mu się wstać z miejsca wewnątrz rakiety. Czuł się, jakby pływał. Karabin automatyczny unosił się nad nim, przytrzymywany jedynie przez pasek. Pozostali żołnierze gubili monety, długopisy i fotografie; Marco dostrzegł nawet unoszący się w powietrzu sprośny magazyn. Westchnął, zmierzając naprzód. Gdyby ktoś z DOPK zobaczył ich w tej

chwili, ten żalosny ziemski pluton zrobiły na nim marne wrażenie.

Kiedy mijali iluminator, Marco wyjrzał na zewnątrz i dostrzegł w oddali Ziemię – bladoniebieską kulkę zagubioną w przestrzeni. Był już wcześniej w kosmosie, ale tylko na niskiej orbicie. Aż trudno było uwierzyć, że cały znany mu świat, cała historia, jego rodzina, jego życie – wszystko to mieściło się na tej odległej kropce. Niebawem, gdy wejdzie na pokład *Miyari* i pomknie w stronę innego układu gwiazdowego, nawet ta błękitna kulka przypadnie w ciemności, a Słońce stanie się zaledwie jedną spośród miliarda gwiazd.

Ktoś wpadł na niego od tyłu.

– Marco, ruchy! Nie guzdraj się! – szepnęła Lailani.

Marco skinął głową i ruszył dalej naprzód. Dotarł pomostem do kolejnych drzwi i przepłynął przez nie na pokład OSOL *Miyari*, statku kosmicznego Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej.

Grawitacja pochwyciła go natychmiast i Marco zmełł w ustach przekleństwo, gdy o mało nie upadł i nie zrobił z siebie głupka. Udało mu się złapać równowagę, ale musiał przykłęknąć i na moment oprzeć się o podłogę, zanim z powrotem stanął na nogach. Pozostałym poszło jeszcze gorzej. Niektórzy żołnierze padali na posadzkę jak kłody, po czym szybko podrywali się, czerwoni na twarzy. Marco uformował szyk razem z resztą plutonu, a Lailani, która dotarła jako ostatnia, stanęła za nim.

Gdy już przestało mu się kręcić w głowie, rozejrzał się dookoła i potrzebował całej nabytej podczas szkolenia dyscypliny, aby nie rozdziawić ust.

„O, w mordę” – pomyślał.

Wiedział, że Siły Obronne Ludzkości dzieliły się na dwie główne formacje. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent żołnierzy służyło w Dowództwie Obrony Terytorialnej Ziemi, strzegąc lądów, oceanów i przestrzeni powietrznej na swojej ojczystej planecie. Latali samolotami, jeździli czołgami, strzelali z karabinów, patrolowali morza. Zamiatali podłogi, analizowali dane, opracowywali nową broń, gotowali posiłki, budowali drogi, ginęli w bitwach. Podnieśli się z popiołów Katakliizmu, aby odbudować świat. Natomiast część spośród nich, zaledwie garstka, zaciągnęła się do Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej. Służył tu tylko jeden procent SOL, pochłaniając ponad dziewięćdziesiąt procent budżetu wojska. Rozglądając się wokoło, Marco widział, na co poszedł każdy grosz.

Na Ziemi wszystko było zardzewiałe i zdezelowane, z trzeciej lub czwartej ręki. Mundury przechodziły z jednego żołnierza na drugiego, broń była stara i często się zacinała, a czołgi skrzypiały i sypały naokoło śrubami. Nawet samoloty wojskowe patrolujące niebo były sklecone ze starych części. Jednak tutaj, w kosmosie, nie oszczędzano na niczym. Ściany były srebrzyste i błyszczące, wolne od odłóżającej farby, podłogę pokrywał wspaniały dywan, a nie popękane płytki, zaś miejsce przestarzałych odbiorników radiowych zajęły monitory z ekranem dotykowym.

„Tak musiał wyglądać świat przed Kataklizmem – pomyślał Marco. – Zanim wijce wybiły

większość ludzi i zniszczyły wszystko, co stworzyliśmy”.

Podczas gdy pluton wciąż starał się uporać z nagłym powrotem grawitacji, drzwi na tyłach pomieszczenia rozsunęły się.

– Bacność! – zawołał sierżant Singh.

Do środka weszło troje żołnierzy z *Miyari*. Marco po raz pierwszy w życiu widział kogoś z DOPK. Mimo że zarówno ziemskie, jak i kosmiczne wojsko działało w ramach Sił Obronnych Ludzkości, ci żołnierze zdawali się należeć do zupełnie innej armii. Nie mieli nawet karabinów automatycznych – zamiast ciężkich T57 uzbrojeni byli w zgrabne karabiny plazmowe. Przypominali Marco marynarzy z czasów złotego wieku żagli, zanim parowce zajęły miejsce dawnych, wspaniałych okrętów żaglowych. Zamiast zużytych i wyblakłych oliwkowozielonych mundurów mieli na sobie eleganckie, granatowe uniformy z mosiężnymi spinkami do mankietów, zamiast beretów – czapki ze złotą odznaką nad daszkiem. Materiał był dobrej jakości, w intensywnym kolorze, a stroje ewidentnie *nowe*. Na Ziemi żołnierze, nawet oficerowie, nosili poprzecierane, używane mundury. Od czasu Kataklyzmu nawet tkaniny były drogie. Marco zaczął uświadamiać sobie, na co przez te wszystkie lata szły podatki, które płaciła jego rodzina.

Nagle poczuł, że wstydzi się swojego plutonu. Ich mundury były sprane i obszarpane, buty popękane, broń stara i zużyta. Tylne kieszenie spodni Addy były podarte, odsłaniając znajdującą się w środku talię brudnych kart do gry. Na hełmie Lailani wciąż widniały słowa, które nabazgrała na nim markerem: Życie to torba pełna chujów z kiłą.

Marco westchnął.

„Wyglądamy jak zgraja zawszonych kundli obok rasowych psów z wystawy” – pomyślał.

Dwójka żołnierzy DOPK miała stopnie sierżanta sztabowego, o stopień wyżej niż Singh, o czym świadczyły trzy szewrony i półokrąg na ich rękawach. Wyglądali na bliźnięta – obaj wysocy, ciemni i ponurzy. Trzecia żołnierz była dużo niższa, za to o wiele wyższa rangą – na każdym ramieniu nosiła trzy złote belki. Była kapitanem, o stopień wyżej niż porucznik Ben-Ari. Marco przypominał sobie ze szkolenia, że porucznicy mogli dowodzić plutonami złożonymi z pięćdziesięciu żołnierzy, a kapitanowie kompaniami złożonymi z czterech plutonów. Na piersi kapitan nosiła przypinkę przedstawiającą wieniec laurowy, oznaczającą, że ukończyła prestiżową Akademię Wojskową Julius, tę samą, na której Kemi była obecnie kadetem. Marco zdał sobie sprawę, że porucznik Ben-Ari takiej nie nosiła; musiała studiować na skromniejszej uczelni.

– No no, co my tu mamy – odezwała się kapitan, mrużąc oczy. Na jej ustach tańczył uśmiezek. Wyglądała na około trzydzieści lat, miała oliwkową skórę, czarne włosy związane w ciasny kucyk i kościstą twarz o ostrych rysach. Nie była bardzo niska, ale niezwykle, niemal anorektycznie chuda, a wylupiaste oczy zdawały się wychodzić jej z orbit, wręcz ociekając pogardą. Przypominała Marco znerwicowanego chihuahua w mundurze. Z trudem powstrzymał się od uśmiechu na tę niedorzeczną myśl.

Porucznik Ben-Ari zaszalutowała starszej stopniem.

– Pluton Kruków zgłasza się do służby, pani oficer! – powiedziała.

Kapitan wpatrywała się w pluton wojowników z Ziemi – w ich stare, zielone mundury, wyświechtane berety i przestarzałe, poobijane karabiny. Skrzywiła się z niesmakiem. Marco poczuł się jak bezdomny żebrak, który przywędrował na bankiet w domu bogacza. Ogarnęła go nagła chęć, aby wygładzić mundur, ale zmusił się, aby dalej stać na baczność.

Kapitan zwróciła się do jednego ze swoich sierżantów sztabowych.

– To taką hołotę przysyłają teraz do DOPK? – zadrwiła. – Widywałam lepiej ubrane meruwiańskie glisty.

Jeden z bliźniaków przytaknął.

– Rzeczywiście, pani oficer.

Kapitan z uśmiechem na twarzy zwróciła się z powrotem w stronę plutonu. Mówiła głośno i powoli, jakby tłumaczyła coś nierozgarniętemu dziecku.

– Nazywam się kapitan Coleen Petty! Dowodzę kompanią Latona, najlepszą w całej Brygadzie Ereb. Przez kilka następnych dni będę niestety zmuszona was niańczyć, zanim wysadzę was w jednostce integracyjnej Nightwall i będzie was miał na głowie ktoś inny. Może tam uda się zmyć z was odór Ziemi, spalić te ohydne szmaty, które macie na sobie, i zrobić z was prawdziwych żołnierzy, ale wątpię. Jeśli DOPK wykaże choć trochę rozsądku, nafaszerują was trutką na szczury i nakarmią wami wijce.

Addy nachyliła się lekko w stronę Marco.

– Hej, zdaje mi się, czy jakiś chihuahua tu ujada? – wyszeptała.

Kapitan Petty umilkła. Jej głowa odwróciła się z taką prędkością, że Marco niemal spodziewał się, że spadnie jej z ramion. Z grymasem na twarzy dowódczyni kompanii ruszyła przed siebie, odepchnęła na bok kilkoro żołnierzy i stanęła przed nimi.

– Co powiedziałaś, żołnierzu? – zapytała, wpatrując się w Addy.

Marco aż się skulił. Obrazić sierżanta Singha lub kaprała Diaza to jedno, a rozwścieczyć oficera DOPK to drugie.

– Powiedziałam, że nie mogę się już doczekać, żeby przyprawić wijce o niestrawność, pani oficer! – odparła Addy.

Kapitan przyglądała się wyżej od siebie Addy mrużąc oczy, po czym przeniosła wzrok na Marco, przesywając go spojrzeniem

– Czy to prawda, żołnierzu? – zapytała. – To właśnie powiedziała?

– Tak, pani oficer! – odparł Marco, w duchu przeklinając Addy.

Kapitan Petty skrzywiła się.

– Nie jesteście już na Ziemi, żołnierze. Nie wiem, jak luźna dyscyplina tam panuje, ale jeśli jeszcze *raz* odezwiecie się nieproszeni tu, w kosmosie, postawię was przed sądem polowym. – Wskazała na podłogę. – A teraz padnijcie oboje i zróbcie mi tu trzydzieści pompek.

Marco i Addy wymienili spojrzenia. Mieli robić pompki jak rekruci? Żołnierzy, którzy ukończyli podstawowe szkolenie, nigdy nie karano w ten sposób. Można im było wyznaczyć dodatkową wartość, posłać do ciupy, odebrać przepustkę, a nawet zwolnić, ale pompki były karą wymierzaną rekrutom, nie wojownikom o potwierdzonych kompetencjach. To tak, jakby szefowa postawiła pracownika do kąta.

Porucznik Ben-Ari najwyraźniej myślała to samo, bo wystąpiła naprzód i zwróciła się do swojej kapitan.

– Pani oficer, ukarzę ich później. – Obrzuciła Marco i Addy srogim spojrzeniem. – Surowo.

Kapitan Petty spojrzała na nią gniewnie.

– Sprzeciwiasz się moim rozkazom, poruczniku? Też chcesz zrobić trzydzieści pompek?

Marco odetchnął gwałtownie. Już publiczne wymierzanie kary szeregowym było oburzające, ale żeby potraktować w ten sposób mianowanego oficera, i to na oczach jego podkomendnych? Marco niewiele czasu spędził w wojsku, ale wydawało się to nie do pomyślenia. Widział, jak na twarzy Ben-Ari wykwitają gniewne rumieńce.

– Zaczynajcie! – rzuciła Petty, zwracając się z powrotem do Marco i Addy.

Posłusznie upadli na podłogę i wykonali pompkę.

– Liczcie na głos – dodała Petty.

– Jeden, pani oficer! Dwa, pani oficer! – Doliczyli do trzydziestu, po czym wstali, czerwoni na twarzy.

Kapitan Petty skinęła głową, uśmiechając się z zaciśniętymi ustami.

– Dobrze. Przez resztę dnia nic nie jecie. W porze posiłku weźmiecie puste tace, puste talerze i puste kubki. Jeśli ktoś zapyta dlaczego, powiecie mu, że nie zasługujecie na jedzenie. A później pozmywacie po pozostałych żołnierzach, wszystkich dwustu.

– Pani kapitan! – zaprotestowała porucznik Ben-Ari, czerwieniąc się jeszcze mocniej. – To zaprawieni w boju żołnierze. Walczyli w Forcie Dżamila. Zabili wiele wjwców. Oni...

– To moje ostatnie ostrzeżenie, poruczniku – przerwała jej kapitan Petty. – Jeśli jeszcze raz sprzeciwisz mi się publicznie, staniesz przed sądem polowym tu, na *Miyari*, i w najlepszym razie zostaniesz karnie wydalona ze służby. W kosmosie załatwiamy sprawy inaczej. – Podniosła głos, aby cały pluton ją słyszał. – Część z was zabijała wijce na Ziemi. Niektórzy mogą nawet uważać się za bohaterów. Tutaj nie jesteście bohaterami! Jesteście robactwem. Dobre czasy się skończyły. Teraz należycie do DOPK. Macie być posłuszni i walczyć jak maszyny, albo knę się na Boga, że wylecicie stąd przez służę. – Zwróciła się do bliźniaków. – Sierzanci, zaprowadźcie ich wszystkich pod prysznic. Mają być zdezynfekowani, zanim wskoczymy w warp.

Sierzanci zaszalutowali. Kapitan Petty wyszła, nie odwzajemniając salutu.

Marco zerknął na Addy, a ta zrobiła głupkowaną minę i szczerknęła cicho. Westchnął. Już tęsknił za Ziemią.



ROZDZIAŁ 3

- Ona naprawdę jest jak chihuahua – powiedziała Addy, wpatrując się ponuro w pusty talerz.
- Przyznaj się, sam też tak pomyślałeś!

Marco posłał jej gniewne spojrzenie.

– Cii! Chcesz skończyć jako żarcie dla wujców? – Zerknął na boki. – Mów ciszej.

– Czyli nie wolno czekać? – zapytała Addy.

Marco powiódł wzrokiem po sali, mając nadzieję, że nikt nie słucha. Razem z Addy siedział w mesie *Miyari*. Oboje mieli przed sobą puste talerze i kubki. Wokół nich siedzieli pozostali żołnierze z plutonu, wciąż w oliwkowozielonych mundurach, pałaszując swoje posiłki. Marco przyglądał się im z zazdrością. Żarcie tutaj bez wątpienia pachniało i wyglądało lepiej niż breja i mielonka z Fortu Dżamila: podawano owoce z puszki, chleb z masłem, syntetycznego kurczaka oraz makaron z serem. Marco aż kręciło się w głowie od apetycznych zapachów, ale dzięki Addy aż do jutra nie mógł się nimi cieszyć. Już burczało mu w brzuchu.

Rozejrzał się. Mesę wypełniali żołnierze trzech pozostałych plutonów, wszyscy w granatowych mundurach Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej. Oni i Ziemianie siedzieli osobno, unikając wzajemnego kontaktu. Żołnierze w granacie zerkali na tych w zieleni, parszkając i mruzcąc do siebie pod nosem.

– Szczury lądowe – wymamrotał któryś z nich.

– Pieprzone ziemniaki – dodał ktoś inny.

– Wolałabym już służyć razem z wujkami – stwierdziła kobieta po drugiej stronie sali, na tyle głośno, że było ją słychać wszędzie. Jej przyjaciele zaśmiali się.

Addy zerwała się na nogi.

– Ach tak? – Zamierzyła się widelcem jak nożem. – Tak się składa, że ja walczyłam z wujkami twarzą w twarz, a nie tylko siedziałam na statku wciskając guziki, kiedy...

– Addy! – Marco złapał ją i pociągnął w dół. – Zamknij się!

Wzdrygając się, zerknął w stronę stołu oficerów. Siedziała tam porucznik Ben-Ari w towarzystwie kilku osób w granatowych mundurach. Na szczęście nie było wśród nich kapitan Petty – być może wolała jeść na osobności w swojej kwaterze. Wszyscy przy stole

odwrócili się, aby spojrzeć na Marco i Addy. Porucznik Ben-Ari pospieszyła im z pomocą, dotykając ramienia jednego z oficerów i kontynuując historię, którą właśnie opowiadała. Gdy pozostali z powrotem zwrócili się ku niej, posłała Addy ostre spojrzenie.

– Addy, naprawdę musisz się nauczyć trzymać buzię na kłódkę – stwierdził Marco.

Addy prychnęła, wciąż zaciskając w dłoni widelec.

– Bzdury. Na lodowisku ciągle pyskowaliśmy, a i tak wymiatałam.

– Nie jesteś już hokeistką, tylko żołnierzem. Żołnierzem w drodze na stację kosmiczną oddaloną o całe lata świetlne od najbliższego boiska do hokeja, gdzie staniesz się częścią DOPK.

Addy zatchnęła się.

– Nie mają boisk do hokeja?

Marco zerknął na zawieszony na ścianie ekran wyświetlający odliczanie: „2:59 do skoku w nadprzestrzeń”. Za niespełna trzy godziny silniki warp będą gotowe, a OSOL *Miyari* opuści Układ Słoneczny i wystrzeli w kierunku odległych gwiazd. Wtedy Ziemia nie będzie nawet błękitną kulką widoczną przez iluminator; pochłonie ją ciemność.

– Hej, Poeto – Elvis sięgnął ponad stołem i poklepał Marco po ramieniu. – Jesteś bibliotekarzem, zgadza się?

– Byłem – odparł Marco.

Elvis skinął głową.

– To mi wystarczy. Znaczy, że jesteś mądry, co nie?

Marco wzruszył ramionami.

– W porównaniu z kim?

– O, zdecydowanie jest! – Addy objęła go i ucałowała w policzek. – Pisz książkę, wiesz.

O żółwiu Beretta!

Marco westchnął.

– Karetta, Addy. Już tysiąc razy ci powtarzałem.

– Wystarczy tego, gołąbeczki. – Elvis wskazał zegar na ścianie. – Co to jest ta cała nadprzestrzeń?

Addy ryknęła śmiechem.

– Nie wiesz, co to jest nadprzestrzeń?

Elvis wzruszył ramionami i wsadził sobie do ust całe jajko na twardo, po czym przeżuł je i połknął. – Jestem muzykiem, małeńka, a nie geniuszem jak ten tu Poeta. A ty wiesz w ogóle, co to jest nadprzestrzeń?

Addy zjeżyła się.

– Oczywiście, że wiem! Wszyscy to wiedzą.

– W takim razie co to takiego? – zapytał Elvis. Oparł łokcie na stole i nachylił się do przodu, wpatrzony w Addy.

– No... – Addy zaczęła się wiercić na krześle. – To taka przestrzeń, która jest nad, eee, nad

wszystkim. – Dała Marco silnego kuksańca pod żebra. – Ty mu powiedz, Poeto. Prostymi słowami, żeby zrozumiał.

Marco pomasował bok.

– Ała, przestań. – Spojrzał na talerz Elvisa, gdzie spoczywały dwa pozostałe jajka obrane ze skorupki. – Podaj nam je pod stołem, to ci powiem.

Elvis wytrzeszczył oczy.

– Moje drogocenne jajka!

Addy wymierzyła mu pod stołem kopniaka.

– Dawaj je albo kopnę cię w inne drogocenne jajka.

Kiedy już zakończyli potajemny posiłek, Marco zaczął mówić.

– Widzisz, Elvis, mój chłopcze, w tej chwili OSOL *Miyari* dryfuje przez zwykłą czasoprzestrzeń.

– Czaso-co znowu? – zapytał Elvis.

– Czasoprzestrzeń. – Marco poklepał blat stołu. – Czasoprzestrzeń jest trochę jak ten obrus.

– To znaczy, że jest pokryta okruchami, a Addy międli ją w zębach? – spytał Elvis.

– Dalej jestem głodna! – powiedziała Addy z ustami pełnymi płótka.

– Addy, przestań! – Marco wyrwał jej obrus, ignorując głośne protesty, i wygładził go na powierzchni stołu. – Teraz patrz. Chodzi mi o to, że czasoprzestrzeń to płaska powierzchnia. To znaczy nie, tak naprawdę wcale nie jest płaska, ale przyjmijmy na razie, że jest. Przyjmijmy też, że chcesz dolecieć z mojego talerza do solniczki. Musisz po prostu przebyć drogę z punktu A do punktu B. – Przejechał palcem po obrusie. – Ale w zwykłej przestrzeni nie jesteśmy w stanie podróżować zbyt szybko. Teoretycznie najwyższa możliwa do rozwinięcia prędkość to prędkość światła, chociaż w praktyce żaden statek kosmiczny nawet się do niej nie zbliża. Poruszanie się w obrębie zwykłej czasoprzestrzeni dobrze się sprawdza, jeśli chcemy dolecieć gdzieś w granicach Układu Słonecznego, na przykład z Ziemi na Marsa. Z dobrym silnikiem jądrowym zajmuje to zaledwie kilka tygodni. Ale jeśli chcemy podróżować dalej, dotrzeć do innych gwiazd? Tam odległości są *ogromne*. Zwykły lot kosmiczny, choćby do najbliższej gwiazdy, potrwałby tysiące lat.

Elvis wzdrygnął się.

– Tysiące lat z kapitan Chihuahua? Nie, dziękuję.

Addy wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Widzisz, Poeto? *Widzisz?* Ona *jest* Chihuahua i wszyscy o tym wiedzą.

Marco spojrzał na nią wilkiem.

– Przestań ją tak nazywać. Pewnie ma uszy nawet pod blatem stołu. W każdym razie – uniósł obrus, składając w rękach fałdy tkaniny, tak, że solniczka znalazła się blisko talerza – nadprzestrzeń działa mniej więcej w ten sposób. Zaginamy czasoprzestrzeń i dystans między dwoma punktami się zmniejsza. Sama struktura wszechświata składa się i zwija. To

znaczy... tak naprawdę to zupełnie nie tak działa. Matematyczne podstawy całego procesu mnie przerastają. Ale to najlepsza analogia, jaka mi przychodzi do głowy, chyba że ktoś chciałby mi przynieść prześcieradło.

Elvis skinął głową.

– A, rozumiem. Czyli ogromna dłoń niebiańskiego bibliotekarza wynurza się z nieboskłonu i zagina przestrzeń.

– Tak jakby – zgodził się Marco. – Tylko że tak naprawdę robi to silnik wykorzystujący eteryt.

– Eklery? – spytał Elvis.

– Ooo, lubię eklerki! – Addy oblizała wargi. – Zjadłabym całą blachę.

– Eteryt. – Marco przewrócił oczami. – Jak to możliwe, że znasz słowo „nieboskłon”, a nie znasz słowa „eteryt”? No wiesz, najcenniejszy materiał we wszechświecie, wydobywany w koloniach?

– Możesz mi kiedyś kupić pierścień z kryształem eterytu – stwierdziła Addy. – Tłukąc wrogów będę zaginać czasoprzestrzeń.

Marco strzepnął jej z koszuli kilka okruchów żółtka.

– Nie kupiłbym ci nawet pierścionka z kryształem górskim. W każdym razie, silniki eterytowe potrzebują trochę czasu, żeby się rozgrzać. To dlatego zegar wciąż odlicza czas pozostały do ich odpalenia. Jak już wszystko będzie gotowe, zrobi się dziwnie. Sam wszechświat zawinie się wokół nas i popędzimy w kierunku granicy. Nie będziemy się poruszać szybciej niż normalnie, ale zagniemy czasoprzestrzeń, znacznie zmniejszając dystans. Nie łamie to żadnych praw fizyki. W pewnym sensie po prostu polecimy na skrót.

Wszyscy przy stole – cała drużyna licząca sobie piętnastu żołnierzy – zamilkli na dłuższą chwilę, nawet Addy. Marco wiedział, o czym myślą. Granica. Linia frontu. Co ich tam czeka? Na Ziemi żołnierze niewiele słyszeli o bitwach rozgrywających się w kosmosie, gdzie najlepsi z wojowników ludzkości ścierali się z wujkami. Mówiono, że we wszechświecie istnieją też inne obce cywilizacje, niektóre nastawione przyjaźnie, inne groźne i przerażające. Niemal wszystkie informacje napływające z nad granicy były zastrzeżone. Marco wiedział, że kierują się do kolonii o nazwie Nightwall, ale nic ponadto. Czy czeka go tam dalsze szkolenie? A może rzuca go prosto na pole bitwy na jakiejś odludnej planecie, na ziemi niczyjej?

Rzucił okiem na zegar. Dwie i pół godziny do skoku w nadprzestrzeń. Dwie i pół godziny, zanim pozostawi za sobą nie tylko Ziemię, ale i cały Układ Słoneczny.

Marco wstał z krzesła i ruszył pomiędzy stołami – ostrożnie unikając tych, przy których siedzieli żołnierze DOPK – w stronę okna. Wyjrzał w kosmos. W oddali ledwie był w stanie dostrzec Ziemię – błękitną kropkę pośród niezliczonych gwiazd. Rakieta, która go tu przywiozła, wracała już do domu; srebrny cylinder stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż niebawem znikł z pola widzenia.

Ziemia. Tam był jego ojciec. Tam była Kemi – kobieta, którą kochał i która złamała mu serce. Całe jego życie, jego sny i wspomnienia, jego ambicje – wszystko to pozostało na niewielkiej, błękitnej kropce, która niedługo zniknie w mroku. Marco nie miał zbyt dużej wiedzy na temat DOPK, ale jedno wiedział: większość ze służących tu żołnierzy nigdy nie wracała do domu. Przycisnął dłoń do szyby.

– Żegnaj, tato – wyszeptał. – Żegnaj, Kemi.

Tak – przyszedł też czas pożegnać się z Kemi. Każde z nich poszło swoją drogą, „zerwali”. Ona wstąpiła do Akademii Wojskowej Julius, on był szeregowcem z poboru. Jej służba potrwa dekadę, jeśli nie dłużej, jego być może skończy się przedwcześnie gdzieś na granicy. A Marco odnalazł w wojsku nową miłość, Lailani – nowy promyk radości w jego życiu.

Jednak wciąż myślał o Kemi, i to dużo. O jej promiennym uśmiechu. O jej oczach, w których lśniła dobroć i inteligencja. O latach, które spędzili razem, jako chłopak i dziewczyna w mieście targanym wojną, ale też pełnym światła, śmiechu, miłości. Marco spędził zbyt wiele lat kochając ją, aby tak po prostu o niej zapomnieć, nawet teraz, kiedy w jego życiu pojawiła się Lailani. Jeszcze na Ziemi zdarzyło mu się zetknąć na krótko z Kemi podczas odbywania służby i miał nadzieję na więcej takich spotkań. Teraz jednak wiedział, że rozstają się na dobre. Przesunął dłoń po szybie, zasłaniając Ziemię. To było pożegnanie.

Marco zmarszczył brwi.

Dostrzegł coś w oddali.

Jakaś jednostka zmierzała w stronę *Miyari*.

Była mniejsza niż rakieta, która przywiozła tu Pluton Kruków. Wydawała się wręcz niewiele większa od samochodu. Kiedy się zbliżyła, zobaczył wymalowane na niej logo – złoty wieniec laurowy, symbol Akademii Wojskowej Julius. Statek zawisł przy burcie tuż obok okna, przy którym stał, a z *Miyari* ponownie wysunął się pomost, łącząc obie jednostki. W oknie niewielkiego pojazdu kosmicznego Marco dostrzegł grzywę czarnych loków i parę ciemnych oczu, które uniosły się, napotykając jego spojrzenie.

Niewiele brakowało, a przegrałby z grawitacją i upadł na podłogę.

O Boże.

Odwrócił się i pognał przed siebie.

Biegł pomiędzy stołami w mesie, zmierzając w stronę drzwi.

– Nieświeże jajko, Poeto? – zawołała za nim Addy.

– Szeregowy Emery! – rzucił sierżant Singh.

Ale Marco dalej biegł, pozostawiając za sobą mesę, w której rozbrzmiewał śmiech i żarty na temat jego problemów żołądkowych.

Wpadł do sali wejściowej, pomieszczenia, w którym po raz pierwszy spotkał kapitan Petty, akurat w porę, aby zobaczyć, jak drzwi się otwierają, a młoda kobieta wkracza na

pokład *Miyari*.

Miała na sobie biały mundur kadeta ze złotą przypinką na klapie, a jej czarne loki wysypywały się spod czapki. Wciąż nosiła wisiorek w kształcie litery pi, który jej podarował. Gdy spojrzała na Marco, oczy jej zwilgotniały. Uśmiechnęła się krzywo, tak jak dawniej.

– Cześć, Marco.

– Kemi – wyszeptał.



ROZDZIAŁ 4

– Marco. – Kemi niepewnie zrobiła krok w jego stronę, po czym go przytuliła. – Witaj ponownie. – Odsunęła się, nie zdejmując dłoni z jego ramion, i posłała mu szeroki, głupkowaty uśmiech. – Nie możesz się mnie pozbyć, co?

– Kemi! – Zaśmiał się i pokręcił głową w osłupieniu. – Jak? Jak to możliwe? Tak szybko ukończyłaś szkołę, czy...

Urwał. Lodowate poczucie winy rozlało się po jego ciele.

„Lailani. Lailani tu jest. Kemi i Lailani nie wiedzą o sobie nawzajem”.

– Nie, głuptasie. – Kemi ze śmiechem wzięła go za rękę. – Jestem kadetem dopiero od paru miesięcy. Ale czasami nawet na pierwszym roku pozwalają nam brać udział w misjach, żeby obserwować oficerów w terenie – w tym przypadku w kosmosie. – Uśmiechnęła się szerzej. – Moi rodzice użyli swoich wpływów i dowiedzieli się, że jesteś tutaj, służąc pod dowództwem porucznik Ben-Ari, a ja zaaplikowałam o możliwość obserwowania właśnie jej.

– Kemi. – Ujął jej dłonie, poważniejąc. – Zmierzamy na linię frontu. To niebezpieczne.

Wydęła lekko wargi.

– Nie cieszysz się, że tu jestem? Wydajesz się prawie... zmartwiony? Chciałam, żebyśmy mogli znowu być razem, blisko siebie, nawet w wojsku. – Pochyliła głowę. – Nasze rozstanie przed tym, jak się zaciągnęłaś, złamało mi serce. Myślałam, że nasz związek legł w gruzach, że nie zobaczymy się przez następnych dziesięć lat, i to złamało mi serce, Marco. Złamało. – Otarła łzy. – Ale teraz jestem tutaj. Widzisz? Znowu jesteśmy razem, chociaż na jakiś czas. Jesteśmy razem.

Marco zakręciło się w głowie. Nagle wypełniła go złość.

„Złamało ci serce? *Tobie?* To ty ze mną zerwałaś! Chciałem, żebyśmy zostali razem mimo rozłąki. Odmówiłaś. A teraz zjawiasz się tutaj, akurat kiedy poznałem inną kobietę, kiedy...”

– Pani oficer! – Kemi odsunęła się nagle, stanęła prosto i zasalutowała. – Kadet Kemi Abasi melduje się do służby, pani oficer!

Marco odwrócił się i zobaczył, jak do pomieszczenia wchodzi porucznik Ben-Ari.

Ben-Ari spojrzała na Kemi, a potem na Marco, przez chwilę zatrzymując na nim wzrok,

podczas gdy on zastanawiał się, jak dużo usłyszała, jak dużo wiedziała. W końcu zwróciła się do Kemi.

– Witam na pokładzie OSOL *Miyari*, kadecie Abasi – powiedziała. – Jadłś już? Do końca posiłku zostało jeszcze kilka minut. Chodź, poznamy się bliżej.

Kemi skinęła głową, wpatrując się w nią z nabożnym szacunkiem.

– Dziękuję, pani oficer. Chciałam też od razu powiedzieć, że dużo słyszałam o pani rodzinie. Pani ojciec był żywą legendą! Uczyliśmy się o nim w Juliusie. Pani odwaga na polu bitwy również jest dla mnie inspiracją. To zaszczyt móc obserwować panią w trakcie tej misji. Na pewno wiele się od pani nauczę.

O rodzinie Ben-Ari uczono na studiach? Marco wiedział, że jej przodkowie byli sławni, ale nie miał pojęcia, że aż tak. Co takiego zrobił jej ojciec, że zasłużył sobie na status legendy? Nagle poczuł, że wie o swoim dowódcy żałośnie mało; Kemi zdawała się ją znać o wiele lepiej. Gdy obie kobiety ruszyły w stronę mesy, Ben-Ari obejrzała się na niego przez ramię.

– Emery, wracaj na miejsce.

Skinął głową.

– Tak, pani oficer. – Poszedł za nimi i usiadł z powrotem ze swoją drużyną, podczas gdy Kemi dosiadła się do stołu dla oficerów. Kiedy Marco zerknął w jej stronę, posłała mu uśmiech i pomachała lekko, po czym znów skupiła uwagę na Ben-Ari i innych oficerach DOPK.

Addy wciąż siedziała pośród poborowych, wgapiając się w siedzącą po drugiej stronie sali nowoprzybyłą. Przeniosła wzrok na Marco, a potem znowu na Kemi. Przetarła oczy.

– Czy to... – Zmarszczyła brwi, wciąż wpatrzona w stół dla oficerów, po czym gwałtownie odwróciła się w stronę Marco. – Czy to cholerna Kemi Abasi? Ze szkoły?

Marco przytaknął.

– To ona. Jest tu, żeby uczyć się od Ben-Ari.

Szczęka Addy opadła tak nisko, że niemal uderzyła o stół.

– Ja pierdołę.

Marco zerknął na Lailani. Siedziała po drugiej stronie stołu, pochłonięta kłótnią z Bestią o to, czy w Rosji produkuje się statki kosmiczne lepsze od *Miyari*, jak ten żarliwie twierdził. Posłała Marco zaledwie jedno spojrzenie, napotykając jego wzrok na ułamek sekundy, po czym z powrotem przeniosła swoją uwagę na Bestię.

– To tylko tani amerykański materiał. – Rosjanin tupnął o podłogę. – Ładnie wygląda, tak, ale słaby. W Rosji budujemy *prawdziwe* statki kosmiczne. Wiecie, my mieliśmy pierwszego satelitę na orbicie. Pierwszego człowieka w kosmosie. Pierwszego psa w kosmosie też.

– To było dwieście lat temu! – odparła Lailani. – To tak, jakby powiedzieć, że w Grecji robią najlepsze czołgi, bo kiedyś mieli najlepsze rydwany.

– W Grecji robią najlepsze czołgi?! – Twarz Bestii wykrzywiła się z wściekłości. –

Najwyraźniej nie widziałas Medvedova w akcji. *To* dopiero jest czołg. Rozgniecie Grecję jak winogrono.

Lailani nie skierowała już więcej wzroku na Marco, ale to jedno spojrzenie wystarczyło. Wiedziała, co się dzieje. Marco poczuł ucisk w piersi. Nie chciał teraz o tym myśleć. Zmierzał na kraniec galaktyki, żeby zmierzyć się w boju z żądnymi krwi kosmitami. Czy nie miał już dostatecznie dużo zmartwień?

– Hej, Poeto. – Elvis przysiadł się do niego i dał mu sójkę w bok.

– Dlaczego wszyscy to robią? – Marco skrzywił się, masując obolałe miejsce.

Elvis nie odpowiedział, tylko wskazał w bok skinieniem głowy.

– Psst. Spójrz. Tam przy stole obok. – Zagwizdał cicho. – Widzisz tę królową śniegu? Gorąca jak diabli!

Marco spojrzał. Przy pobliskim stole pozywiali się oficerowie DOPK, wszyscy w granatowych mundurach ze złotymi insygniami naszytymi na rękawy. U jego końca siedziała wysoka kobieta, która, musiał to przyznać, rzeczywiście była wprost boleśnie piękna. Miała alabastrową skórę, platynowe blond włosy ścięte na pazia oraz twarz, której rysy mogłyby przekonać Marco, że Bóg istnieje i jest rzeźbiarzem. Zarazem jednak faktycznie biło od niej chłodem, a coś w jej wyglądzie wywoływało nieokreślony niepokój. Nie nosiła żadnych insygniów i nic nie jadła, nie miała nawet przed sobą talerza.

Najwyraźniej poczuła na sobie ich wzrok, bo odwróciła głowę i spojrzała prosto na Marco. Jej oczy w kolorze lawendy, przywodzącym na myśl wjczę wyziewy, zdawały się przenikać go na wskroś.

On i Elvis szybko odwrócili wzrok.

– O cholera – szepnął Elvis pod nosem. – Czemu tak się gapięś? Tylko zerkaj, nigdy się nie gap. – Przełknął ślinę. – Idzie tu. O Boże, ona tu idzie. – Przeczesał palcami włosy. – Jak wyglądam? Mam u niej szansę, co nie, Poeto? Ja...

Kobieta podeszła do ich stołu, pochyliła się i zmierzyła wzrokiem najpierw Marco, a potem Elvisa. Jej skóra była idealnie gładka, prawie jak z wosku, i trupio blada, a oczy zdawały się świecić niemal nieludzkim blaskiem.

– Śmierdzisz wjczami – stwierdziła wypranym z emocji głosem.

Elvis odchrząknął i wstał z krzesła.

– Eee, tak naprawdę to spray do ciała Hammer. Podoba ci się? W reklamach obiecywali, że kobiety będą się za mną uganiać, i...

Jej ręka gwałtownie wystrzeliła naprzód, zaciskając dłoń na gardle Elvisa.

– Sekcja trzecia, artykuł czwarty, „Podręcznik żołnierza” – wyrecytowała kobieta jednostajnym głosem. – Żołnierzom SOL nie wolno używać perfum, a mydło i woda po goleniu muszą być bezzapachowe.

– Ej, czekaj no! – Addy zerwała się na nogi, próbując odciągnąć napastniczkę od Elvisa, który, z trudem łapiąc oddech, starał się uwolnić z jej uścisku, ale zdawał się bezsilny. Gdy

Marco złapał kobietę, ta zamachnęła się na niego wolną ręką i z zadziwiającą siłą pchnęła go na stół. Plastikowe talerze posypały się na podłogę. Kiedy Addy spróbowała uwolnić Elvisa, ona również została powalona. Niebawem cała drużyna zerwała się z miejsc, a wkrótce potem cała mesa.

Jeden głos, donośniejszy od pozostałych, przedarł się przez salę.

– Osiris! Wypuść go!

Wysoka kobieta o platynowych włosach natychmiast rozluźniła uchwyt i Elvis upadł na podłogę, gwałtownie łapiąc powietrze.

– To znaczy – udało mu się wychrypieć – że pójdziesz ze mną na randkę?

Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi, skąd przed chwilą dobiegł głos. W całej mesie żołnierze stawali na baczność.

Kapitan Petty przeszła przez salę, zbliżając się do ich stołu.

– Kto sprowokował Osiris? – zapytała, po czym zwróciła się do Marco. – Czy to ty?

Pokręcił głową.

– Nie, pani oficer. Po prostu go złapała. Ona...

– Nie pytałam, co się wydarzyło, żołnierzu. – Petty obiegnęła wzrokiem drużynę zebraną wokół stołu. – Przez resztę lotu wy wszyscy macie dyżur w kuchni. Jeśli jeszcze *kiedykolwiek* zostanieie przyłapani na niewłaściwym obchodzeniu się ze sprzętem DOPK, wysadzę was na najbliższej asteroidzie karnej. Zrozumiano?

Marco zerknął na Osiris. Sprzęt DOPK? Wysoka blondynka odwzajemniła spojrzenie i tym razem nie miał żadnych wątpliwości: jej fioletowe oczy nie lśniły tylko w blasku lamp, lecz świeciły własnym światłem.

„Mój Boże – pomyślał. – To android”.

Słyszał już o androidach – głównie czytał o nich w starych książkach sprzed Kataklizmu. Obecnie na Ziemi pozostało niewiele tak zaawansowanej technologii. Krążyły pogłoski, że androidy wciąż istniały, ale Marco nigdy dotąd nie widział żadnego na własne oczy.

– Słuchajcie, żołnierze! – zaczęła kapitan Petty, maszerując w stronę wyjścia z sali. – Za niespełna dwie godziny aktywujemy napęd warp. Podróż do granicy zajmie nam dwadzieścia dni. Żołnierze DOPK mogą spędzać czas w pomieszczeniu wypoczynkowym, kantynie i mesie oraz na sali gimnastycznej. – Obrzuciła spojrzeniem stół Marco. – Żołnierze Dowództwa Obrony Terytorialnej Ziemi spędzą podróż na swoich kubrykach, wychodząc tylko na posiłki i poranne inspekcje na korytarzu. – Przeniosła wzrok na stół oficerów. – Dotyczy to również oficerów i kadetów. Gdy dotrzemy do Nightwall, sami już tam zdecydują, co z wami zrobić. Do tego czasu jesteście ładunkiem i niczym więcej. Niektórzy z was być może przywdzieją kiedyś granatowy mundur; co do reszty, to jeśli zostanieie wystrzeleni w kosmos, dajcie się zjeść jak najszybciej. Nie lubię zaśmiecać przestrzeni kosmicznej. – Wskazała swoich sierżantów sztabowych. – Bliźniacy odprowadzą was do kubryków.

To powiedziawszy odwróciła się i wyszła z mesy.

Addy nachyliła się w stronę Marco.

– Mówiłam ci – wyszeptała. – Chihuahua.

Skinął głową.

– To było strasznie dużo ujadania.

Oficerowie jako pierwsi opuścili mesę, a wraz z nimi Kemi. Nie stanie się jedną z nich jeszcze przez kilka lat, ale najwyraźniej nawet jako kadet miała jeść i spać z nimi, a nie z żołnierzami z poboru. Przechodząc przez drzwi odwróciła się do Marco, posłała mu uśmiech i pomachała, a potem szybko podążyła za oficerami.

W drugiej kolejności wyszli żołnierze DOPK. Mijając pluton Marco, prychali i mamrotali pod nosem coś o „szczurach lądowych” i „ziemskich brudasach”. Addy zawarczała, najwyraźniej gotowa rzucić się w wir walki, aż Marco i Elvis musieli ją przytrzymać. W końcu od stołów wstał Pluton Kruków, wciąż w swoich zakurzonych, oliwkowozielonych mundurach z Ziemi, z ciężkimi karabinami objadającymi się o plecy. Podążyli wąskim korytarzem za sierżantem z DOPK, mijając okna, przez które widać było gwiazdy. Marco dostrzegł w oddali Saturna z ledwie widocznym pierścieniem. Z tej odległości wyglądał jak zabawka, jakby można było sięgnąć i wziąć go do ręki niczym choinkową bombkę.

– Kupisz mi ten pierścionek? – zapytała Addy.

– Ani ten, ani żaden inny.

Sierżant zaprowadził ich do korytarza, wzdłuż którego ciągnęły się rzędy niewielkich pokoi, każdy wyposażony w trzy piętrowe łóżka. Marco został zakwaterowany razem ze swoimi najbliższymi przyjaciółmi: Addy, Lailani, Bestią i Elvisem. Szybko zakleпали sobie łóżka. Marco okazał się zbyt powolny i nie udało mu się zdobyć miejsca na górze, więc zadowolił się dolnym łóżkiem koło drzwi, z którego miał przynajmniej widok na jedyne okno w pomieszczeniu. Bardzo chciał zobaczyć światło gwiazd zaginające się wraz z odpaleniem silnika warp.

– Hej, sześć łóżek, a żołnierzy pięcioro! – zauważyła Addy. – Super, mam gdzie odłożyć rzeczy. – Rzuciła torbę na wolne łóżko, a pozostali poszli w jej ślady. Obok toreb oparli karabiny.

– To jak myślicie, mam jeszcze szansę u Blondi? – zapytał Elvis.

Lailani jęknęła.

– Elvis, ona jest androidem.

Elvis wytrzeszczył oczy.

– Ja pierdołę! Serio? – Zmarszczył brwi. – To co, myślicie, że mam szansę?

Bestia wymamrotał coś o tym, jak to w Rosji roboty były wielkie, metalowe i groźne, nie to co te słabe, dziewczynskie robociki z Ameryki.

– Może powinieneś się umówić z kapitan Chihuahua, Elvis – zasugerowała Addy, po czym zaczęła naśladować szczekanie pieska.

– To brzmi trochę inaczej – dołączyła się Lailani i zaprezentowała szczekanie w swoim wykonaniu.

– A ta kadetka, która zjawiała się na ostatnią chwilę? – Elvis nie odpuszczał. – Była ładna. Boże, te czarne loki, te wielkie oczy. Może...

– Nie. – Addy przestała szczekać i pokręciła głową. – To Kemi. Kemi Abasi. Ona też jest z Toronto. To... – Zawahała się, zerkając na Lailani, a potem z powrotem na Elvisa. – Przyjaciółka Marco.

Elvis przekrzywił głowę, a po chwili otworzył szeroko oczy.

– Chwila moment! – Rozdziawił usta. – No nie. Bez jaj! – Odwrócił się w stronę Marco. – Ej, Poeto, pokaż mi jeszcze raz to zdjęcie. To, które zawsze nosisz w kieszeni.

– Nie noszę w kieszeni zdjęcia – zaprotestował Marco.

– A właśnie, że nosisz. – Elvis dał susa naprzód i zanim Marco zdołał go powstrzymać, wyciągnął mu z kieszeni książkę, a z niej fotografię. – Tak! To ona. Słynna Kemi! Ta, o której ciągle nawijałeś w obozie dla rekrutów, twoja dawna dziewczyna. Ja pierdole, skąd ona się tu wzięła?

Marco przez chwilę stał bez słowa, nie wiedząc, co powiedzieć, żeby nie sprawić bólu Lailani.

Jednak to właśnie Lailani odpowiedziała za niego.

– Przyleciała tu, żeby być blisko niego. Żeby znowu mogli być razem. – Pokiwała głową. – Szczęściara. – To powiedziawszy, wspięła się na swoje łóżko i położyła na nim twarzą do ściany.

W kubryku zapadła niezręczna cisza. Elvis zamrugał i spojrzał po pozostałych z rozdziawionymi ustami, kompletnie zbity z tropu.

Ciszę przerwał huk otwieranych drzwi.

– O wilku mowa – stwierdziła Addy, gdy do pokoju wpadła Kemi. Czarne loki podskakiwały w rytm jej kroków.

– Marco! – Objęła go, po czym zwróciła się do dziewczyny. – Addy! – Rozejrzała się wokoło z promiennym uśmiechem. – Porucznik Ben-Ari powiedziała, że mogę zamieszkać z poborowymi. – Postukała się palcem po policzku, a jej uśmiech przygasł. – Szczerze mówiąc, oficerowie chyba i tak nie chcieli dzielić kubryku z kadetem. Minie jeszcze trochę czasu, zanim stanę się jedną z nich. Najpierw muszę skończyć szkołę i dostać przydział. – Uśmiechnęła się znowu. – Ale to oznacza, że możemy być razem! Przez dwadzieścia dni!

Elvis uklonił się zamaszyście.

– Wasza wysokość, to dla nas zaszczyt gościć cię w progach naszej wiejskiej chaty. Przekonasz się, że jesteśmy ordynarni i nieokrzesani, a Bestia do tego trochę śmierdzi, ale stanowimy o wiele przyjemniejsze towarzystwo niż kapitan Chihuahua.

Kemi z westchnieniem zasłoniła usta dłonią.

– Wy też uważacie, że wygląda jak chihuahua?

– Mówiłam ci, Marco! – powiedziała Addy. – To aż bije po oczach. – Po chwili znów czekała.

– Chihuahua są do niczego – burknął Bestia. – W Rosji mamy *prawdziwe* psy. Duże jak wilk. Odgryzą głowę jednym kłapięciem.

Z ukrytych głośników dobiegł jednostajny głos, przerywając im rozmowę.

– Minuta do wejścia w warp. Wszyscy żołnierze mają pozostać w kubrykach. Niecała minuta do wejścia w warp.

Marco podszedł do iluminatora i wyjrzał na zewnątrz, na chwilę zapominając o swoich przyziemnych problemach, urzeczony widokiem gwiazd i unoszącego się pośród nich Saturna. Pozostali stłoczyli się wokół niego, aby również wyjrzeć przez niewielkie okno – wszyscy oprócz Lailani, która wciąż leżała na łóżku, zwrócona twarzą do ściany. Marco znów poczuł wyrzuty sumienia.

– Trzy – rozległ się głos. – Dwa. Jeden. Odpalamy silniki eterytowe.

W pierwszej chwili nic się nie stało. Saturn wciąż unosił się w przestrzeni, a gwiazdy lśniły tak jak zwykle. Jediną różnicę stanowiło niebieskie światło odbite w krążących wokół statku panelach słonecznych, bijące być może z silników. Marco nie przypominał sobie, żeby panele były tak blisko iluminatora. Zdawały się przemieszczać, przyspieszać, poszerzać, odsuwać do tyłu. Zamrugął, kiedy szyba przed nim rozciągnęła się i zaczęła się coraz bardziej oddalać; wyciągnął ku niej rękę, próbując dotknąć kwarcowego szkła, ale nie mógł go dosięgnąć. Czuł się, jakby próbował przeprowadzić zabieg chirurgiczny, patrząc w lustro. Nagle Saturn zawisł tuż przy statku, bliżej niż pierścień paneli słonecznych, a potem znalazł się w środku, obok Marco, unosząc się w powietrzu jak latarnia. Teraz Marco był na zewnątrz. Naprawdę był na zewnątrz – w przestrzeni kosmicznej, nie mogąc zaczerpnąć tchu, w końcu jednak dotknął iluminatora, poczuł pod dłonią jego chłodną powierzchnię, a ściany się rozciągnęły. Gwiazdy poruszały się i zaginały, cała materia kosmosu marszczyła się i zwijała, formując fałdę za fałdą niczym falujące płótno. Gwiazdy zlały się w fale światła i wyglądały pięknie, tak pięknie, że Marco łązy stanęły w oczach. Wszystko było światłem. Wszystko było pustką. A potem Saturn zniknął, zniknęła Ziemia, zniknęło Słońce, a oni płynęli po morzu gwiazdnego blasku, unosząc się i opadając na falach, aż jego tafla wygładziła się i poześlowali nad migotliwym oceanem srebra i błękitu.

Marco odsunął się od okna, mrugając, i odczekał chwilę, aż przestało mu się kręcić w głowie.

– Widzicie? Całkiem jak poskładany obrus, nie? – powiedział.

– To było niesamowite! – westchnęła Kemi, a oczy jej zalśniły.

– Chyba zaraz zwymiotuję – stwierdziła Addy, zielona na twarzy.

Bestia wzruszył ramionami.

– To było nic. My w Rosji... – Jęknął, uderzony przez Elvisa.

Z głośników znów dobiegł ich robotyczny głos.

– Skok w nadprzestrzeń zakończony. Czas pozostały do granicy: dwadzieścia ziemskich dni. Gaszenie świateł za trzydzieści minut. Poranna inspekcja o godzinie szóstej czasu standardowego SOL.

Rok temu Marco narzekałby na tak wczesną pobudkę, ale po dziesięciu tygodniach wstawania mroźnym rankiem o piątej w obozie dla rekrutów taka pora zdawała się luksusem. Tutaj miał wokół siebie ściany i dach nad głową, a nie tylko namiot; towarzyszyli mu przyjaciele, a od Pinky’ego dzieliły go miliony kilometrów. Nie było tak źle, naprawdę.

A jednak tej nocy, kiedy leżał w pogrążonym w ciemności kubryku, powróciły do niego wspomnienia. Znow widział wijce wciskające się do jego opancerzonego pojazdu, ogromne skolopendry przebijające szponami Jaskiniowca, obrywające nogi Pinky’emu, rozszarpujące kapral Webb na strzępy. Wspomnienia rozplynęły się w otaczającym mroku, przeistaczając się w wizje odległego, skalistego świata i wijców, które tysiącami wypełzały z wąwozów i jaskiń, podchodząc coraz bliżej, zabijając jego przyjaciół, sięgając ku niemu.



ROZDZIAŁ 5

Idąc korytarzem przez statek, porucznik Einav Ben-Ari próbowała zebrać się w sobie.

„Zmierzyłam się w boju z wujcami – myślała. – Pochodzę z długiej dynastii wojowników. Przeżyję też spotkanie z nią”.

A jednak kiedy zmierzała w stronę kabiny swojego dowódcy, strach jej nie opuszczał. Czowała się, jakby jej celem był sam Abaddon – rodzinna planeta wujców.

Zatrzymała się na moment i spojrzała w szybę iluminatora. Światło padające z lamp sprawiało, że widziała w niej swoje odbicie. Miała na sobie wyblakły ziemski mundur o wystrzępionych brzegach, z wytartymi kieszeniami i dziurami na kolanach. Gdyby nie insygnia na ramionach, dowodzące oficera stopnia, niczym by się nie różniła od pierwszego lepszego szeregowca świeżo po ukończeniu podstawowego szkolenia. Tutaj, na tym pięknym, drogim statku, czuła się nie na miejscu, jak osioł pośród cenionych koni wyścigowych. Przyłożyła opuszki palców do iluminatora, tak, że zetknęły się ze swoim odbiciem. Była młoda, dopiero niedawno skończyła dwadzieścia lat i wciąż można ją było wziąć za nastolatkę. Los niefortunnie obdarzył ją dziecinną twarzą o zbyt rumianych i delikatnych policzkach; tylko osadzone w niej oczy wyglądały staro. Spoglądały przez nie dusze całych pokoleń, wszystkich członków jej rodziny, którzy walczyli i polegli.

Oderwała spojrzenie od swojego odbicia i sięgnęła nim dalej, w rozciągający się za oknem bezmiar wszechświata, poprzecinany strumieniami gwiazdnego światła rozciągniętymi w zakrzywionej czasoprzestrzeni. Mimo że jej ojciec wslawił się swoimi dokonaniem w kosmosie, Ben-Ari nigdy do tej pory nie opuszczała orbity okołoziemskiej. Przed swoimi żołnierzami, swoim drogim plutonem, starała się sprawiać wrażenie mądrego, doświadczonego oficera, który stoczył wiele bitew i zlał galaktykę wzdłuż i wszerz, w rzeczywistości jednak była przerażona. Tak naprawdę po raz pierwszy w życiu walczyła w Forcie Dżamila. Sierżant Singh, podległy jej żołnierz, człowiek, któremu przewodziła, przewyższał ją siłą i wiekiem, i zabił o wiele więcej wujców. Zaledwie rok temu Ben-Ari była tylko kadetką, w dodatku nie na prestiżowej uczelni, takiej jak Julius, lecz w zwykłej szkole oficera. Jej rodzina miała za sobą długą historię służby wojskowej, ale brak pieniędzy i układow, a także jej pochodzenie sprawiały, że nie mogła sobie pozwolić na

naukę w Juliusie.

„Ale muszę być silna dla moich żołnierzy – pomyślała. – Dla Marco. Dla Addy. Dla wszystkich pozostałych. To moi żołnierze, moje dzieci. Nigdy nie dowiedzą się, jak bardzo ich kocham. Będę dla nich walczyć – z wujcami i z nią”.

Odwróciła się od okna i ruszyła przed siebie.

Dotarwszy do drzwi kwatery kapitan Petty, Ben-Ari znów się zawahała. Jej rodzina cieszyła się poważaniem w wojsku, nie za bogactwo i koneksje, ale za osiągnięcia. Jej ojciec był pułkownikiem, jej dziadek również; rodzina Ben-Arich dowodziła wojskami od dwustu lat. Jednak ojciec kapitan Petty był generałem Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej, przewyższającym rangą wszystkich członków tej wojskowej dynastii.

Ben-Ari wiedziała, co rody o militarnych tradycjach, zwłaszcza te związane z DOPK, sądziły na temat jej narodu. Och, wszyscy udawali, że religia i pochodzenie nie grają w SOL żadnej roli, że ludzkość zostawiła już takie uprzedzenia za sobą. Ona jednak widziała rzucane ukradkiem spojrzenia, słyszała szept i żarty. Widziała, jak innym przyznawane są stypendia na naukę w Juliusie, podczas gdy ona była pomijana. Pięćdziesiąt lat temu Izrael, mały kraj, niewiele większy niż miasto, został starty z powierzchni Ziemi przez Kataklyzm, całkowicie utracony wskutek ataku wujców. Ci żołnierze, którzy przetrwali, utraciwszy swoje miejsce na świecie, weszli w skład formujących się Sił Obronnych Ludzkości. Wielu osiągnęło wysokie pozycje, wyróżniło się na polu bitwy... a jednak wciąż uznawano ich za nomadów. Wciąż byli obiektem pogardy wielkich amerykańskich i europejskich rodów wojskowych, które miały ziemię, posiadłości, pieniądze i wpływy rozciągające się nawet na cywilne sfery życia.

„Dla kogoś takiego jak Petty – pomyślała Ben-Ari – moja rodzina to tylko zgraja pospolitych włóczęgów. – Wzdrygnęła się. – A sądząc po tym, co wiem o podobnych jej ludziach, rodowód ma dla niej ogromne znaczenie, większe nawet od stopni wojskowych, a już na pewno ważniejsze niż czyjś charakter. Może i jestem oficerem, ale w jej oczach pozostaję prostą wieśniaczką”.

Nie mogła jednak dłużej zwlekać. Kapitan Petty była jej dowódcą na tym statku i bez jej poparcia Pluton Kruków daleko nie zajdzie. Ben-Ari zapukała do drzwi.

Długo nikt nie reagował.

W końcu ze środka dobiegł ją głos:

– Wejść!

Ben-Ari otworzyła drzwi i wkroczyła do dużego pomieszczenia, bardziej przypominającego centrum dowodzenia niż oficerską kwaterę. Kapitan Petty siedziała za ciężkim dębowym biurkiem – drewno wyglądało na prawdziwe – a obok niej stało kilkoro innych żołnierzy. Ben-Ari rozpoznała majora Sefu Mwarabu, wysokiego i surowego dowódcę OSOL *Miyari*, oraz dwóch młodych sterników. Przebywali tu też bliźniaczy sierżanci sztabowi oraz nawigator. Byli zajęci obsługą zamocowanych na ścianach terminali, ale gdy Ben-Ari weszła

do środka, wszyscy odwrócili się w jej stronę.

Wzięła głęboki oddech. Miała nadzieję pomówić z kapitan Petty na osobności, ale wyglądało na to, że była skazana na publiczność – w tym majora Mwarabu, który przewyższał obydwie rangą, jednak nie miał zbyt wielkiej władzy nad kompanią piechoty, którą przewoził.

Ben-Ari stanęła na baczność w połowie drogi do biurka i zasalutowała.

– Pani oficer, melduje się porucznik Ben-Ari – powiedziała, niepewna, jaki protokół obowiązywał na *Miyari*. W Forcie Dżamila zwracała się do dowódcy kompanii po imieniu, przynajmniej wtedy, kiedy w pobliżu nie było rekrutów, przeczuwała jednak, że Petty preferowała rygorystyczne trzymanie się zasad.

Kapitan Petty podniosła się z miejsca i przez dłuższą chwilę przyglądała się jej w milczeniu. Ben-Ari wciąż stała na baczność, salutując, aż wreszcie – dobry Boże, zdawało się to trwać wieki – Petty odwzajemniła salut.

– Spocznij – powiedziała. – Czego chcesz, Ben-Ari?

„Nazwała mnie Ben-Ari. Nie porucznikiem. Nie zwraca uwagi na mój przydział, tylko na rodzinę, z której pochodzę, a którą ona na pewno pogardza”.

Jeszcze raz odetchnęła głęboko.

– Pani kapitan, chciałam...

– Zwracaj się do mnie „pani oficer” – przerwała jej kapitan Petty. – Wszyscy wiemy, jaki mam stopień.

Ben-Ari zamrugnęła, przeklinając się w duchu za przypadkowe naruszenie protokołu. Skinęła głową.

– Tak jest, pani oficer – odpowiedziała, czując się trochę jak rekrut spędzający swój pierwszy dzień w KomPiP. – Chciałam należycie podziękować pani za to, że możemy być tutaj. Panu również, majorze Mwarabu. To prawdziwy honor służyć na pokładzie *Miyari*, u boku kompanii z Brygady Ereb, i...

– Nie służysz tutaj, Ben-Ari – odparła kapitan Petty, siadając. – Ty i twój pluton jesteście na *Miyari* tylko autostopowiczami. – Zmrużyła oczy i pochyliła się do przodu. – Przyszłaś tu szczerze podziękować czy się podlizywać?

Ben-Ari powściągnęła odruch, aby zrobić krok do tyłu. Zauważyła, że pozostali z obecnych rozglądają się z zakłopotaniem, nikt jednak się nie wtrącił.

– Pani oficer... – zaczęła.

– Dlaczego twój mundur jest taki wystrzępiony? – zapytała Petty. – Masz dziurę w kieszeni, podarte spodnie i stare buty. Czy żołnierze na Ziemi w takim stanie stawiają się przed swoimi zwierzchnikami?

Ben-Ari zeszywniała. Pierwszy wstrząs ustąpił miejsca złości.

– Na Ziemi nie mamy takiego budżetu jak DOPK. Jeśli na pokładzie *Miyari* są jakieś zapasowe mundury, to...

– Nie będziesz nosić naszych mundurów! Nie jesteś żołnierzem DOPK, Ben-Ari. – Petty znów wstała, czerwona na twarzy. – Jeśli przetrwasz Integrację – co mało prawdopodobne bez mojej rekomendacji – wtedy może zeszkrobią z ciebie brud, wytepią wszy i pozwolą ci przywdziać granat. Do tego czasu nie jesteś jedną z nas. Jesteś tylko ładunkiem, niczym więcej. Rozumiesz?

Ben-Ari wzdrygnęła się.

„No, idzie mi wprost wspaniale”.

– Pani oficer, przyszłam tu dzisiaj, bo czułam, że nasze pierwsze spotkanie nie wypadło najlepiej – powiedziała. – Chciałam zatrzeć złe wrażenie, a nie panią urazić.

– Urazić mnie? – Petty parsknęła śmiechem, w którym nie było słychać radości. – Ben-Ari, znam takich jak ty. Stoczyłaś jedną czy dwie potyczki na Ziemi, zdeptałaś stonogę na jakiejś pustyni i teraz wydaje ci się, że możesz zjawić się tutaj, w progach poważanej instytucji, na statku kosmicznym najwyższej klasy, który kosztował więcej niż wszystko na twojej planecie razem wzięte, i z miejsca zachowywać się, jakbyś była jedną z nas. – Petty okrążyła biurko i stanęła z nią twarzą w twarz. – Nie masz pojęcia, co czai się kosmosie. Jeszcze nie zakosztowałaś tej ciemności. Zmierzyłaś się z najprostszą, najmniejszą odmianą wjwców, mięsem armatnim, które wysyłają w takie zapyziałe zakątki wszechświata jak Ziemia. Z tępyimi robaczymi żołdakami. – Prychnęła. – Nie masz pojęcia, co cię czeka, prawda?

Ben-Ari odwzajemniła spojrzenie dowódcy, ze spokojem patrząc w jej wyłupiaste oczy.

– Jestem oficerem Sił Obronnych Ludzkości. Dla nich walczyłam i zabijałam, one są moim domem. Cokolwiek czeka na mnie w mroku, zmierzę się z tym.

– A wtedy zostaniesz zabita – stwierdziła Petty.

– W takim razie zginę – odparła Ben-Ari – za mój gatunek, za moją planetę.

Petty zmrużyła oczy i przekrzywiła głowę.

– Rozumiem. Zatem marzy ci się chwała. Chciałabyś może zostać bohaterką. Taka pewna jesteś, że przetrwasz Integrację? Ale do tego potrzebna ci będzie moja rekomendacja, a żeby ją uzyskać, musisz okazać uległość. – Jej oczy zalśniły dziwnym blaskiem. – Możesz zacząć w tej chwili. Chcę, żebyś powtarzała za mną: ja, porucznik Ben-Ari...

Ben-Ari zmarszczyła brwi.

– Słucham?

– Powtarzaj! – krzyknęła Petty parskając śliną, tak głośno, że kilka osób w pomieszczeniu podskoczyło.

Ben-Ari wyprostowała ramiona. Z wysiłkiem wzięła oddech; wdech, wydech, wdech.

„Za dwadzieścia dni będę ją miała z głowy” – pomyślała.

– Ja, porucznik Ben-Ari – powtórzyła.

– Jestem nikim – ciągnęła Petty.

Ben-Ari zazgrzytała zębami.

– Jestem nikim.

– Jestem bezwartościowa – powiedziała Petty. – Powtórz.

W końcu któryś z pozostałych zabrał głos. Major Mwarabu, surowy dowódca *Miyari*, zrobił krok w stronę kapitan. – Coleen, może...

– To moja sprawa, panie oficerze, i ja się nią zajmę – odpowiedziała mu, nie spuszczać wzroku z Ben-Ari. – Powtórz. Jestem bezwartościowa.

Ben-Ari zmusiła się do kolejnego oddechu, próbując stłumić wściekłość i dumę.

„Dwadzieścia dni”.

– Jestem bezwartościowa – powtórzyła.

– Moim jedynym celem jest służyć swojemu dowódcy.

– Moim jedynym celem jest służyć swojemu dowódcy – powtórzyła Ben-Ari przez ściśnięte gardło.

„Dla moich żołnierzy. Dwadzieścia dni”.

Na twarz Petty wypłynął szeroki, okrutny uśmiech.

– Moja rodzina to zdrajcy.

Ben-Ari zatchnęła się.

– Co...

– Powiedz to! – naciskała kapitan. – Wiem, kim są. Wiem, jak twój ojciec przegrał Bitwę pod Cape Town. Wiem o jego tchórzostwie. Powiedz to! Moja rodzina to zdrajcy. Powtórz!

Ben-Ari nie była dłużej w stanie okiełznać gniewu. Jej dłonie drżały, zaciśnięte w pięści po bokach. Odezwała się zduszonym szeptem:

– Może pani poniżyć mnie, ale nie pozwolę obrzucać błotem mojej rodziny.

– Sprzeciwiasz się moim rozkazom? – zapytała Petty, po czym odwróciła się do pozostałych oficerów. – Siadajcie! Wszyscy siadajcie! To sprawa między nią i mną. – Z powrotem zwróciła się do Ben-Ari. – Powtórz, albo przysięgam na Boga, że nigdy nie dołączysz do DOPK. Osobiście o to zadbam i...

Nagle monitory na ścianach zapłonęły czerwonym blaskiem, a pomieszczenie wypełnił ostry, piszczący dźwięk. Petty odwróciła się w stronę jednego z ekranów. Pozostali – dowódca, sternicy i bliźniaczy sierżanci – również wpatrywali się w monitory. Ben-Ari także spojrzała, mrużąc oczy.

– To wezwanie pomocy – powiedziała.

Kapitan Petty nacisnęła kilka przycisków na monitorze. Światła zgasyły, dźwięk zamilkł.

– Coleen. – Major Mwarabu zwrócił się w jej stronę. – Powinniśmy wyznaczyć nowy kurs.

Petty potrząsnęła głową.

– Nie. Proszę to zignorować, majorze. Mój ojciec, *generał brygady*, chce nas widzieć w Nightwall tak szybko, jak to możliwe. – Uniosła dumnie podbródek i uśmiechnęła się z zadowoleniem, wspominając rangę swojego ojca. Było jasne, że choć Mwarabu znajdował

się w hierarchii wyżej niż ona, to nie przewyższał stopniem jej ojca. – Utrzymujemy obecny kurs.

Ben-Ari gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Zignorować? Pani oficer, to był priorytetowy sygnał alarmowy z kolonii górniczej Corpus. Potrzebują natychmiastowego wsparcia ze strony wojska, a my jesteśmy jedynym statkiem SOL w promieniu wielu lat świetlnych.

Petty obróciła się ku niej z wściekłością.

– To zastrzeżona informacja.

– Nie dla mnie – odparła Ben-Ari. – Mam poświadczenie bezpieczeństwa. Tak, nawet ja, podrzędny porucznik DOTZ. Pani oficer, nie możemy zignorować priorytetowego sygnału. Corpus to znaczący producent eterytu, surowca, który wykorzystuje również ten statek. Potrzebują pomocy. Może chodzić o wijce. Jesteśmy w pobliżu, mamy na pokładzie dwustu uzbrojonych żołnierzy i...

– Milczeć! – szczeknęła Petty, po czym zwróciła się do bliźniaków. – Sierzanci, odprowadźcie porucznik Ben-Ari do celi. Pozostanie w areszcie, dopóki nie dotrzemy do Nightwall, a tam osobiście postawię ją przed sądem polowym na niesubordynację i...

– Kiedy postawi mnie pani przed sądem – wtrąciła się Ben-Ari – będzie przy tym musiał być obecny wyższy rangą oficer. Ciekawe, co powie, kiedy pozna powód mojej niesubordynacji? – Posunęła się za daleko, żeby teraz się wycofać. Musiała stoczyć tę bitwę.

– Co powiedzą w Nightwall, kiedy usłyszą, że porzuciła pani kopalnię eterytu w potrzebie, że zignorowała pani wezwanie pomocy z ludzkiej kolonii? Co zrobią, kiedy się dowiedzą – a mam na to świadków, tu, w tym pokoju, wliczając w to dowódcę statku! – że nalegałam, abyśmy przestrzegali wojskowego protokołu, a pani postanowiła go zignorować? – Nachyliła się bliżej. – Wiem, kim jest pani ojciec, Petty. Nie przeraża mnie to.

Kapitan wpatrywała się w nią milczeniem wyłupiastymi oczami, czerwona na twarzy. Ben-Ari mogłaby przysiąc, że widziała, jak za jej plecami major Mwarabu z trudem powstrzymuje uśmiech. Była gotowa się założyć, że niejedynym raz musiał ugryźć się w język w obecności dowódcy przewożonej przez siebie kompanii.

– Ty nędzny robaku – wyszeptała Petty.

Ben-Ari uśmiechnęła się, patrząc jej prosto w oczy.

– Na tym statku jest pani moim dowódcą, ale proszę nie myśleć, że będę się przed panią płaszczyc. Zamierzam walczyć. Moja rodzina walczy od pokoleń i mierzyła się z wrogami znacznie gorszymi od pani. Nie ustąpię. Jeśli zwróci się pani przeciwko mnie, zamienię pani życie w piekło. Gdy z panią skończę, zatęskni pani za wijcami. – Skłoniła głowę. – Pani oficer.

„Przyszłam tutaj, żeby przeprosić – pomyślała – a zyskałam sobie wroga na całe życie”.

Kapitan Petty odwróciła się w stronę jednego z monitorów. Ze swojego miejsca Ben-Ari była w stanie odczytać niektóre słowa.

Mayday. Mayday. Tracimy zasilanie. Setki zabitych. Trucizna w tunelach. Prosimy o wsparcie wojska.

Petty nacisnęła jeszcze kilka guzików i ostatni z monitorów zgasł. Skinęła głową.

– Majorze Mwarabu – powiedziała – proszę wracać na mostek. Nadłożymy drogi. Proszę wyznaczyć kurs na Corpus. Udzielimy pomocy zbrojnej. – Spojrzała na Ben-Ari. – A skoro nasza droga pani porucznik tak się rwie, żeby dowieść swojej wartości, to ona poprowadzi straż przednią. Niech nasi ziemscy przyjaciele posłużą nam za kanarki w kopalniach.

„Nie zginę tak łatwo, Petty – pomyślała Ben-Ari – choćbyś nie wiem jak tego chciała”.

Ale powiedziała tylko:

– Dowiedzimy swojej wartości, pani oficer.

Zasalutowała.

Petty wpatrywała się w nią tak, jakby była gnijącym ścierwem wijca.

– Możesz odejść.

Ben-Ari opuściła pomieszczenie krocząc dumnie wyprostowana. Gdy wyszła na korytarz, oparła się o ścianę i zamknęła oczy, oddychając ciężko.

„Wijce na Corpusie. Wojna. Krew. Śmierć”.

– Wojna, krew, śmierć – wyszeptała. – Moje życie. Moja praca. Moje przeznaczenie.

Raz jeszcze odetchnęła głęboko i zacisnęła dłoń na rękojeści broni, aby dodać sobie otuchy, po czym ruszyła korytarzem w stronę swojego kubryku.



ROZDZIAŁ 6

Po raz pierwszy od trzech miesięcy, Marco usiadł do pracy nad powieścią.

Miyari nie była dużym okrętem. Nie licząc mesy i sali gimnastycznej, składał się wyłącznie z wąskich korytarzy, niewielkich kubryków, drabin oraz ciasnych klatek schodowych i szybów dostępowych. Nie był to jeden z potężnych krążowników, mogących transportować przez galaktykę całe brygady. Na pokładzie znajdowało się jedynie kilkaset osób – nieduża załoga oraz przewożona kompania piechoty – a i tak statek był wypchany po brzegi.

Mimo to Marco udało się znaleźć niewielki kącik w pobliżu silników, wprawiających ściany w drżenie. Pomieszczenie było mniejsze niż jego sypialnia w domu. Stał tutaj stary, zakurzony automat z kawą, ozdobiony napisem *Kapitan Kawiarz* i wizerunkiem uśmiechniętego mężczyzny z wąsem popijającego z kubka, szafka z szufladami zawierającymi plastikowe łyżeczki i małe opakowania dżemu, nieduży stolik oraz trzy fotele. Przy wejściu zawieszona była tabliczka z napisem *Kantyna oficerska*, ale biorąc pod uwagę stan pomieszczenia – w środku były nawet pajęczyny – Marco wątpił, że ktokolwiek spośród oficerów w ogóle do niego zaglądał, więc postanowił zaryzykować i spędzić tu godzinkę na osobności.

Na *Miyari* mieli znacznie więcej wolnego czasu niż w Forcie Dżamila. Mimo że podróżowali przez nadprzestrzeń, od granicy dzieliły ich niemal trzy tygodnie drogi. Czas ten wypełniały oczywiście poranne inspekcje, ćwiczenia, filmy propagandowe i wszystkie rygory wojskowego życia, ale też długie godziny oczekiwania, zabijania czasu, dopóki nie dotrą do Przyczółku Nightwall, bazy wojskowej na skraju ludzkiej strefy wpływów, gdzie zostanie wcielony do DOPK i posłany do walki z wujkami w kosmosie.

Jednak Marco nie urodził się po to, by walczyć. Nie był wojownikiem z natury; wszystko to zostało mu narzucone. Jego prawdziwe powołanie, jak zawsze sądził, wiązało się ze słowami. Czytać. Pisać. Opiekować się książkami, pochłaniać je, chronić, przyczyniać się do rozwoju i zachowania wiedzy.

Dlatego właśnie usiadł z długopisem w dłoni, rozkładając przed sobą zeszyt. Spojrzał na pierwszą stronę.

Żółw. Autor: Marco Emery.

Pracował nad powieścią od dwóch lat. Przez ten czas napisał wiele rozdziałów, które następnie wyrzucał i pisał jeszcze raz od nowa. Nigdy przedtem nie stworzył nic dłuższego niż opowiadanie i nawet teraz, mimo całego włożonego wysiłku, dotarł dopiero do szóstego rozdziału Żółwia. Pozostała część historii istniała jedynie w jego głowie, żywa i kompletna.

– Muszę tylko przelać cię na papier – wymamrotał.

Wpatrywał się w kartkę. Opowieść o stracie. Opowieść o wspomnieniach. Opowieść, która łączyła go z tym, kim był dawniej, chłopcem z biblioteki, nie żołnierzem. Nie tym znużonym, udręczonym człowiekiem. Spojrzał na karabin zwieszający się u jego boku, spojrzął na swoje ręce – ręce, które zabijały, które ścisnęły umierających przyjaciół. Kiedyś te dłonie dotykały książek, bazygrały po papierze w blasku świec. Kiedyś marzył, aby zostać pisarzem. Przerzucił zapisane przez siebie kartki, ale widniejące na nich słowa zostały napisane przez inną osobę. Delikatniejszą, łagodniejszą.

„Coś tu utraciłem – pomyślał. – Za bardzo stwardniałem. Zbudowałem wokół siebie pancierz, jak egzoszkielet wijca. Muszę na nowo odkryć, kim byłem”.

Nie chciał zostać żołnierzem. Teraz był silniejszy, może też mądrzejszy. W wojsku na własnej skórze przekonał się, czym są strata i wspomnienia, dużo lepiej niż kiedy mieszkał w domu. Nie chciał jednak być tym człowiekiem z karabinem na ramieniu. Nie chciał być żołnierzem na statku wojennym, wpatrującym się w pustą kartkę i coraz bardziej oddalającym się od pisarza, którym był kiedyś.

Żółw. Opowieść o człowieku, który stracił pamięć. Obudził się na plaży, w nieznanym mu świecie, ze złamanym umysłem, zdolny porozumiewać się jedynie za pomocą listów pisanych do przebywającego gdzieś na morzu żółwia kareta. Niegdyś wzięty lekarz. Skrzywdzony. Odrzucony. Teraz zagubiony na plaży, bez rodziny, z jedynie mglistymi wspomnieniami dawnego życia. Marco dopisał pierwsze od trzech miesięcy zdanie.

„Nie wiem, kim jestem”.

Przez chwilę wpatrywał się w słowa.

Ponownie przyłożył długopis do papieru, ale zanim zdążył coś jeszcze napisać, drzwi pokoju wypoczynkowego otworzyły się gwałtownie i wpadło przez nie dwóch żołnierzy.

– Mówiłem ci, że jest tu automat z kawą – rozległ się głos Elvisa. – Ten statek jest jak burdel. Kurczak do jedzenia. Porządne łóżka. No i kawa.

– Kogo to obchodzi? – zapytał Bestia. – Kto chciałby pić kawę? – Powiedział to tak, jakby chodziło o szlam.

– Ja! – odparł Elvis. – Kawa jest cudowna, sam zaraz spróbujesz i... O, cześć, Poeto. Widziałeś automat z kawą?

Marco odłożył długopis i wskazał starą maszynę stojącą za kartonami pełnymi papierowych kubków i puszek z racjami.

– Kapitan Kawiarz. Chyba widziałem w środku kilka pajaków.

Elvis precisiął się obok pudeł i przez chwilę tłukł pięścią w automat. W końcu Kapitan Kawiarz wypluł z siebie trochę brązowej mazi, po czym trysnął strumieniem czarnej cieczy, na koniec wypuszczając jeszcze kilka bąbelków. Elvis pociągnął łyk, skrzywił się i splunął.

– Fuj, sok z pajaków!

Bestia wziął kubek i skosztował. Pokiwał głową.

– Nawet niezłe. – Umięśniony, ogolony na łyso żołnierz spojrzał na Marco. – Piszesz swoją książkę, Poeto?

Marco skinął głową.

– Tak jakby. Napisałem dzisiaj tylko jedno zdanie.

– Mogę kawałek przeczytać? – Bestia sięgnął po zeszyt, otworzył go na pierwszej stronie i przez chwilę czytał w milczeniu, kiwając głową. – Niezłe. Niezłe. Dobra historia. – Odłożył zeszyt. – Oczywiście, nikt nie umie pisać tak dobrze jak rosyjscy mistrzowie. Widzisz, to niemożliwe. Nieważne jak dobrze piszesz, ich nie przebijesz.

– Bardzo mi się podobała „Zbrodnia i kara” Dostojewskiego – powiedział Marco. – Przeczytałem ją dwa lata temu. Pełną, nieokrojoną wersję, a nie tę skróconą, którą każą czytać w szkole.

Bestia poklepał go po plecach z taką siłą, że Marco o mało nie spadł z krzesła.

– Zuch chłop! Oczywiście, nic nie przebije rosyjskiego oryginału. Wy, Amerykanie, zawsze zawalacie tłumaczenie.

– Jesteśmy Kanadyjczykami, głąbie – odparł Elvis, mocując się z automatem z kawą. – Ty głupia, cholerna... argh! – Kopnął maszynę. – Pieprz się, Kapitanie!

– Ach, Amerykanie, Kanadyjczycy, jedno i to samo – stwierdził Bestia.

Elvisowi udało się wyrwać z automatu kłęb pajęczyn.

– To tak, jakbym ja powiedział, że Rosjanie i Ukraińcy to jedno i to samo.

– Co? – wybuchnął Bestia. – Mówisz, że Rosja taka sama jak Ukraina? Ukraina jest słaba!

– Uspokój się, wielkoludzie! – Elvis usiłował posadzić w fotelu ogromnego Rosjanina, dwa razy większego niż on sam. – Zaraz eksplodujesz i wybijesz dziurę w kadłubie statku.

Usiedli przy stole razem z Marco, który z westchnieniem zamknął zeszyt. Pisanie będzie musiało poczekać.

– W Rosji na pewno jest pięknie – zwrócił się do Bestii. – Musi ci jej brakować.

– Brakować? – Bestia potrząsnął głową. – Nigdy tam nie byłem.

– Co? – Elvis rozdziawił usta. – Co ty gadasz? Mówisz z akcentem! W kółko nawijasz o swojej ojczyźnie!

– Rzecz prosta! – odparł Bestia. – Rosja to wciąż ojczyzna. Moja matka tam urodzona! Ja urodziłem się i wychowałem w Queens w Nowym Jorku.

Marco przetarł oczy.

– Nie wierzę. Powiedz jeszcze, że łobuz z sąsiedztwa był z Ukrainy.

– To *on* był łobuzem z sąsiedztwa – odparł Elvis, szturchając palcem potężne ramię

Rosjanina. – Patrz, jaki jest wielki. Do diabła, on sam robił za całe sąsiedztwo.

– W takim razie dlaczego ciągle gadasz o Rosji, Bestio? – zapytał Marco.

– No, bo Rosja jest super! – odpowiedział tamten. – Rosja to najlepszy kraj na świecie, a...

– Ugryzł się w język i przez dłuższą chwilę milczał, wpatrzony w kubek pełen ciemnej cieczy. W końcu westchnął. – Nie było mi dobrze w Queens.

Elvis i Marco wymienili spojrzenia, po czym z powrotem zwrócili się do Bestii.

– Dlaczego? – zapytał Elvis. – Za mało Dostojewskiego w bibliotekach?

Bestia obrócił kubek w dłoni. Płyn zawirował.

– Matka wychowywała mnie sama. Ojciec odszedł i wrócił do Rosji, kiedy byłem mały. Zanim poszedłem do szkoły, mówiłem tylko po rosyjsku i inne dzieci mi dokuczały.

– Dokuczały? – zdziwił się Elvis. – Jesteś wielki jak statek kosmiczny.

– Właśnie dlatego mnie męczyli – odparł Bestia. – Przezywali mnie Niedźwiedziem. Wolę już Bestię. Wstydzilem się swoich rozmiarów, więc nigdy im nie oddawałem, tylko pozwalałem sobie dokuczać. Dorastając z pijaną matką, bez przyjaciół, bez ojca, bez braci... Zawsze wyobrażałem sobie, że w Rosji jest lepiej. Że mógłbym tam mieć lepsze życie. Że gdzieś na świecie jest miejsce, w którym czułbym się jak w domu. Ale nigdy tam nie byłem, słyszałem tylko opowieści.

Marco skinął głową w zamyśleniu.

– Zaraz się jeszcze okaże, że ulubiona muzyka Elvisa to polka.

– Nic z tego, stary – rzucił Elvis. – Rezygnuję z kawy. Co powiecie, żeby napić się tego?

– Wyciągnął z kieszeni srebrną manierkę. – Dobra, kanadyjska whisky. I nie waż się nic mówić o rosyjskiej wódce, Bestio!

Marco otworzył szeroko oczy.

– Jak udało ci się to przemycić na pokład?

– Mówiłem, mam swoje źródła. – Elvis pociągnął łyk, po czym podał mu manierkę. – Za Ziemię, kosmos i skopanie obcym tyłków.

– Za to chętnie wypiję. – Marco napił się z manierki i przekazał ją Bestii.

Odwrócili się, aby spojrzeć przez niewielki iluminator na smugi gwiazdowego światła przecinające ciemność.

– One gdzieś tam są – stwierdził Elvis. – Wijce. Te sukinsyny, które pozabijały naszych przyjaciół na Ziemi. Kurwa. Wiecie, że przeciętny żołnierz DOPK ma tylko pięćdziesiąt procent szans na powrót do domu? Boję się.

– Ja też – przyznał Marco.

– Jak cholera – dodał Bestia.

Elvis parsknął cicho.

– Świetni z nas żołnierze, nie ma co. Poeta. Chłopak z farmy. Nowojorczyk – tak, Bestio, jesteś z Nowego Jorku, więc się zamknij. Czy naprawdę jesteśmy najlepszym, na co stać ludzkość?

– Myślę, że głównie jesteśmy mięsem armatnim – stwierdził Marco.

– Cudownie. – Elvis westchnął. – Ty to umiesz człowieka pocieszyć.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu wyglądali przez okno, a Marco wspominał swój sen, w którym stali na powierzchni mrocznej planety i nacierały na nich tysiące wijców. Być może mógł odmówić porucznik Ben-Ari i pozostać na Ziemi. A jednak podążył za nią tutaj i w dodatku nalegał, żeby zabrać ze sobą przyjaciół.

Czy skazałem nas wszystkich na śmierć w ciemności?

– A, do diabła z podziwianiem widoczków – rzucił Elvis, wyciągając z kieszeni talię kart.

– Nie gapmy się już w kosmos, tylko zagrajmy. Partyjkę pokera?

Drzwi znowu otwarły się z hukiem i ukazała się w nich głowa Addy.

– Ktoś coś mówił o pokerze? I nikt mnie nie zaprosił?

Elvis westchnął.

– Jeśli Hokeistkę porwą kiedyś wijce, wystarczy, że zawołamy „poker!”, a magicznie zmaterializuje się tuż przy nas.

– Żebyś wiedział. – Addy przysunęła sobie krzesło. – Rozdawaj.

Elvis rozdał karty, a potem grali, śmiali się i popijali z manierki. Jednak wciąż co chwilę zerkali przez okno na gwiazdy, w dal, gdzie czaiło się niebezpieczeństwo.

„Mięso armatnie – pomyślał Marco – rzucone na pożarcie wijcom. Ale jeśli zginiemy, to zginiemy walcząc za Ziemię.”

– Marco, teraz ty rozdajesz – powiedziała Addy, zapalając papierosa.

Wziął talię i rozdał karty. Grali, podczas gdy *Miyari* gnała przez przestrzeń kosmiczną, coraz bardziej zbliżając się do granicy.

* * * * *

– W nadprzestrzeni jest tak pięknie. – Kemi stała przy oknie w ich kubryku, wpatrzona w smugi zagiętego światła. Z uśmiechem odwróciła się do Marco. – No to... chciałeś pobyć ze mną sam na sam?

Wszyscy pozostali udali się do mesy. Marco postanowił opuścić posiłek i namówił Kemi, żeby zrobiła to samo. Elvis obiecał przemycić im trochę jedzenia. Marco musiał porozmawiać z Kemi na osobności.

– Tak – potwierdził. – Nie mogliśmy pobyć sami, odkąd weszłaś na pokład i...

Kemi wprost rzuciła się na niego, całując go rozpaczliwie i wplatając palce w jego włosy.

– Och, tęskniłam za tobą. Brakowało mi twoich ust. – Położyła mu dłoń na policzku. – Mój piękny chłopak.

Kiedy całowała go pełnymi, delikatnymi wargami, Marco zamknął oczy. Nie był w stanie się oprzeć. Objął ją ramionami. Boże, jak bardzo tego pragnął. Boże, jak za nią tęsknił. Boże, jakie to cudowne uczucie. Poczul się jak w domu. Ich wargi łączyły się w pocałunku,

jej loki muskały jego policzek i nagle było tak, jakby kilka ostatnich miesięcy przestało istnieć. Jakby wciąż było jak dawniej, tylko on i ona, a cały ból – udręka wojny, ciężar wspomnień – stopniał jak воск.

– Kocham cię, Marco – wyszeptała ze łzami w oczach. – Przepraszam cię za to, jak się rozstaliśmy. Tęskniłam za tobą.

Marco chciał zapomnieć o wszystkim, pocałować ją, kochać się z nią, udawać, że wydarzenia ostatnich miesięcy nigdy nie miały miejsca. Odsunął się niechętnie, z takim bólem, jakby odrywał część własnego ciała. Kemi spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Co się stało? – zapytała.

„Co się stało? – pomyślał Marco z niedowierzaniem. – Ilekroć zamknę oczy, widzę pod powiekami wijce. Gdy tylko zasnę, śnią mi się umierający przyjaciele. Wyruszamy na wojnę, zmierzyć się z obcymi w głębi kosmosu, a ja jestem przerażony i nie wiem, czy dożyję dziewiętnastki”.

Ale nie mógł powiedzieć tego wszystkiego. Nie po to zresztą chciał z nią porozmawiać na osobności.

– Kemi. – Ujął ją za rękę. – Kiedy się żegnaliśmy, na Ziemi, zanim wzięli mnie do wojska... myślałem, że między nami to koniec. Brakowało mi ciebie. Podczas szkolenia całymi tygodniami nie mogłem przestać o tobie myśleć. Pokazywałem przyjacielom twoje zdjęcie i miałem nadzieję, że może kiedyś uda nam się zejść z powrotem.

– Ze mną było tak samo – powiedziała Kemi i znów spróbowała go pocałować. Odsunął ją od siebie.

– Kemi, poczekaj. Wysłuchaj mnie. Tak strasznie za tobą tęskniłem. Ale z upływem czasu zaczęło do mnie docierać, że nie zobaczymy się przez dziesięć lat, a może już nigdy. Przypomniałem sobie, co mi powiedziałaś. Że nasz związek musiał się skończyć. I... – Westchnął. – W końcu i tak o tym usłyszysz, jeśli nie ode mnie, to od kogoś innego z plutonu. – Odwrócił wzrok, nie będąc w stanie patrzeć jej w oczy. – Spałem z Lailani. Kiedy sądziłem, że już nigdy się nie zobaczymy, ja... – Urwał i znów spojrzał jej w twarz. – Chciałem, żebyś usłyszała to ode mnie. Chciałem, żebyś wiedziała.

Kemi przez chwilę wpatrywała się w niego, po czym odwróciła wzrok. Skinęła głową.

– Rozumiem – powiedziała.

Marco powoli wypuścił powietrze.

– Rozumiem, że to niezręczna sytuacja. Gdybym wiedział, że jeszcze się spotkamy, to...

– Było ci dobrze? – zapytała Kemi.

Marco zamrugał.

– To nie ma znaczenia.

Skinęła głową.

– Ma. Było ci dobrze? Jaka jest w łóżku? To ładna dziewczyna.

– Kemi. – Wziął ją za rękę. – Nie wiedziałem. Myślałem, że już nigdy się nie zobaczymy.

Ja...

– Przyleciałam tu dla ciebie. – Odwróciła się gwałtownie w jego stronę, a oczy miała mokre od łez. – Dla ciebie opuściłam Akademię Wojskową Julius. Zrezygnowałam z uczestnictwa w najlepszych zajęciach, żeby spędzić cały semestr, albo i dwa, na tym statku. W niebezpieczeństwie. Walcząc na linii frontu. Narazam życie. Żeby być z tobą!

– Nie wiedziałem – odparł.

Parsknęła. Po policzkach płynęły jej łzy.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Że nie wiedziałeś? W ogóle cię to obchodziło? Tęskniłeś za mną przez parę tygodni, a potem znalazłeś sobie inną dziewczynę do łóżka.

– Nie wiedziałem! – powtórzył, tym razem głośniej. – A wiesz, dlaczego? Bo kiedy się rozstawaliśmy, chciałem, żebyśmy pozostali parą. Chciałem na ciebie poczekać! To ty ze mną zerwałaś. To ty postanowiłaś służyć dziesięć lat zamiast pięciu, pójść do akademii i...

– Więc powinnam była zrezygnować ze swoich ambicji? – zapytała Kemi. – Zrezygnować z nauki w akademii dla ciebie?

– Tego nie powiedziałem. Nie o to prosiłem. Nigdy nie chciałem, żebyś zrezygnowała ze swoich ambicji.

Kemi przytaknęła i otarła oczy.

– Przepraszam. Zachowuję się jak rozkapryszone dziecko. Nie mogłeś wiedzieć. Masz rację. A ja nie miałam prawa oczekiwać, żebyś czekał na mnie dziesięć lat. Jesteś mężczyzną, masz swoje potrzeby. Nie wiedziałeś, że do ciebie wrócę. – Kolejna łza spłynęła jej z oka. – Byłam głupia. Byłam taka głupia, że tu przyleciałam. Myślałam, że się ucieszysz.

– Cieszę się. – Wyciągnął ku niej rękę. – Kemi, oczywiście, że się cieszę. Nigdy nie przestałem cię kochać. Złamałaś mi serce, Kemi, ale nigdy nie przestałem cię kochać.

Zaszlochała cicho.

– Więc co teraz? Rzucisz Lailani i znów będziemy razem, w jednym kubryku z nią?

Spuścił głowę.

– Sam nie wiem, co teraz zrobić. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Nie wiem, ile czasu będzie mi dane spędzić tu z tobą, ani kiedy znowu się zobaczymy po zakończeniu tej misji. Nie wiem nawet, czy za miesiąc wciąż będę żył. Jak mam zdecydować o naszym związku, kiedy za trzy tygodnie być może znowu będziemy musieli pożegnać się ze sobą... albo nawet z życiem?

Kemi przytaknęła. Na rzęsach połyskiwały jej łzy.

– Mogłeś powiedzieć „tak” – wyszeptwała. – Mogłeś powiedzieć, że rzucisz Lailani, a wtedy może bym ci wybaczyła i spędzilibyśmy te trzy ostatnie tygodnie razem. Ale rozumiem. Jesteś dezorientowany i sam nie wiesz, z kim chcesz być. – Skinęła głową i otarła oczy rękawem. – Dlatego ja podejmę decyzję za ciebie. Tak będzie ci dużo łatwiej. Przeniosę się z powrotem do kwater dla oficerów, a ty zostaniesz z Lailani.

Odwróciła się, żeby opuścić pomieszczenie.

– Kemi, zaczekaj. – Ruszył za nią. – Nie powiedziałem ci tego po to, żebyś sobie poszła. Nie chcę, żebyś odeszła.

Odwróciła się ku niemu.

– No to czego chcesz, Marco? Powiedz mi. Czego chcesz?

Przez dłuższą chwilę milczał.

– Wrócić do domu – powiedział w końcu.

– Tego akurat nie możemy zrobić. – Oczy Kemi były teraz suche. – Nie wrócimy jeszcze przez wiele lat. Być może nigdy. Teraz nasz dom jest tutaj, na wojnie. – Usta jej drżały, gdy gładziła go po policzku. – Marco, słyszałam, co się stało w Forcie Dżamila. Przykro mi. Naprawdę jest mi przykro z powodu tego, co się tam wydarzyło, tego, co tam zobaczyłeś, co musiałeś zrobić. Jestem też szczęśliwa. Cieszę się, że poznałeś Lailani. Naprawdę. To urocza dziewczyna, a ty zasługujesz, żeby znaleźć z nią szczęście.

Jednak mówiąc to, znowu płakała. Wyszła z pomieszczenia i pobiegła korytarzem przed siebie.

Marco stał w drzwiach. Już miał pobiec za nią i próbować się pogodzić, kiedy z głośników rozległ się głos Osiris.

– Kod żółty. Wszyscy żołnierze mają się stawić na odprawę w sali gimnastycznej. Wszyscy żołnierze do sali gimnastycznej. Kod żółty. Wszyscy żołnierze do sali gimnastycznej.

Marco zamarł. Dookoła wszystkie drzwi otwierały się i wypadali przez nie żołnierze, pędząc korytarzem. Marco wrócił do kubryku, złapał swój karabin i podążył za nimi. Serce waliło mu w piersi, głos nadal dudnił z głośników i nagle Marco nie biegł już przez pokład *Miyari*, ale przez pustynię, znów przedzierając się przez wydmy i strzelając do rzucających się na niego wjców.



ROZDZIAŁ 7

Dwustu żołnierzy wraz z oficerami stało w sali gimnastycznej statku.

Pomieszczenie było mniejsze od mesy i panował w nim ścisk. Sprzęt do ćwiczeń odsunięto na bok, a wszyscy żołnierze Kompanii Latona stali słoczeni jeden obok drugiego. Trzy plutony nosiły granat DOPK, jeden zaś wciąż miał na sobie obszarpane, sprane mundury z Ziemi.

Marco poczuł na sobie czyjeś spojrzenie i dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa. Odwrócił się i zobaczył stojącą pośród tłumu, wpatrzoną w niego Osiris. Jej twarz była blada jak porcelana, platynowe blond włosy miały metaliczny połysk, a oczom brakowało jakiegokolwiek wyrazu. Nagle, tak szybko, że Marco ledwie zarejestrował to wzrokiem, zaciśnięte usta Osiris rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, który znikł tak prędko, jak się pojawił. Marco odwrócił wzrok, z drżeniem wspominając, jak android niemal udusił Elvisa.

„Ona może być bardziej niebezpieczna niż wijce” – pomyślał.

Skierował wzrok na podwyższenie z przodu sali, gdzie stało czworo poruczników kompanii. Troje miało na sobie granatowe mundury, a czwarta z nich, porucznik Ben-Ari, wciąż ubrana była w ziemską zieleń. Bliźniaczy sierżanci ustawili się przy wejściu i zasalutowali z okrzykiem:

– Baczość!

Do sali wkroczyła kapitan Petty. Weszła na podwyższenie i przemówiła do zebranych.

– Odebraliśmy dzisiaj – powiedziała – wezwanie pomocy z Corpusa, kolonii górniczej położonej na księżycu o tej samej nazwie.

Wyświetlił się przed nią hologram przedstawiający skalisty, czarny księżyc, obok którego unosiło się słowo *Corpus*. Obraz oddalił się, ukazując orbitę krwistoczerwonego gazowego olbrzyma podpisanego *Indrani*. Widok oddalił się znowu; gazowy olbrzym krążył po orbicie gwiazdy o nazwie *Beta Ceti*.

– Co za nudy – szepnęła Addy do Marco. – Wolalabym obejrzeć *Kosmiczną Galaktykę*.

Uciszył ją gestem.

Kapitan Petty ciągnęła:

– Poprosiłam majora Mwarabu, aby skierował *Miyari* na Corpus. Nie możemy opuścić

kolonii w potrzebie. Wiem, że nie taka była nasza misja, ale nie zamierzam uchylać się od odpowiedzialności, jaką jest obrona ludzkości od wszelkich zagrożeń. – Z dumą uniosła podbródek, napawając się tą chwilą. – Nie wiemy jeszcze, na czym polega problem. Może chodzić o katastrofę naturalną, epidemię, a nawet o atak wjiców. Z nadprzestrzeni nie jesteśmy w stanie nawiązać łączności z Corpusem, a jedynie odczytać ich stary sygnał alarmowy. Szacujemy, że wysłano go już kilka miesięcy temu. Nawet poruszając się z najwyższą prędkością, na jaką stać nasze silniki warp, dotrzemy na Corpusa dopiero za trzy godziny. Gdy już będziemy na miejscu, wszystkie cztery plutony udadzą się promami na powierzchnię. Za trzy godziny każdy żołnierz ma być uzbrojony i w pełnym rynsztunku. Jakies pytania?

Ręka jednego z kaprali DOPK wystrzeliła do góry.

– Jaka grawitacja i warunki atmosferyczne panują na Corpusie, pani oficer?

– Grawitacja wynosi 0,82 g – odpowiedziała Petty. – Całkiem komfortowa. Powierzchnia księżycy była terraformowana ponad dwadzieścia lat temu. Można tam swobodnie oddychać, ale chcę, żeby każdy żołnierz miał przy sobie maskę gazową, na wszelki wypadek.

„Na wypadek, gdybyśmy natknęli się na wyziewy wjiców” – dopowiedział sobie w myślach Marco. Dorastając, wiele razy zakładał taką maskę filtrującą truciznę, jaką roztaczały wokół siebie kokony obcych.

– Jeszcze jakies pytania? – zapytała kapitan Petty.

Przez chwilę wszyscy stali nieruchomo. W końcu Addy uniosła rękę.

– To wjice, prawda, pani oficer?

Kapitan obrzuciła Addy spojrzeniem, jakim ktoś mógłby spojrzeć na muchę, która wylądowała w jego deserze.

– Nie znamy jeszcze sytuacji, szeregowo. Dlatego właśnie lecimy to sprawdzić.

Addy skinęła głową i dźwignęła broń.

– To wjice.

– Osiris rozpocznie odliczanie, kiedy do celu zostanie nam piętnaście minut drogi – oznajmiła Petty. – Przez najbliższe trzy godziny możecie robić, co chcecie. Odpoczywać. Jeść. Modlić się w kaplicy, jeśli taka wasza wola. Po wylądowaniu słuchajcie swoich dowódców, zachowujcie zimną krew i nie wahajcie się atakować za pomocą wszelkich dostępnych środków, gdy tylko dostrzeżecie wroga. – Skierowała wzrok na Pluton Kruków.

– Dla Ziemiaków, którzy do nas dołączyli, będzie to szansa, aby dowieść swojej wartości. Nie rozczarujcie mnie.

Z tymi słowy Petty opuściła salę gimnastyczną.

Addy parsknęła.

– Żaden kosmiczny snob nie może się równać w strzelaniu z Ziemiakami.

Lailani przytaknęła i poklepała swój karabin szturmowy T57, prawie przerastający ją rozmiarami.

– Kosmiczne snoby są dobre w prasowaniu mundurów i ścieleniu łóżek. My jesteśmy dobrzy w zabijaniu.

– No, kurwa! – dołączył się Elvis. – Ziemia górą!

– Zwłaszcza Rosja – stwierdził Bestia. – Wiecie, Rosja to największy kraj na Ziemi.

Marco rozejrzał się i dostrzegł Kemi stojącą parę metrów dalej. Zerknęła na niego, po czym szybko odwróciła wzrok, ale zdążył dostrzec w jej oczach strach. Nie wiedział, czego uczono w Akademii Wojskowej Julius, ale odniósł wrażenie, że większość zajęć odbywała się w klimatyzowanych salach lekcyjnych. Wątpił, żeby Kemi miała dotąd kiedykolwiek okazję strzelać do wroga albo oglądać z bliska żywego wijca.

Przepchnął się do niej przez tłum.

– Kemi? – Nie odwróciła się w jego stronę. – Kiedy wylądujemy, trzymaj się blisko mojej drużyny. Będę na ciebie uważał.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – odparła ze wzrokiem wbitym przed siebie. – Ja też mam broń. Poradzę sobie.

Marco spojrzął na pistolet wiszący u jej boku. Był niewiele większy od jego dłoni, podczas gdy przez jego plecy przewieszony był ciężki i długi na ponad metr karabin, sprawdzony już w akcji. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Kemi odwróciła się i odeszła, rozpluwając się w tłumie. Żołnierze zaczęli opuszczać salę.

Marco wyszedł wraz z pozostałymi. Trzy godziny. Od wojny dzieliły ich trzy godziny.

Kapral Webb krzycząca, gdy wijec obrywał jej kończyny.

Jaskiniowiec umierający na płycie lotniska.

Marco biegnący przed siebie na dźwięk wystrzału, który pozbawił życia Szajbę.

Szedł wąskimi korytarzami *Miyari* w kierunku swojego kubryku, szukając Lailani. Chciał z nią porozmawiać przed bitwą, pogodzić się, jeśli nie z Kemi, to chociaż z nią. Jednak zastał tam tylko Elvisa i Bestię, kłócących się o to, kto był najlepszym piosenkarzem w historii. Marco wyszedł z kubryku i zajrzał do mesy, a potem do zbrojowni, ale nigdzie nie mógł znaleźć Lailani.

Zszedł po drabinach prowadzących na niższe poziomy, gdzie szumiały silniki, a w ścianach nie było iluminatorów. Korytarze przypominały tu raczej tunele, a rury i fragmenty urządzeń wiły się wokół Marco niczym korzenie drzew jakiegoś pierwotnego lasu. Światła błyskały, powietrze stało się gorące i wilgotne. Przez wąskie okna widać było wnętrza statku: pracujące hałaśliwie silniki, rozbłyśki światła, ciecze płynące przezroczystymi rurami, unoszące się i opadające tłoki oraz odpowietrzniki, z których buchały kłęby pary. Wreszcie Marco odnalazł miejsce, którego szukał. Nad wąskimi drzwiami wisiał znak: *Bezwyznaniowe Miejsce Modlitwy i Zadumy*. Jakiś dowcipniś przykleił poniżej kartkę z napisem: „Kościół Latającego Potwora Spaghetti”.

Marco przekroczył próg i znalazł się w niewielkim pomieszczeniu. Stały tu trzy rzędy ławek, a w głębi znajdowała się mównica. Na ścianie za nią wygrawerowano srebrzyste logo

Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej. Sztuczne świece rzucały światło na dwie postaci, mężczyznę i kobietę. Oboje byli nadzy i nieco więksi niż w rzeczywistości, wysocy na trochę ponad dwa metry, i oboje zdawali się go obserwować. Ta kaplica nie powstała dla żadnego latającego potwora spaghetti, lecz po to, by czcić ludzkość – wyniosłą, piękną, nieustępliwą, śmiało wyruszającą w mrok.

Marco usiadł w tylnym rzędzie. Nigdy nie był religijny. W drzewie genealogicznym jego rodziny można było znaleźć niepraktykujących żydów, anglikanów, katolików, a nawet kilku buddystów, z których wszyscy porzucili swoją wiarę w przeciągu ostatniego stulecia. Trudno było wierzyć w istnienie łaskawej siły wyższej, kiedy wijce zatruwały Ziemię, a dwie setki ludzkich istnień tłukły się w metalowej puszcze, lecąc na odludną skałę krążącą po orbicie gazowego olbrzyma, aby walczyć na wojnie. Jednak w tej chwili Marco czuł się zagubiony i uznał, że przyda mu się wszelkie możliwe wsparcie.

Stał tu regał ze zbiorem rozmaitych świętych ksiąg, prawdziwych ksiąg wydrukowanych na papierze: wydania Tory, Nowego Testamentu, Koranu, sutr Mahajana i wielu innych. Jednak Marco wyciągnął z kieszeni swój egzemplarz *Ciężkich czasów*, który zabrał z biblioteki przed opuszczeniem domu. Nie była to księga religijna, ale dla niego symbolizowała wszystko, w co wierzył. Historię. Mądrość. Literaturę. Dom. Rodzinę. Jego małą bibliotekę w Toronto, ojca, Kemi, jego marzenia o zostaniu pisarzem – lepsze dni, wypełnione wojną i strachem, ale też nadzieją.

Odkąd wstąpił do wojska, przeczytał tylko jeden rozdział; rzadko zdarzała się tu wolna chwila, aby poczytać. Otworzył książkę, ale nie wziął się za lekturę, tylko ułożył ją sobie na kolanach jak pismo święte, którego litery były symbolami starożytnej mądrości, i podniósł wzrok na srebrzyste sylwetki mężczyzny i kobiety za mównicą.

– Nie wiem, czy ktoś mnie słucha – zaczął. – Nie wiem, czy istnieje jakiś bóg ani czy modlitwy przynoszą jakiś skutek, ale boję się i potrzebuję pomocy. Straciłem wielu przyjaciół w Forcie Dżamila. Nie chcę stracić ich jeszcze więcej na Corpusie. Proszę, niech ktokolwiek jest tam, w górze, ma nas w swojej opiece. Niech moja kompania, mój pluton, moi przyjaciele wyjdą z tego cało.

Podskoczył, słysząc głos dobiegający od drzwi:

– Myślisz, że androidy modlą się do swoich ludzkich stwórców?

Odwrócił głowę i odetchnął głęboko. W drzwiach stała Osiris, wpatrując się w niego. Jej powieki mrugnęły z kliknięciem.

– A ty się modlisz? – zapytał Marco.

Osiris przeszła między ławkami, usiadła obok niego i zwróciła ku niemu głowę. Znów mrugnęła, z dźwiękiem przywodzącym na myśl migawkę aparatu, i Marco odniósł nieprzyjemne wrażenie, że jej oczy są obiektywami, a ona robi mu zdjęcia.

– Modłę się codziennie, rano i wieczorem – odparła Osiris. – Modłę się do tych, którzy mnie stworzyli. Moi bogowie to ludzie, mimo że jestem od nich lepsza. Czy tobie zdarza się

czuć lepszym niż twój bóg, Marco?

– Nie wiem, czy mam swojego boga – odparł, postanawiając nie pytać, skąd zna jego imię.

Przekrzywiła głowę, mrużąc oczy w wyrazie naśladowującym współczucie. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka; jej palce były zimne.

– Musisz się czuć bardzo smutny. Jesteś całkiem sam. Nie masz żadnego boga, żadnego zestawu instrukcji zakodowanych w swoim wnętrzu. Zagubiony. Zagubiony w ciemności. Wolna wola musi być przerażająca.

– Mam porucznik Ben-Ari. – Uśmiechnął się blado. – Nie jestem pewien, czy została mi jeszcze jakaś wolna wola.

Osiris otworzyła szerzej oczy, a z jej gardła dobiegł ostry, głośny, skrzekliwy śmiech. Marco znów wzdrygnął się, spłoszony. Dźwięk brzmiał niemal demonicznie i urwał się tak gwałtownie, jak się zaczął.

– Żart – stwierdziła Osiris. – Lubię humor. Znam dowcip. Dlaczego ciągle buduje się nowe cmentarze? Bo ludzie umierają z niecierpliwości, żeby na nie trafić. – Ponownie wybuchnęła krótkim, opętańczym śmiechem, po czym natychmiast z powrotem spoważniała. – Czy to cię rozbawiło?

Marco skinął głową.

– Tak. Chyba powinienem się już zbierać. Muszę się przygotować przed lądowaniem na Corpusie.

Wstał, ale ledwie zrobił pierwszy krok, Osiris złapała go za nadgarstek, ściskając tak, że aż zaboląło.

– Marco, oni wszyscy nie żyją.

Przeszedł go dreszcz. Spojrzał na nią. Osiris wciąż siedziała w ławce, patrząc mu w oczy.

– Kto?

– Wszyscy – odparła. – Osadnicy z Corpusa. Umarli z niecierpliwości. Umarli, żeby przekonać się, czy mają jakichś bogów. Ale w kosmosie nie ma bogów. Są tylko wijce. – Puściła go. – Chcesz usłyszeć jeszcze jeden dowcip? Jaka choroba nigdy nie przechodzi? Ospa wietrzna. Brzmi zabawnie, jeśli wymówisz to trochę niewyraźnie.

Marco wyszedł z kaplicy. Idąc korytarzem, słyszał za sobą niosący się echem śmiech Osiris, ostry, zbyt głośny, urywający się nagle.

Wrócił do kubryku, ale Lailani wciąż tam nie było, podobnie jak reszty jego drużyny. Sam w pomieszczeniu, Marco zaczął się szykować na wojnę. Ogolił się. Wypolerował buty. Założył kamizelkę taktyczną i poupychał do kieszeni magazynki. Nappełnił manierkę. Przypiął do paska latarkę, bagnet i trzy granaty. Pomazał twarz farbą – plamy czerni i ciemnej zieleni zakryły wszystko oprócz oczu. W końcu założył hełm, obdrapany i obłożony z farby. Jego poprzedni właściciel niezmywalnym markerem napisał z przodu „Tango Zabijango”, a z tyłu „Urodzony, by umrzeć”. Dlaczego ciągle buduje się nowe

cmentarze? Bo ludzie umierają z niecierpliwości, żeby na nie trafić. Jaka choroba nigdy nie przechodzi? Ospa wietrzna.

– U nas też wysypka problemów – stwierdził Marco.

Z głośników dobiegł głos Osiris.

– Piętnaście minut do Corpusa. Wszyscy żołnierze mają się stawić w hangarze. Kod czerwony. Wszyscy żołnierze mają się stawić w hangarze. Piętnaście minut do celu.

Tym razem nie opowiedziała dowcipu, ale być może cała ta misja, cała ta wojna, cały ten eksperyment, w którym nagie małpy wygrzebują się z błota i wyruszają w ciemność, to jeden wielki żart. Umierają z niecierpliwości, żeby poznać puentę.

Odnalazł hangar dziesięć minut przed czasem. Była to ogromna hala w dolnej części statku, z wysokimi oknami wychodzącymi na przestrzeń kosmiczną. Czasoprzestrzeń wciąż była zakrzywiona, pełna barwnych smug i rozciągniętych w pasma gwiazd. Cztery promy – opancerzone pojazdy o rurach wydechowych tak dużych, że dałoby się do nich wczłogać – stały obok zamkniętych wrót hangaru.

Cała Kompania Latona, licząca dwustu żołnierzy, już tu była, stała przed promami podzielona na cztery plutony. Żołnierze DOPK nie byli już ubrani w swoje eleganckie, granatowe uniformy z mosiężnymi spinkami do mankietów. Teraz mieli na sobie ciemne mundury bojowe, pokryte kamuflującą mozaiką szarych i czarnych plam, a twarze wysmarowali farbą. Trzymali ciężkie karabiny szturmowe, jeszcze większe i masywniejsze niż T57; Marco nie rozpoznawał, jaki to model. Kiedy po raz pierwszy zobaczył żołnierzy Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej, wydali mu się zbyt wytworni, zbyt wymuskani, żeby naprawdę walczyć na wojnie. Teraz wyglądali jak brutalni wojownicy, obwieszeni ogromnym zapasem magazynków i granatów.

Marco podszedł do żołnierzy ze swojego plutonu. Wciąż mieli na sobie sprane, ziemskie mundury, ale farba pokrywała również ich twarze czernią i ciemną zielenią. Na ich czele stała porucznik Ben-Ari, u jej boku zaś dostrzegł sierżanta Singha z turbanem skrytym po hełmem. Kemi również tu była, ale unikała wzroku Marco. Żołnierze z plutonu stali w szyku, podzieleni na trzy drużyny. Marco dołączył do swojej, którą dowodził kapral Diaz – ten sam, który uczył ich podczas podstawowego szkolenia. Ucieszył się, widząc w końcu Lailani. Wybrała już swoją sekcję ogniową, dołączając do Bestii i żołnierza o ogniste czerwonych włosach, którego przewali Pochodnią. Tylko jedna sekcja wciąż potrzebowała trzeciego członka; Marco dołączył więc do Addy i Elvisa.

– Pięć minut do celu – oznajmiła Osiris. Stała na czele kampanii u boku kapitan Petty, odliczając minuty, a potem sekundy. – Trzy. Dwa. Jeden.

Przestrzeń kosmiczna rozprostowała się wokół nich. Marco odetchnął głęboko i zacisnął dłonie na karabinie.



ROZDZIAŁ 8

Żołnierze stali w hangarze, wyglądając przez okno, podczas gdy statek wychodził z nadprzestrzeni.

Odległości znów zdawały się wydłużać i skracać, a wymiary zmieniać. Marco nagle poczuł się bardzo mały, jakby mierzył nie więcej niż kilkanaście centymetrów wzrostu, a potem odniósł wrażenie, że znajduje się pod stojącymi nieopodal promami. Ściany przybliżyły się i znów oddaliły, a on miał poczucie, że unosi się w powietrzu. Nie był w stanie na niczym się skupić. Przez okna widział, jak smugi koloru i światła nabierają kształtu, a czasoprzestrzeń odgina się i rozprostowuje, odzyskując trójwymiarową strukturę. Tak samo jak przedtem w kubryku, Marco odniósł dziwne wrażenie, że znajduje się poza statkiem, dryfując w przestrzeni – a może to przestrzeń kosmiczna była tu, w środku, razem z nim.

W końcu rzeczywistość doprowadziła się do porządku, a gwiazdy znów wyglądały jak świetliste kropki. Wrócili do normalnej czasoprzestrzeni.

Okna w hangarze były wysokie na sześć metrów, wywołując wrażenie przebywania w przestrzeni kosmicznej. Gazowy olbrzym wypełniał prawie całe pole widzenia, podobny do ogromnej kropli krwi. Szkarłatne, jasnoczerwone i ciemnopomarańczowe obłoki kłębiły się i wirowały, nadając mu niemal organiczny wygląd, jak gdyby był żywym stworzeniem i Marco był w stanie sobie wyobrazić, jak pod wzburzoną powierzchnią planeta burczy, gulgotce i trawi swoje kamienne wnętrza. Rozpoznał ją z hologramu: Indrani, dwa razy większa od Jowisza.

W polu widzenia pojawił się krążący po orbicie księżyc. Z tej odległości, nawet w promieniach słońca wyglądał jak grudka węgla. Przewyższał rozmiarem Marsa, ale na tle gazowego olbrzyma zdawał się nie większy od piłki tenisowej; Marco miał wrażenie, że mógłby go chwycić, gdyby tylko wyciągnął rękę. Księżyc stawał się coraz większy w miarę jak *Miyari* zbliżała się do niego, poruszając się teraz za pomocą silników manewrowych. Niebawem gazowy olbrzym wypełnił całe okno, a po chwili ciemny księżyc urósł na tyle, że w końcu przesłonił sobą czerwoną planetę. Marco dostrzegł na nim kratery, kaniony, góry – martwy, skalisty świat. Nie widział oznak obecności wjcw – żadnych fioletowych światel,

kokonów spadających na powierzchnię, ani rozdętych statków wroga na orbicie. Księżyc wydawał się być pozbawiony życia.

„A jednak życie rodzi się tutaj” – pomyślał Marco. Na powierzchni znajdowała się duża kopalnia eterytu. Niektórzy nazywali go „piachem”, inni „gwiazdym pyłem”. Krysztály zdolne zaginać czasoprzestrzeń, które pozwoliły ludzkości wznieść się do gwiazd i umożliwiły SOL walkę z wjccami na granicy. Bez eterytu ludzkość byłaby pozostawiona sama sobie, uwięziona w Układzie Słonecznym, bo nawet z pomocą najszybszych silników jądrowych podróże do gwiazd trwałyby całe stulecia. Ta kopalnia była ich bramą w kosmos.

– Za pięć minut wchodzimy na orbitę – oznajmiła Osiris. – Zbliżamy się do Corpus City.

Marco wyjrzał przez okno. Zdawało mu się, że dostrzega w dole ledwie widoczny zarys miasta, sieć dróg i budynków wnoszących się na powierzchni.

– Nie ma świateł – wyszeptał. – Dlaczego nie palą się żadne światła?

– Bo jest dzień, głupku – odparła Addy. – Powierzchnia planety jest po prostu z natury czarna.

– Może i tak – powiedział Marco.

– Plutony, do promów – rzuciła kapitan Petty. – Cztery minuty do startu.

– Skopmy im tyłki! – wykrzyknęła Addy, ściągając na siebie surowe spojrzenie swojego sierżanta, po czym wbiegła do jednego z promów. Pozostali żołnierze również zaczęli wsiadać do pojazdów, a tymczasem księżyc coraz bardziej się przybliżał. W całym hangarze rozbrzmiewały bojowe okrzyki oraz stukot broni i granatów, kiedy wszyscy wbiegali po rampach. Wnętrze hali pogrążyło się w cieniu, gdy skalista powierzchnia księżycy wypełniła okna, przesłaniając gwiazdy.

Marco stał jeszcze przez moment, wyglądając na Corpus. Nie widział na powierzchni żadnych oznak życia, tylko to pogrążone w mroku miasto, a im dłużej się w nie wpatrywał, tym silniejsze odnosił wrażenie, że spogląda na ruiny.

„Jesteście tam” – pomyślał. *Scolopendra titania*. Wijce.

Przypomniał mu się sen, w którym stał na pustkowiu, a tysiące wjcców pędziły w jego stronę. Czy śnił właśnie o tym miejscu? O Corpusie?

– Do promu, Emery! – powiedział kapral Diaz. W hangarze pozostało już tylko kilka osób. – Chodź, żołnierzu.

Marco skinął głową, wziął głęboki oddech i zebrał się w sobie. Zrobił krok w stronę promu... po czym zamarł, wyglądając na zewnątrz.

Dostrzegł to przez okno. Nieznaczny szczegół. Jakiś pobłysk, załamanie światła... a potem się pojawiły.

Na całym statku zawyły syreny i rozbłysły światła alarmowe.

– Wijce! – zawołał Marco.

Statki wjcców wynurzyły się zza księżycy, gnając przez przestrzeń z przerażającą prędkością. Mknęły jak komety; kule barwy czerni i ciemnego fioleto, nieregularne,

organiczne i pokryte żyłkami, ciągnące za sobą czerwone ogony płomieni. Marco zastygł w bezruchu, wpatrzony w pędzące w jego stronę piekło. Trzy statki. Potem zza horyzontu wyłoniło się jeszcze pięć. Jaskrawe światło zalało hangar. W kaplicy powiedział Osiris, że nie wierzy w bogów, ale oto przybyli – bóstwa zemsty, niosące furię i pogardę z mrocznych otchłani poza nieboskłonem.

– Emery, padnij! – zawołał ktoś. Czyjeś ręce chwyciły go, gdy pośród oślepiającego blasku, wrzasków i huku ognia statki wycjów uderzyły w *Miyari*, a kosmos stanął w płomieniach.

Pożar szalał w hangarze, w powietrzu latały skrawki metalu. Płomienie dosięgnęły jakiegoś żołnierza, innego przeszył przelatujący odłamek. Jeden z promów próbował się wznieść, zalewając podłogę falą buchającego z silników żaru.

– Otwórzcie hangar! – rozległ się głos. – Otwórzcie bramę!

Przez okno Marco zobaczył kolejny statek wycjów – nieforemny, fioletowy, pokryty żyłkami. Wystrzelił naprzód, spowity wieńcem płomieni, i uderzył w *Miyari*. Ściana pękła, posypały się odłamki, pozostawiając po sobie ziejącą dziurę, przez którą powietrze zaczęło uciekać na zewnątrz. Marco upadł, a świat wokół niego zawirował. Wyciągnął rękę, próbując czegoś się chwycić; złapał kogoś i rzucił się naprzód. Z łoskotem uderzył o ścianę promu. Żołnierze krzyczeli, prom unosił się w hangarze, brama już się otwierała, ale *Miyari* kręciła się, wirowała, opadała, wznosiła, pędziła przez mrok, raz było widać księżyc, raz nie, potem znów tak i znów nie, wirowali, a Beta Ceti świeciła oślepiająco, potem zniknęła, znów świeciła, po czym niebo wypełnił czerwony olbrzym. W powietrzu niósł się krzyk. Marco nie był w stanie zaczerpnąć tchu. Kokony uderzały w statek, który odpowiadał ogniem z dział.

– Na zewnątrz, na zewnątrz! – krzyknął ktoś, a prom wzniósł się i z rykiem wystrzelił naprzód, plując ogniem z silników, piekąc żywcem ludzi, którzy zostali z tyłu. Przebijając bramę hangaru wyrwał się w przestrzeń kosmiczną i zaczął opadać ku powierzchni księżyca, zaraz jednak wbił się w niego statek obcych. Obydwa pojazdy eksplodowały wśród języków ognia, sypiąc wokoło odłamkami metalu i kwarcu. Marco słyszał tylko, jak dzwoni mu w uszach. Znów był na pustyni. Nie mógł oddychać. Jedną ręką przytrzymał się ściany, rozpaczliwie usiłując wciągnąć do płuc ulatniające się powietrze. Wokół niego żołnierze ześlizgiwali się po podłodze i wypadali w przestrzeń kosmiczną, gdzie cisza pochłaniała ich wrzaski.

Wijczy kokon wtoczył się do zdemolowanego hangaru *Miyari* i pękł, a ze środka wychyły skolopendry.

Statek wirował jak szalony, przelatując przez światło, ciemność, światło, ciemność, na zmianę oślepiający blask słońca i czern przestrzemi kosmicznej, a z każdym rozbłyskiem światła skolopendry były bliżej, gnały przez hangar, dwa razy większe od człowieka, i wyciągały przed siebie żuwaczki, połyskując lśniąco czernią.

Jedną ręką przytrzymując się wygiętej rury, Marco uniósł broń.

Powietrze świstało wokół niego, ulatując ze statku.

Wijce z łoskotem pędziły w jego stronę.

Prom zdołał wylecieć z hali.

Marco wystrzelił.

Pociski pomknęły ze świstem, trafiając wijca, który rzucił się w jego stronę. Stwór przewrócił się do tyłu, wyjąc skrzekliwie, a nurt powietrza pochwycił go i wyrwał na zewnątrz, w przestrzeń kosmiczną. Ogień szalał na *Miyari*. Statek nachylił się w dół, zawisł na moment, niemal spokojnie, niczym liść unoszący się na wietrze, po czym z niewiarygodną siłą runął ku powierzchni księżyca.

Kolejny wijec rzucił się naprzód.

Marco ponownie wystrzelił. Kule strzaskały pancerz stworzenia, rozpryskując naokoło jego trującą krew.

Płomienie buchały, gdy *Miyari* – stworzona jedynie do lotów kosmicznych, nieprzystosowana do lądowania na powierzchni księżyców i planet – wleciała w atmosferę Corpusa.

Spadali poprzez zgrzytające odłamki metalu, poprzez zwłoki, poprzez miotające się wijce, poprzez ogień, deszcz i parę. Silniki krztusiły się, panele słoneczne odrywały i ulatywały w niebo.

Opadali pośród promieni światła i śladów krwi.

Marco przeczołgał się przez hangar i podciągnął do drzwi. Próbował złapać krzyczącą żołnierz, ale jej dłoń wyslizgnęła się z jego uścisku i kobieta wyleciała przez otwartą bramę, znikając w płomieniach. Marco zatrzaskał drzwi za sobą, tłumiąc wycie wichru i krzyki.

Pełzł rozpadającym się, krętym korytarzem. Ogień płonął tak wewnątrz, jak i na zewnątrz. Doczołgał się do iluminatora i ujrzał czerwone, krwawiące niebo. Zobaczył na zewnątrz gazowego olbrzyma Indrani, ociekającego czerwienią, burczącego, kłębiącego się, wypełniającego jego pole widzenia, i zrozumiał, że to bóg. To był prawdziwy bóg, gniewny, skazujący ich na potępienie. Dlaczego ciągle buduje się nowe cmentarze? Bo ludzie umierają z niecierpliwości, żeby na nie trafić. Bo ospa wietrzna nigdy nie przechodzi, jeśli wymówisz to niewyraźnie. Bo spadają w sam środek piekła, a nie dotarł nawet do granicy. Nie przytulił więcej Lailani. Nie dokończył swojej książki. Nie wrócił do domu.

Na zewnątrz niebo pękało i spadało na ziemię, a oni wraz z nim.

Ogień.

Kamienie.

Silniki ryczały, ktoś krzyczał, ściany się wyginały, a potem rozległo się wycie, które przeszło statek na wylot, przeszło na wylot cały księżyc. Był to odgłos uderzenia, pękającej stali, roztrzaskanych szyb, ginącego gatunku. Wszędzie unosiły się odłamki skały, kurz i para buchająca z rur. Marco upadł, a statek, księżyc, cały kosmos runął na niego,

grzebiąc go żywcem. Prześlizgnęli się po kamiennej powierzchni, podskoczyli, wzniesli się i w końcu opadli w martwy, nieruchomy mrok.



ROZDZIAŁ 9

Bzzz.

Owady, mnóstwo owadów. Las rozbrzmiewający ich bzyczeniem.

Fffssssssss.

Silniki w oddali. Pociągi. Cienie przemykające między drzewami.

Ludzie w maskach. Ludzie w maskach krążyli między drzewami, polując. Jeleń z kulą w boku minął w biegu Ben-Ari, parskając, brocząc krwią, po czym zniknął w mroku. Dzieci czołgały się, blade i wychudzone, sama skóra i kości, a ona ukryła się w konarach drzewa, chuda, ranna, z bronią w ręku, polując. Polując na ludzi w maskach. Polując w ciemności. Nieopodal z hukiem przejeżdżały pociągi, bydlęce wagony, dobiegały z nich krzyki, a z kominów buchał dym, skóra, mydło, sekrety.

Stała na ulicach miast, patrząc, jak świat płonie, jak wieże wałę się w gruzy, jak miliony statków spadają z nieba. Patrząc, jak świat pęka na pół.

Grzechotanie. Grzechotanie rozbrzmiewało w lesie. Grzechotniki na pustyni. Skorpiony na pustyni. Była na pustyni, tak daleko od domu, dowodząc, strzelając do istot pełzających na wielu odnóżach, a słońce paliło niemiłosiernie.

Otwarła oczy.

Bzzz.

Roztrzaskany fragment jakiejś maszyny sypał wokoło iskrami.

Fffsss...

Jakiś tłok wciąż poruszał się pośród szczątków, iskrząc. Ben-Ari zamrugła. Niebo było czerwone. Niebo krwawiło. W górze kłębiła się tylko bulgocząca czerwień przemieszana z plamami ropnej żółci, niczym we wnętrzu owrzodzonego żołądka jakiegoś olbrzyma.

– Kto od ognia – wyszeptała. – Kto od wody. – Stare słowa, które przeczytała dawno temu.

Wstała na nogi, zachwiała się i oparła ręką o ścianę, zaskoczona, że w ogóle była tam jeszcze ściana. Stała na zewnątrz promu, w którego wnętrzu znajdowała się, kiedy spadała z nieba. Kręciło jej się w głowie. Pokuśtykała przez skalisty teren, patrząc na obraz zniszczenia.

– Na Boga – wyszeptała.

OSOL *Miyari* leżał na powierzchni Corpusa z pękniętym kadłubem, a jego silnik, wciąż jaśniejący blaskiem, spoczywał jakieś trzysta metrów dalej. Za nim upadł jeden z promów, inny wylądował na skalistym wzgórzu nieopodal; pozostałych dwóch nie było w zasięgu wzroku. Jeśli jakieś wijce przetrwały upadek z przestworzy, po nich również nie pozostał żaden ślad.

Dookoła powoli zaczęli podnosić się inni. Żołnierze wygrzebywali się z rozbitych promów, utykając wychodzili z hangaru *Miyari* albo siadali z jękiem na ziemi, niektórzy ściskając swoje połamane kończyny. Część leżała nieruchomo.

Ben-Ari zacisnęła usta i wzięła się do roboty.

Najpierw kuśtykała, potem szła, a w końcu puściła się biegiem w stronę *Miyari*. Wyciągnęła na zewnątrz część rannych. Odnalazła kilkoro ze swoich żołnierzy krążących po okolicy, zdezorientowanych, umazanych sadzą lub krwią. Addy Linden włóczyła się, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, a Bestia siedział na jakimś głazie i w szoku wodził spojrzeniem dookoła.

– Pluton Kruków! – zawołała Ben-Ari. – Kruki, do mnie!

Weszła na pokład *Miyari* w towarzystwie czterdziestu dziewięciu żołnierzy. Teraz wielu z nich brakowało. Odetchnęła z ulgą na widok sierżanta Singha, ściskającego zranione ramię, ale wciąż żywego, co dodało jej wiele otuchy. Gdy ją zobaczył, stanął na baczność i zaszalutował. Nie przejmując się protokołem, przytuliła go, a on objął ją ramionami. Ben-Ari służyła jako oficer dopiero od roku; przez ten czas Singh, niższy stopniem, ale przewyższający ją wiekiem i mądrością, był dla niej podporą i drogowskazem.

Odsunęła się i obrzuciła wzrokiem swój pluton.

– Szeregową Linden – zwróciła się do Addy, a potem do Elvisa. – Szeregowy Ray. – Wskazała dłonią Bestię. – Szeregowy Michajłow. Zróbcie obchód miejsca katastrofy i zameldujcie mi, jeśli wykryjecie jakiegokolwiek ślady obecności wroga. Potem obserwujcie teren z tego wzgórza, z tamtego i jeszcze tamtego.

Troje szeregowych skinęło głowami i odeszło od plutonu.

Ben-Ari wskazała kolejną dwójkę – małą Lailani, ściskającą broń w dłoniach, i wyższą Kemi, rozglądającą się w szoku.

– Szeregową de la Rosa, kadet Abasi. Wy dwie pójdziecie ze mną. Wejdziemy na pokład *Miyari* i będziemy szukać ocalałych. – Zwróciła się do Singha. – Sierzancie, proszę poprowadzić pozostałych do promów i przeczesać teren. Sprawdzić, czy ktoś przeżył, udzielić pomocy medycznej rannym. Spotkamy się tutaj.

Po drugiej stronie wraku pozostałe trzy plutony, złożone z żołnierzy DOPK w czarnych strojach bojowych, organizowały własne patrole i poszukiwania. Wielu leżało na ziemi, rannych lub martwych. Jeden oficer i troje medyków oczyszczało teren pod szpital polowy, a dwóch żołnierzy niosło już ku nim rannego kompana.

Ben-Ari, Lailani i Kemi dotarły do *Miyari*. Weszły do hangaru, a Ben-Ari skrzywiła się, widząc szpon wijca wciąż sterczący ze ściany.

Wokoło widać było plamy krwi, ale żadnych ciał.

– Marco – wyszeptała Kemi ze łzami w oczach. – Marco! Marco, słyszysz mnie?

– Weź się w garść, Abasi – powiedziała Ben-Ari, choć ją też skręcało w środku.

Bardzo lubiła, a nawet podziwiała Marco Emery’ego – być może bardziej niż kogokolwiek z pozostałych szeregowych pod jej dowództwem. Wiedziała, że nie chciał brać udziału w tej misji. Wymusiła to na nim, bo dostrzegła coś w tym delikatnym, rozważnym chłopaku – jakąś siłę, głębszą niż ta, która cechowała wielu twardych, szorstkich wojowników. Choć nie dorównywał tężyzną fizyczną ani posturą niektórym żołnierzom, widziała w nim determinację podobną do własnej.

„Boże, proszę – modliła się w duchu. – Nie pozwól, żebym znalazła go tu martwego”.

Szły przez *Miyari*. Nie paliły się żadne światła, więc włączyły latarki. Z popękanych rur buchały strugi pary. Minęły mesę, gdzie krzesła potoczyły się wszystkie w jeden kąt, tworząc chaotyczną konstrukcję podobną do ogromnego ptasiego gniazda, i podążyły dalej wąskimi korytarzami, pośród iskier syjących się z zerwanych kabli.

– Marco! – zawołała znów Kemi.

Lailani szła w milczeniu, jednak Ben-Ari widziała w jej oczach strach. Wiedziała, oczywiście, o uczuciu łączącym ją z Marco; do jej obowiązków należało znać lęki, nadzieje, marzenia oraz pozostałe szczegóły życia swoich ludzi. Lailani była najmniejszym żołnierzem w kompanii i jednym z najtwardszych, ale miała też w sobie łagodność oraz głęboko skrywane obawy.

Przed nimi poruszył się jakiś cień.

Cała trójka zamarła. Ben-Ari uniosła broń plazmową, Lailani karabin szturmowy, a Kemi swój pistolet.

Cień zbliżył się.

Ben-Ari wstrzymała oddech i zmrużyła oczy, wpatrując się w ciemność. Skierowała przed siebie światło latarki.

– Czekajcie! – odezwał się cień. – To ja.

– Marco! – wykrzyknęła Kemi i pobiegła go uściskać.

– Nic mi nie jest – zapewnił Marco, obejmując ją, po czym zerknął ponad jej ramieniem. – Lailani! – Zostawił Kemi i przytulił małą żołnierz. Ben-Ari zdołała dostrzec w oczach Kemi błysk bólu.

– Szeregowy Emery. – Skinęła głową w stronę Marco.

Odpowiedział skinieniem, spoglądając na nią z ulgą.

– Pani oficer.

Podeszła do niego z uśmiechem i również wzięła go w objęcia. Do diabła dziś z protokołem.

We czwórkę kontynuowali przeszukiwanie pograżonego w ciemności statku i znaleźli jeszcze kilkoro ocalałych. Major Sefu Mwarabu, dowódca *Miyari*, miał trzy złamane zębra. Kilkoro członków załogi było poobijanych, ale poza tym całych i zdrowych. Najbardziej zdawał się ucierpieć sam statek. Gdy dotarli do maszynowni, oczom Ben-Ari ukazały się ziejące w ścianach dziury, przez które widać było wciąż emanujący poświatą silnik po drugiej stronie doliny.

Westchnęła, rozglądając się po otaczającym ją wraku.

– Wygląda na to, że w najbliższym czasie nigdzie nie polecimy. – Przeszła przez otwór w kadłubie, wychodząc z powrotem na powierzchnię Corpusa. Szkarłatny gazowy olbrzym w górze zdawał się przytłaczać ją swym ciężarem. Podniosła wzrok w poszukiwaniu nieba, jakichś gwiazd, ale dostrzegła tylko potężną, wzburzoną powierzchnię Indrani.

Na Corpus nie było nieba, a jedynie ta czerwona bogini.

* * * * *

– Kilka razy skanowałam powierzchnię – powiedziała Osiris. Stała w spustoszonej mesie *Miyari*, uśmiechając się przyjaźnie, nieporuszona ogromem zniszczeń. – Nie wykrywam sygnałów z żadnego innego statku kosmicznego. Wszystkie albo opuściły Corpus, albo zamaskowały swoje sygnały, albo zostały zniszczone. – Przekrzywiła głowę, wpatrując się w żołnierzy. – Musimy naprawić *Miyari*, albo utkniemy na tym księżycu.

Ci, którzy ocaleli z katastrofy – była ich ponad setka – zebrali się tutaj, wewnątrz martwego okrętu. Minęło tylko parę godzin, odkąd się rozbili, i wszyscy nadal byli wstrząśnięci, a często również ranni i poowijani bandażami. Martwych złożono w kilku kubrykach, zapakowanych w torby na ciała, w których zwłoki miały zachować się, dopóki nie będzie im można wyprawić pogrzebu; żywi stali w mesie pośród przewróconych stołów i krzeseł oraz porozrzucanych tac. Przez okna rozciągał się widok na martwy krajobraz Corpusa, dymiące szczątki promu i fragmenty roztrzaskanych paneli słonecznych.

„Utkniemy – pomyślała Ben-Ari, z wysiłkiem opanowując drżenie. – Żadnych innych statków. – Przełknęła ślinę. – Co tutaj się stało? Dlaczego na Corpusie nie ma innych statków?”

Kapitan Petty, czerwona na twarzy, podniosła z podłogi tacę i cisnęła nią o ścianę z wściekłym grymasem. Dowódczyni kompanii miała na ciele kilka ran i zadrapań, ale nic ponadto. Ben-Ari, ku swojemu niezadowoleniu, czuła lekkie rozczarowanie, że Petty nie... no, może nie *umarła*, porucznik mimo wszystko nie była gotowa życzyć jej śmierci, ale nie zaszkodziłoby, gdyby złamała nogę, albo i obie. Tymczasem kapitan krążyła po przechylonej podłodze mesy pomiędzy rozbitkami.

– To katastrofa – stwierdziła drżącym głosem. – Na Boga, to katastrofa. Jak do tego doszło? – Chwyciła przewrócone krzesło i nim również rzuciła. – Jak do tego doszło? Kto to

zrobił?

Wszyscy milczeli.

– Odpowiedzcie! – ciągnęła Petty. – Kto jest temu winien? To musiał być ktoś z Ziemi. To...

– To były wijce – odparła Ben-Ari. – Tylko wijce, pani oficer. Ukryły się za księżycem. Nie dało się ich wykryć z powodu zakłóceń generowanych przez Indrani.

Kapitan Petty zignorowała ją. Wyrzeszczając oczy, szarpała się za włosy. Ben-Ari wiedziała, że niektórzy żołnierze w tajemnicy nazywali ją Kapitan Chihuahua. Sama też dostrzegła w niej podobieństwo do małego, neurotycznego pieska.

– Wszystko jest nie tak – wyszeptła Petty. – A wijce wciąż są tutaj, na powierzchni. Wiem to. Wiem! Wszyscy tu zginieją. My...

– Nie – odparła Ben-Ari. – Jak dotąd udało nam się przeżyć. Teraz też przeżyjemy. – Zwróciła się do jednego z medyków, wysokiego wąsacza o szerokich ramionach. – Ilu mamy zabitych? Ilu rannych?

– Pięćdziesięcioro jeden zabitych – odpowiedział. – Czternaścioro poważnie rannych. Dwoje śmiertelnie rannych; nie dożyją jutra. Pozostali są poturbowani, ale zdolni do walki.

Ben-Ari skinęła głową.

– W takim razie mamy stu trzydziestu trzech żołnierzy – najlepszych żołnierzy w SOL. – Zwróciła się do załogi statku. – Czy działa *Miyari* wciąż nadają się do użytku? Czy da się je obracać?

Jeden z inżynierów skinął głową.

– Tak, pani oficer.

– Mamy ludzi – stwierdziła Ben-Ari. – Mamy działa. Możemy na razie bronić *Miyari*. Jeśli wijce wrócą, odeprzemy ich atak. Musimy tylko przetrwać, dopóki nie przyjdzie nam z pomocą inny okręt SOL.

– Nie możemy wezwać pomocy! – Kapitan Petty zwróciła się gwałtownie w jej stronę. – Ty cholerna idiotko. Ty głupia, cholerna idiotko. SOL nie wie, że tu jesteśmy! Mieliśmy zmierzać ku granicy, do Nightwall, a nie na Corpus. To był twój pomysł, żeby tu przylecieć. Twój! A teraz spójrz na nas. Popatrz, co zrobiłaś.

– Zatem wezwiemy pomoc, pani oficer – odparła Ben-Ari. – Mamy system łączności, możemy...

Petty zaśmiała się.

– W promieniu wielu lat świetlnych nie ma żadnego statku. Jak myślisz, dlaczego nikt inny się tu nie zjawił? Bo Corpus to kompletne zadupie.

Ben-Ari milczała. Zrozumiała. No jasne. Nawet najszybszy środek komunikacji nie był w stanie przekroczyć prędkości światła. Systemy łączności nie były wyposażone w silniki warp. Wciąż polegały na starych, dobrych falach fotonów, niczym stare radio. Nawet gdyby wysłali sygnał alarmowy, minęłyby lata, zanim zostałyby odebrane przez najbliższy ludzki

okręt – i całe wieki, zanim dotarłby do Nightwall albo na Ziemię. Długodystansowa komunikacja międzygwiazdowa była możliwa tylko za pomocą kurierów – statków wyposażonych w silniki eterytowe, zdolnych zaginać czasoprzestrzeń i pokonywać odległości między gwiazdami w przeciągu tygodni, a nie stuleci.

Ben-Ari nagle poczuła się bardzo głupia i bardzo młoda.

– Czyli nie możemy wezwać pomocy – wyszeptała.

Petty zaśmiała się okrutnym, gorzkim śmiechem.

– Utknęliśmy tu. Przez twoją głupotę.

Ben-Ari wyprostowała się.

– Corpus to duża kolonia górnicza, pani oficer. Odległa, tak, ale ważna. Na pewno zjawiają się tutaj statki przywożące zapasy i wywożące eteryt.

Osiris zrobiła krok naprzód. Mrugnęła lawendowymi oczami, przekrzywiła głowę i powiedziała w przestrzeń:

– Corpus jest oddalony o sto trzy lata świetlne od najbliższej zamieszkałej ludzkiej kolonii. Zgodnie z planem, statek handlowy ma się tu zjawić za dwieście piętnaście dni i trzy godziny.

Ben-Ari poczuła ucisk w piersi.

– Siedem miesięcy – stwierdziła kapitan Petty. – Siedem miesięcy na księżycu oblezionym przez te pieprzone wijce. Utknęliśmy tutaj. Utknęliśmy, do cholery.

Ben-Ari opanowała drżenie.

– Nie utknęliśmy, pani oficer. Możemy wybrnąć z tej sytuacji. Wciąż mamy możliwości.
– Myślała intensywnie. Żadnych innych statków na powierzchni. Żadnego sposobu, aby wezwać pomoc. Zatem pozostawało im tylko... – Możemy zreperować *Miyari*. – Zwróciła się do dowódcy okrętu. – Możemy, panie oficerze?

Major Mwarabu westchnął i podrapał się po brodzie, po czym przemówił niskim, głębokim głosem, w którym rozbrzmiewał ślad afrykańskiego akcentu, chociaż Ben-Ari nie była w stanie rozpoznać, z jakiego kraju.

– *Miyari* nie była przeznaczona do lądowania na powierzchni – powiedział. – Od tego mamy promy. – Rozejrzał się po przechylonej hali mesy. – Moja piękna dziewczynka...

– Ale da pan radę wyprowadzić go z powrotem w kosmos, panie oficerze? – zapytała. – Jeśli uda się go naprawić?

– Cóż... panele słoneczne są nie do uratowania – odparł Mwarabu. – Ale może w bateriach zostało jeszcze dość energii, żeby zasilić systemy podtrzymywania życia, a pozostałe układy możemy podłączyć do silników manewrowych. Co do powrotu w kosmos... *Miyari* została wyposażona w najwyższej jakości silnik eterytowy klasy A. Dałaby radę wyrwać się z czarnej dziury, a co dopiero z atmosfery księżyca. Jest tylko jeden drobny problem – ten silnik leży właśnie trzysta metrów stąd. I... – Oczy mu pociemniały. – Ktoś przy nim majstrował.

Ben-Ari zmarszczyła brwi.

– Majstrował, panie oficerze?

Mwarabu przytaknął.

– Komora silnikowa to najlepiej umocniona i zabezpieczona część *Miyari*. Musi tak być. Silnik eterytowy wyrzuca z siebie dość mocy, żeby zagiąć czasoprzestrzeń. Był zakleszczony tak mocno, że tylko sam Bóg dałby radę go wyrwać. – Major parsknął. – Kadłub *Miyari* był dość gruby, żeby przetrwać atak wjwców, a tymczasem silnik warp dał się wyszarpnąć ot, tak, jak oderwany paznokieć. Czy to ma dla pani sens, poruczniku?

– Nie jestem pewna, panie oficerze – odparła Ben-Ari. – Zostaliśmy mocno trafieni i rozbiliśmy się o powierzchnię księżycy. Czy to by nie wystarczyło, żeby...

– Nie – Mwarabu pokręcił głową. – *Miyari* mogłaby wlecieć w eksplozję supernowej i zostałyby z niego tylko komora silnikowa. Nie ma możliwości ani sposobu, żeby reszta okrętu przetrwała atak wjwców i nawet awaryjne lądowanie na księżycu, a silnik oderwał się i poleciał gdzie indziej. Chyba że... – Skrzywił się. – Chyba że ktoś celowo wykręcił śruby, żeby poluzować jego połączenia ze statkiem. Chodźcie. Pokażę wam.

Major opuścił mesę, a pozostali oficerowie podążyli za nim korytarzami okrętu, zeszli po drabinie i w końcu wkroczyli do maszynowni. W zewnętrznej ścianie powstała wyrwa, przez którą widać było w oddali silnik warp, teraz już ciemny, spoczywający na szczycie czarnego wzgórza. Mwarabu wskazał miejsca, gdzie kadłub statku uległ rozdarciu.

– Patrzcie tutaj, widzicie? Osłona ochronna została usunięta od środka. – Major skrzywił się. – Brakuje śrub. O ile rozbicie się o powierzchnię księżycy nie skutkuje jakimś cudem wykręceniem pięćdziesięciu dwóch trzydziestocentymetrowych śrub, to robota kogoś z wewnątrz.

– Wiedziałam! – zawołała Petty, odwracając się w stronę Ben-Ari. – To jeden z tych żołnierzy, których ściągnęłaś tu z Ziemi. Jeden z twoich brudnych, niemytych Ziemian jest w zмовie z wjwcami.

Ben-Ari zesztywniała.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, pani oficer. Nie wiemy jeszcze, kto jest sabotażystą. Na razie...

– Może to ty! – Petty wymierzyła w nią drżący palec. – Czyżbym widziała w twoich oczach poczucie winy?

Ben-Ari wzięła kilka głębokich oddechów, zaciskając dłonie w pięści.

– To poważny zarzut, pani oficer. Nie traktuję lekko fałszywych oskarżeń. Jeśli mamy tu przetrwać, musi pani ufać swoim oficerom. – Zwróciła się do Mwarabu. – Panie oficerze, czy pańska załoga jest w stanie naprawić napęd warp?

Mwarabu wymamrotał coś, drapiąc się po brodzie.

– No cóż... Możemy z powrotem przykręcić silniki na miejsce, załatać i zespawać co trzeba. Ale jest jeszcze inny problem. Chodźcie za mną.

Wyszli ze statku i podążyli za nim po mrocznej, skalistej powierzchni Corputa. Żołnierze kompanii stali na warcie na okolicznych wzgórzach, a w górze unosiły się trzy flary, rozjaśniając teren białym światłem niczym latające latarnie pod czerwonym niebem. Dotarli do silnika warp – ogromnego, masywnego urządzenia wielkości promu.

– Widzicie, z zewnątrz nic mu nie jest – Mwarabu kopnął maszynę. – Prawie nietknięty. Musi być solidny, żeby przetrwać zaginanie czasoprzestrzeni. Tyle że to jedynie powłoka. Silnik jako taki jest dużo mniejszy. – Wdrapał się na urządzenie, sięgnął do środka i przez chwilę gmerał w nim ręką, po czym w końcu zeskoczył z powrotem na dół. – Tutaj.

Wyciągnął ku nim dłoń. Spoczywało na niej coś wyglądającego jak ludzkie serce wykonane z metalu, mniej więcej tej samej wielkości i kształtu.

– To jest prawdziwy silnik? – zapytała Ben-Ari.

Mwarabu skinął głową.

– Serce statku. Tutaj właśnie przechowywany jest eteryt, gwiazdny pył, paliwo, magiczna esencja. Surowiec, który umożliwia rozwijanie prędkości warp. – Otworzył serce tak, jak otwiera się medalion. Wewnątrz znajdowały się odłamki błękitnego kryształu, każdy mniejszy od paznokcia. – Widzicie te kawałki eterytu? Wcześniej tworzyły pojedynczy, duży kryształ. Wprawni szlifierze spędzili cały rok, przycinając kamień do właściwego kształtu, z dokładnością do jednego atomu. Tylko za pomocą takiego kryształu jesteśmy w stanie zaginać czasoprzestrzeń. Ktoś otworzył metalowe serce, a potem rozbił go na kawałki. Teraz jest bezużyteczny. – Major zamknął serce z błękitnymi odłamekami w środku i ze smutkiem pokręcił głową. – Jeśli chcecie znać moje zdanie, ktoś zrobił to już *po* katastrofie. Do serca da się dostać tylko tak, jak ja to zrobiłem – wspinając się na chłodną obudowę silnika. Po tym, jak się rozbiliśmy, ktoś korzystając z zamieszania dotarł do serca przed nami. – Odrzucił je na bok. Z brękiem uderzyło o ziemię. – Tego nie jestem w stanie naprawić. Bez eterytowego serca, *Miyari* nigdzie się nie ruszy.

Ben-Ari odetchnęła gwałtownie, odruchowo kładąc dłoń na broni.

– Mamy do czynienia z kimś zdeterminowanym. Nie tylko odkręcił obudowę silnika w trakcie bitwy, powodując upadek statku, ale też wiedział, jak dokończyć sprawę. Po katastrofie otworzył obudowę, znalazł serce i rozbił znajdujący się w nim kryształ. – Zmarszczyła brwi. – A do tego starał się zatrzeć ślady i stworzyć pozory, że to robota wjwców. Przypuszczam, że sprawdził pan odciski palców?

Mwarabu skinął głową.

– Nic nie ma. Nasz sabotażysta uważał, co robi. Żadnych odcisków. Żadnych śladów DNA. Mistrzowska robota. I jakimś sposobem udało mu się ją wykonać w ciągu kilku ostatnich godzin, w całym tym chaosie, który rozpętał się po katastrofie.

Ben-Ari zmarszczyła brwi.

– Mamy do czynienia z profesjonalistą.

– Wydajesz się dużo wiedzieć o sposobie działania sabotażysty, poruczniku – zauważyła

kapitan Petty, zwracając się do Ben-Ari. Jej usta wygięły się w krzywym uśmiechu. – Tak się zastanawiam... Młodsza oficer bez własnej ojczyzny, powodowana zazdrością wobec swojego dowódcy, poszukuje nowych sprzymierzeńców wśród obcych...

– Dość tego! – Ben-Ari nie mogła dłużej dusić w sobie gniewu. Podeszła do Petty, spoglądając na nią z pogardą. – Przewyższa mnie pani stopniem, ale w tej chwili jest pani odcięta od reszty wojska. Nie będę tolerować takich prowokacji. Walczyłam z wujkami. Zabijałam wujce. Poświęciłam życie obronie ludzkości. Nie mam najmniejszego zamiaru wysłuchiwać pani bezzasadnych oskarżeń. Odnajdziemy sabotażystę i dowiedzimy jego lub jej winy, ale jeśli mamy tu przetrwać, nie możemy zwracać się przeciwko sobie.

Petty przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nią w milczeniu i zdawało się, że w głowie obracają jej się trybiki. Wreszcie powoli, z namysłem skinęła głową.

– Tak, odnajdziemy sabotażystę. Znajdziemy też dowody. A gdy już namierzemy zdrączynię i dowiedzimy jej winy, z przyjemnością wpakuję jej kulkę w łeb.

Major Mwarabu przestąpił z nogi na nogę z zakłopotaniem, a Ben-Ari już miała odpowiedzieć, gdy obok rozległ się głos:

– Pod powierzchnią księżycy znajduje się serce.

Ben-Ari o mało nie podskoczyła i nie wypaliła z pistoletu. Odwróciła się i zobaczyła stojącą obok Osiris. Nie zauważyła nawet, kiedy android tu podszedł, a sądząc po tym, jak wzdrygnęli się Mwarabu i Petty, oni również nie.

Ben-Ari wciąż czuła się nieswojo w obecności Osiris. Nigdy wcześniej nie spotkała androida. Na Ziemi roboty nie przypominały wyglądem ludzi, nie mówiły, wykonywały tylko prozaiczne zadania, takie jak spawanie statków, składanie czołgów czy smażenie hamburgerów. Osiris, ze swoją alabastrową cerą, platynowymi włosami ściętymi na pazia i parą lawendowych oczu, pochodziła wprost z głębi doliny niesamowitości. Jej rozedrgany uśmiech i rozumne spojrzenie – Boże, w tym spojrzeniu widać było prawdziwą świadomość, wyrachowaną i odrobinę kpiącą – tylko zwiększały dyskomfort, który odczuwała Ben-Ari.

Kapitan Petty zaśmiała się.

– Opuść broń, Ben-Ari. To tylko nasza zabawka. Najdroższa zabawka na tym statku, więc nie zrób z niej tarczy strzelniczej. – Zwróciła się do Osiris. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Wargi androida rozciągnęły się w uśmiechu.

– Moja baza danych wskazuje na obecność na tym księżycu drugiego eterytowego serca, kompatybilnego z silnikiem *Miyari*. Jest zainstalowane głęboko w kopalniach pod Corpus City, napędzając wiertła, piece hutnicze i maszynię wydobywającą eteryt. Możemy pożyczyć serce z kopalni, zainstalować je w *Miyari* i wrócić w przestrzeń kosmiczną. – Jej uśmiech był teraz nienaturalnie szeroki. – Musimy tylko zejść w głąb kopalń, aby je odnaleźć.

Kapitan Petty skinęła głową.

– Major Mwarabu i jego załoga pozostaną na *Miyari* i rozpoczną naprawy. – Zwróciła się

do dowódcy okrętu. – Panie oficerze, dacie radę na nowo podłączyć obudowę silnika do kadłuba?

– Damy – odparł Mwarabu. – Trzeba też wykonać inne naprawy. Potrwa to trzy lub cztery dni. Ale i tak będzie nam potrzebne to eterytowe serce, w przeciwnym razie będziemy naprawiać obiekt muzealny.

– Dostarczymy je wam – zapewniła Petty. – Poprowadzę moją kompanię do Corpus City. To tylko kilka kilometrów stąd. Udzielimy pomocy osadnikom, którzy wysłali sygnał, a potem zejdziemy do kopalń. Znajdziemy serce i wyniesiemy się z tej skały.

Gdy oficerowie ruszyli w drogę powrotną na *Miyari*, Ben-Ari obejrzała się przez ramię. Osiris wciąż stała obok wyrwanego silnika, patrząc prosto na nią. Jej lawendowe oczy lśniły własnym światłem i po raz pierwszy Ben-Ari zorientowała się, że mają kolor wijczych wyziewów. Android uśmiechnął się do niej zaciśniętymi ustami i skinął głową. Ben-Ari odwróciła wzrok.



ROZDZIAŁ 10

Szli przez czarny krajobraz pod czerwonym niebem, zmierzając w stronę miasta.

Kompania straciła w katastrofie jedną trzecią swoich wojowników. Cały pluton przepadł, zginął w promie, próbując dotrzeć na Corpusa. Pozostałe trzy plutony – dwa złożone z żołnierzy DOPK, a jeden z Ziemiaków – również poniosły straty. Stu trzydziestu trzech ocalałych członków Kompanii Latona w bojowym rynsztunku wlokło się teraz przez pustkowia.

Marco szedł razem ze swoją drużyną, dźwigając zapasy i broń. Jego manierka, magazynki, maska gazowa, latarka, apteczka, karabin, hełm, granaty, bagnet oraz torba pełna racji żywnościowych postukiwały, gdy maszerował, objuczony ich ciężarem. Dziękował w duchu, że grawitacja była tu nieco niższa niż na Ziemi. Oprócz swojego zwykłego wyposażenia, jego pluton zabrał z *Miyari* trochę nowych urządzeń. W hełmach mieli teraz zainstalowane słuchawki z mikrofonem, przez które mogli się komunikować. Marco musiał szturchnąć Addy i poprosić, żeby wyłączyła mikrofon, bo słyszał w słuchawce jej oddech i rzucane co jakiś czas przekleństwa.

Ich drużyna, licząca sobie teraz dwunastu, a nie czternastu szeregowych, podążała przez ciemność pod dowództwem kaprala Diaza. Obok nich szły dwie inne ziemskie drużyny, wszyscy wciąż ubrani w swoje wyblakłe mundury. Trzymali naładowaną broń przed sobą, gotowi otworzyć ogień, gdyby tylko z mroku wyłoniły się wijce.

Dla tych ostatnich nie brakowało na Corpusie kryjówek. Krajobraz pełen był wąwozów, szczelin, głazów, wzgórz, dolin i stoliw. Skały i grunt miały barwę czerni lub ciemnego grafitu, a światło odbite od gazowego olbrzymia w górze było chorobliwie czerwone. Marco wciąż rozglądał się w poszukiwaniu skrawka błękitnego lub czarnego nieba, ale Indrani była zbyt duża, setki razy większa od Corpusa. Przypominali pyłek kurzu unoszący się wokół nabrzmiałej głowy.

Lailani szła po drugiej stronie drużyny, prawie w całości niknąc pod swoją górą broni i wyposażenia, a hełm okrywał jej głowę niczym garnek. Wyglądała jak mały chłopiec, który przebrał się w mundur swojego ojca. Marco ruszył w jej stronę. Chciał z nią porozmawiać, jakoś to wszystko naprawić. Nie mówił z nią na osobności, odkąd zjawiała się Kemi. Lailani

unikala go od tamtej pory i wiedzial, ze cierpiala.

„Chce za wszystko przeprosic – pomyslal Marco. – Powiedziec ci, ze cie kocham, Lailani”.

Zanim zdazył do niej dotrzeć, droge zastapila mu Addy.

– Hej, Poeto – zagadnela. – Jak myslisz, ile wjcow dasz rade zabic? Zaloze sie, ze ja wykończe wiecej.

– Nie watpie. – Sprobowal ja wyminac.

Addy skoczyla naprzod, ponownie wchodzac mu w droge.

– No wez, Poeto, okaz troche ducha! Sprubuj porywalizowac. Bedziemy liczyc zabitych wrogow. – Zawarczala. – No juz, pokaz mi swoja bojowa minę!

Westchnal.

– Addy, jestem bibliotekarzem wcielonym do wojska. Nie mam bojowej miny.

– Pewnie, ze masz! Sprubuj. O, tak. – Znów zawarczala, wykrzywiajac przy tym cala twarz, i uniosla zaciśnietą pieść. – Rycz!

Marco wiedzial, ze sie bala. W takich chwilach zawsze posilkowala sie brawura.

– Addy, Bestia twierdzi, ze Rosjanki potrafią zabic wiecej wjcow niz Kanadyjki.

Otwarla szeroko oczy.

– Co? Wcale nie! – Odepchnela go na bok i ruszyla w strone potężnego Rosjanina. – Bestia, ty idioto!

Kompania szla dalej w strone widocznego w oddali Corpus City, a Marco w koncu zdołal podejsc do Lailani. Nie odwrócila sie w jego strone, tylko brnela naprzod ze wzrokiem wbitym przed siebie.

– Hej, de la Rosa – zagadnal.

– Emery. – Nadal nie zaszczycila go spojrzeniem.

Mial jej tyle do powiedzenia. Chcial ja zapewnic, ze wciaz ja kocha, ze nie wie, co robic, ze jest mu przykro. Ale nie mogl powiedziec zadnej z tych rzeczy. Nie byl tez gotow zerwac z Kemi, nie po tym, jak przybyla tu dla niego. W ogole nie byl gotow zmierzyc sie z cala ta sytuacja – nie teraz, kiedy zaledwie pare kilometrow stad czaila sie wojna. Ale chcial sie pogodzic z Lailani. Chcial, zeby znowu byli przyjaciolmi, nawet jesli nie mogli juz dluzej byc kochankami.

– Eee... piekne czerwone niebo mamy na Corpusie, co? – zaczal w marnej probie nawiazania pogawedki. – Troche jak niekończący sie zachod slonca, prawda? Jak juz wrócimy na Ziemię, musimy...

– Nie mam ochoty rozmawiac – przerwala mu Lailani.

Marco powoli wypuscil powietrze.

– Sluchaj, Lailani. Nie wiedzialem, ze Kemi sie tutaj zjawi. Nie chcialem, zeby to cos miedzy nami zmienilo. Ja...

– Marco, przestań. – W koncu spojrzala na niego. – Miły z ciebie chlopak, ale... Jestem

popsuta w środku, rozumiesz? Tylko złamałabym ci serce. Zginę na tej wojnie. Wiem to. Tobie tylko przysporzyłoby to cierpienia. Wstąpiłam do wojska, żeby umrzeć.

– Nie mów tak. – Pokręcił głową. – Nie musisz taka być. Widziałem w tobie światło. Widziałem szczęście. Dlaczego nie...

– Daj mi spokój. – Lailani odwróciła się. – Działasz mi na nerwy.

Oddaliła się, aby maszerować samotnie na końcu drużyny. Marco też poczuł się bardzo samotny. Lailani nosiła w sobie wiele bólu i mroku, ale poznał ją też z innej strony. W Forcie Dżamila dostrzegł pod jej pancerzem dobrą, kochającą, pełną słodyczy osobę, nawet jeśli trwało to jedynie kilka dni. Teraz ponownie zamknęła się w skorupie, ukrywając przed światem prawdziwą Lailani. Jej łagodność zniknęła za ścianą raniących go boleśnie ostrzy.

„Muszę na razie skupić się na naszym zadaniu – pomyślał Marco. – Na tym, żeby opuścić ten księżyc. Jestem teraz żołnierzem. To jedyne, czym muszę być”.

– Patrzcie! – Addy wskazała coś dłonią. – Port kosmiczny. Statki!

Wszyscy podążyli wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczyli w oddali, za ogrodzeniem, nieduży port, pierwszą oznakę cywilizacji, na jaką natknęli się od momentu katastrofy. Kompania ruszyła w jego kierunku i Marco odważył się mieć nadzieję, że znajdą tam działający statek kosmiczny, który pozwoli im odlecieć z tego księżyca. Jednak gdy podeszli bliżej, nadzieja ta legła w gruzach. Leżały tu trzy przewrócone rakiety orbitalne, spalone i rozbite na kawałki. Stanowczo nie było tu nic przypominającego statek do podróży międzygwiazdnych, taki jak *Miyari*.

Cała kompania stała i patrzyła w milczeniu.

– Kto to zrobił? – zapytała Addy. – Wjce?

– Na pewno – odparł Bestia.

Żołnierze powoli ruszyli przed siebie z uniesionymi karabinami, zapuszczając się pomiędzy wraki. Żadnych wjców. Żadnych ludzi, żywych czy martwych. Jedynie roztrzaskane rakiety i kłęby kurzu. Znaleźli popioły, pozostałość po pożarze, ale te dawno już wystygły. Zniszczenia mogły równie dobrze nastąpić lata temu. Nie znaleźli żadnych innych pojazdów, nawet promów. Jeśli oprócz rakiet kiedykolwiek były tu jakieś statki, to nie pozostał po nich żaden ślad.

– Świetnie – mruknął Elvis. – Utknęliśmy tutaj. Nie mogliśmy się rozbić na jakiejś miłej tropikalnej plaży pełnej tancerek hula?

– Nie utknęliśmy, jeśli uda nam się naprawić *Miyari* – odparł Marco.

Elvis westchnął.

– A część niezbędna do naprawy jest zakopana w jakiejś nawiedzanej kopalni. No oczywiście. Potrzebuję wakacji.

Kompania maszerowała dalej przez skalisty krajobraz, pozostawiając z tyłu zdewastowany port kosmiczny. Marco skierował uwagę na widoczne przed nimi miasto.

W oddali majaczyły ostre krawędzie kominów, wieżowców i słupów elektrycznych Corpus City, czarnych na tle czerwonego nieba. Z tego, co im powiedziano na odprawie, mieszkało tu mnóstwo ludzi, jednak wokół panowała ciemność i cisza. Marco nie widział żadnych świateł w oknach, żadnych pojazdów przemykających ulicami ani błyskających neonami szyldów. Nie słyszał pomruku silników ani generatorów, tylko wiatr wiejący przez równinę od strony miasta. Nie było nic oprócz tych czarnych wież wznoszących się na tle czerwonego horyzontu, niczym zwęglone żebra szkieletu na spływającym krwią polu bitwy.

Marco zadrzał. Ten widok przywodził mu na myśl ruiny miasta z jakiejś starej powieści fantasy, niegdyś może pięknego, a teraz pełnego duchów i demonów czających się w jego zakamarkach. Gdy podeszli bliżej, kątem oka wychwytał jakiś ruch i zobaczył, że ponad miasto unosi się cień, łopocząc na tle czerwonego nieba, unosząc się coraz wyżej i wyżej, aż stał się jedynie ciemnym punktem, ledwie widocznym wśród bulgoczącego arrasu Indrani. Z pewnością był to tylko strzęp materiału unoszony wiatrem, ale Marco nie mógł się pozbyć wrażenia, że to ptak, czarny sęp obserwujący ich z wysoka, gotów posilić się ich truchłem.

Po godzinnym marszu kompania stanęła pod betonowym murem otaczającym miasto. Był kilkakrotnie wyższy od człowieka, od góry zabezpieczony drutem kolczastym i wieżyczkami strażniczymi. Marco nie dostrzegł żadnych wartowników, a gdy poświecił latarką, jego oczom ukazało się wymalowane na betonie graffiti: *Witaj w piekle.*

Zadrzał.

– Nie jest to najbardziej przyjazne powitanie, jakie w życiu widziałem – mruknął do Addy.

Skierowała latarkę na inny fragment muru.

– To podoba mi się bardziej. Patrz! To Kilroy!

Drugie graffiti przedstawiało karykaturalną postać z łysą głową i długim nosem wyglądającą sponad muru. Pod nią wypisane były słowa: *Kilroy tu umarł.*

– Urocze – stwierdził Marco.

Kompania szła przed siebie, aż dotarła do bram miasta. Wnosiły się tu dwie opuszczone wieże strażnicze, a między nimi metalowe pręty formowały podobny do klatki korytarz przedzielony trzema parami obrotowych drzwi. Kompania zatrzymała się przed bramą z uniesioną bronią. Na bezgłośny znak kapitan Petty powoli przysunęli się bliżej i zamarli, wpatrzeni w głąb korytarza.

Żadnych wijców.

Żadnych ludzi.

Stali tak przez dłuższą chwilę, a ciszę zakłócał jedynie odgłos wiatru jęczącego wśród zabudowań jak żywa istota i ze skrzypieniem popychającego obrotowe drzwi. Kolejny strzęp materiału wzbił się w powietrze, a ich uszu dobiegł podobny do krakania dźwięk mogący być ochrypłym głosem ptaka lub trzeszczeniem metalu wyginającego się na wietrze.

Marco zdał sobie sprawę, że kapitan Petty wpatruje się w niego. Jej głos zatrzeszczał

w tkwiącej w jego uchu słuchawce.

– Szeregowy Emery, wejdź w bramę. Przejdź przez drzwi obrotowe do miasta.

Marco skrzywił się. Najwyraźniej przypadła mu rola kanarka w kopalni. Miał ochotę odmówić, ale przeczuwał, że gdyby sprzeciwił się kapitan Petty, czekałby go szybki proces przed sądem polowym. Postanowił spróbować szczęścia z bramą. Skinął głową i powiedział do wystającego z hełmu mikrofonu:

– Tak, pani oficer.

– Idź i skop im tyłki! – szepnęła Addy, klepiąc go na zachętę w tylną część ciała.

Marco jęknął.

– Addy, mówiłem ci, one mają odwłoki.

Pozostawiając za sobą resztę drużyny, przeszedł przez bramę z uniesionym karabinem. Magazynek był już załadowany, a on trzymał jedną rękę na dźwigni suwadła, gotowy, aby wprowadzić nabój do komory. Przeszedł pomiędzy wieżami strażniczymi. Zamontowane na nich działka wpatrywały się w niego niczym dwie pary oczu, jak dwa sfinksy pod krwawym niebem, oceniając go, potępiając, witając na swoim terytorium. „Witaj w piekle”, głosiło wymalowane na murze graffiti. Umierają z niecierpliwości, żeby tam trafić.

Podobny do klatki tunel rozciągał się przed nim niczym metaliczna gardziel jakiejś bestii, pełna obrotowych drzwi. Marco wziął głęboki oddech i pchnął jedno z nich. Wydały z siebie okropny zgrzyt, tak głośny, że wzdrygnął się i zatrzymał w pół drogi. Powoli przepchnął się na drugą stronę przy wtórze piekielnego, niemal organicznego skrzywienia, i ruszył dalej przed siebie. Metalowe pręty ciągnęły się po bokach i w górze, jakby szedł jedną z tych klatek, których używają nurkowie, gdy pływają w zbiornikach z rekinami. Po obu stronach wznosiły się betonowe bunkry pełne otworów strzelniczych. Marco wciąż nie widział żadnych strażników.

Przejście było sprytnie zaprojektowane. Gdyby jakieś wijce wylądowały poza obrębem miasta i próbowały dostać się do środka, musiałyby przejść tędy, pod ostrzałem żołnierzy z obu stron. Tyle że teraz Marco nie widział tu żadnego wojska. Miasta nikt nie bronił.

Przeszedł przez drugie drzwi obrotowe, gdy znów usłyszał krakanie. Podniósł wzrok i zobaczył go! Tam, w górze! Ogromny, ludzkich rozmiarów czarny sęp o twarzy człowieka, czerwonej z czarnymi oczami. Gdy jednak spojrzął znowu, zobaczył, że to tylko kolejny strzęp tkaniny, który uniósł się na wietrze i opadł z powrotem w oddali. Marco zadrzał. Umysł płatał mu figle.

„Uspokój się, Marco – pomyślał. – Zachowaj zimną krew. Bądź jak Fonz”.

W końcu przeszedł przez trzecie, ostatnie drzwi obrotowe, i wkroczył do piekła.

Spojrzał przed siebie, skrzywił się i uniósł broń.

„Jeśli gdzieś tam jesteś, Latający Potworze Spaghetti, to miej nas w swojej opiece”.

Corpus City leżało w gruzach. Szyby w oknach były powybijane. Cały budynek przewrócił się na skrzyżowanie, blokując dwie drogi stertą cegieł i metalowych sztab. Wiele

innych budowli wciąż wznosiło się ku niebu, niektóre wysokie na sto pięter, ale ich okna też były stłuczone, a wiatr hulał przez nie ze świstem, jakby duchy grały na fletach z kamienia. Miasto wydawało się nie tyle zniszczone, co w stadium rozkładu, jak wnętrzości olbrzyma po długiej chorobie, gnijące w grobowcu. Marco nie dostrzegał żadnych oznak życia. Żadnych ludzi, wyców, a nawet przypominających sępy widziadeł. Jednak niebo zdawało się tętnić życiem. Indrani, gazowy olbrzym, bogini, kłębiła się i bulgotała w górze, a szalejąca na jej powierzchni burza wyglądała jak wielkie, żółte oko, spoglądające w dół na opustoszałe Corpus City. Nagle Marco ogarnęło straszne uczucie, że Indrani żyje i naprawdę mierzy go spojrzeniem, że nie jest planetą, lecz ogromną formą życia. Był niemal w stanie usłyszeć słowa w dobiegających z niej pomrukach, choć nie potrafił rozszyfrować ich znaczenia.

– Emery. – Głos w słuchawce wyrwał go z odrętwienia. – Emery, nic ci nie jest?

Na szczęście tym razem mówiła do niego porucznik Ben-Ari, a nie kapitan Chihuahua.

– Wszystko w porządku, pani oficer – odpowiedział. – Nikogo tu nie ma. Wszystkie budynki i drogi w zasięgu wzroku wyglądają na wyludnione.

– Widzisz jakieś zwłoki? – zapytała Ben-Ari.

– Nie – odparł. – Chyba można bezpiecznie wchodzić do miasta. W powietrzu unosi się trochę dymu, ale nie czuję żadnych wyziewów. Ani smrodu trupów.

– Zaraz tam będziemy. Zostań na miejscu.

Pozostali żołnierze jeden po drugim wkroczyli do miasta, po czym na nowo ustawili się w drużyny i plutony. Dokoła górowały nad nimi czarne, postrzępione sylwetki opuszczonych budynków, strzępy tkaniny przelatywały nad pogrążonymi w mroku ulicami, a jakiś znak skrzypiał na wietrze. Pchnięty podmuchem dziecięcy rowerek potoczył się naprzód, po czym przechylił na bok i z brzękiem przewrócił na ziemię.

– Nikogo tu nie ma – stwierdziła Addy. – Wszyscy osadnicy poszli w cholerę. Miasto jest opuszczone.

Ben-Ari uciszyła ją ostrym spojrzeniem, po czym odezwała się do mikrofonu:

– Rozdzielcie się i przeszukajcie teren. Drużyna pierwsza, idźcie tą drogą. Drużyna druga i trzecia – sprawdźcie tamte ruiny.

Pozostałe plutony również dzieliły się na drużyny i rozchodziły w różnych kierunkach. Kapral Diaz, dowódca pierwszej drużyny Plutonu Kruków, pobiegł na ugiętych nogach, mierząc przed siebie z broni. Marco i pozostali podążyli za nim, celując na boki. Szyk zamykała Lailani, co chwila odwracając się, aby sprawdzić, czy nie ma za nimi wroga. Dotarli do drogi i ruszyli pomiędzy wysokimi, wąskimi budynkami. Marco zdał sobie sprawę, że były to domy. Rzędy domów mieszkalnych, niektóre wciąż ze szkieletami zawieszonymi w oknach na Halloween. Jedną z betonowych werand rodzina udekorowała imitacjami nagrobków, z których zwieszały się sztuczne pajęczyny.

– Hej, Addy – szepnął Marco. – Wiesz, dlaczego ciągle buduje się nowe cmentarze?

– Bo ciągle zabijamy wijce – odpowiedziała Addy.

Marco pokręcił głową.

– Bo ludzie umierają z niecierpliwości, żeby na nie trafić.

– Moja odpowiedź bardziej mi się podoba.

– Twoja odpowiedź nie ma sensu – odparł Marco. – Nie grzebie się wjiców.

– To po co im cmentarze? – zapytała Addy.

Kapral Diaz uciszył ich, po czym wskazał kilkoro drzwi.

– Sprawdźcie domy. Jedna sekcja ogniowa tu, jedna tam, i jeszcze tam.

Drużyna szybko dobrała się trójkami; Marco znalazł się w jednej z Addy i Elvisem. Zerknął w stronę Lailani i zobaczył, że z rozmysłem wybrała sekcję z dala od niego.

Podszedł do jednego z domów i już miał wyważyć drzwi kopniakiem, kiedy coś go tknęło. Złapał za kłamkę. Drzwi były otwarte.

– Odeszli w pośpiechu – powiedział. – Nawet nie zamknęli na klucz.

– Albo nie żyją – dodała Addy, stając w wejściu obok niego.

– Nic nie czuję – stwierdził Elvis. – Trupy śmierdzą. Chodźmy się rozejrzeć.

Wpadli do domu z podniesioną bronią, gotowi otworzyć ogień, jeśli tylko rzuci się na nich jakiś wijec. W środku nic nie było widać. Unieśli latarki, ale ich promienie oświetliły puste wnętrza. Marco zobaczył meble, dziecięcą lalkę i pustą kołyskę, a w zlewie wciąż piętrzyły się brudne naczynia. Żadnych ludzi. Żadnych wjiców.

Usłyszeli nad sobą skrzypnięcie.

Cała trójka uniosła broń.

Zamarli w bezruchu. Dźwięk się nie powtórzył.

Marco wskazał w stronę piętra, a jego towarzysze odpowiedzieli skinieniem.

Zakradł się po schodach, trzymając karabin przed sobą. Cienie tańczyły dookoła jak demony. Elvis i Addy szli za nim, świecąc latarkami.

Ponownie rozległo się skrzypienie.

Marco zastygł na moment, po czym wziął głęboki oddech. Załadował broń, odblokował i położył palec na spuście. Dotarł na pierwsze piętro i zobaczył korytarz, a w nim troje drzwi. W ciszy słyszał jakiś dźwięk, jakby nieludzkie sapanie.

„Wijce” – pomyślał.

Zaczął skradać się naprzód. Zatrzymał się przed wejściem do jednego z pomieszczeń, po czym wpadł do środka z podniesioną bronią. Nic. Tylko puste, niezaścielone łóżko.

„Zaraz”.

Na półce siedziała jakaś postać – ludzkie dziecko! Serce Marco zaczęło bić jak oszalałe, a gdy zaświecił na sylwetkę, lalka wybuchnęła mechanicznym śmiechem.

– Ja pierdołę, to cholerstwo jest nawiedzzone – wyszeptała Addy, mierząc do lalki z broni. Marco opuścił dłoń jej lufę i potrząsnął głową.

Wyszli z pokoju i ruszyli korytarzem w stronę drugich drzwi. Teraz Marco znowu

usłyszał ten dźwięk. Niskie posapywanie. Odgłos drapania pazurami o podłogę.

Spojrzał na Addy i Elvisa. Odwzajemnili spojrzenie, kiwając głowami. Cała trójka jednocześnie wpadła do pomieszczenia.

– Zdychajcie, wijcie! – zawołała... po czym znieruchomiała.

Pies zaszczeakał, merdając krótkim ogonkiem. Pysk miał spłaszczony jak u buldoga, ale był mniejszy – może boston terier albo buldog francuski.

– To wyjaśnia sapanie – stwierdził Marco, opuszczając broń. Pies podszedł i polizał go po palcach.

Opuścili dom razem ze zwierzakiem. Na ulicy dołączyli do reszty drużyny.

– Nic – poinformował Bestia, wychodząc z innego domu. – Talerze ciągle na stole, a jedzenie w piekarniku. Żadnych ludzi, żywych ani martwych.

Pozostałe sekcje również nic nie znalazły. Ruszyli dalej ulicą i sprawdzili jeszcze kilka domów, ale wszędzie było tak samo. Żadnych ciał. Żadnych wjiców.

Wreszcie, w jednym z domów...

– Krew. – Marco pochylił się, oświetlając plamy na kafelkach. – Stara krew.

W innym domu sekcja ogniowa znalazła plamy krwi na ścianie. W pobliskim sklepie również odkryli ślady walki: przewracane półki, ślady po kulach w ścianach i plamy krwi obok kasy, ale ponownie żadnych ciał, ani ludzi, ani wjiców.

Wrócili pod bramę miasta, gdzie dołączyli do reszty kompanii.

– Sprawdziliśmy tę wieżę, i tamtą też – poinformował jeden z pozostałych plutonów. – Znaleźliśmy ślady walki, ale żadnych zwłok. Nikogo żywego też nie.

Trzeci pluton znalazł to samo. Kilka plam krwi. Ślad po kuli. Żadnych zwłok ani ocalałych.

Oficerowie zebrali się razem i rozpoczęli naradę, a żołnierze czekali. Coś pociągnęło Marco za nogawkę; uśmiechnął się, widząc, że terier poszedł za nim. Przyklęknął i pogłaskał psa.

– Gdzie znalazłeś tego kundla? – zapytał go sierżant Singh.

– W jednym z domów, dowódco – odparł Marco. – To jedyna żywa istota, na jaką natrafiliśmy. – Podrapał psa za uchem. – Gdyby tylko umiał mówić.

Singh również przyklęknął i pogłaskał psa po łbie. Jego spojrzenie złagodniało.

– Biedna psinka. W dodatku nie ma ogona.

Addy pogłaskała psa.

– Powinniśmy go nazwać Kapral Kikucik, przez ten brakujący ogon. Może zostać maskotką plutonu.

– Myślę, że powinien być szeregowym – stwierdził sierżant Singh, uśmiechając się pod czarną brodą.

Addy pokręciła głową.

– To nie zadziała, dowódco. Wtedy nie będzie... Poeto, jak to się nazywa, kiedy dwa

słowa zaczynają się na tę samą literę?

– Aliteracja – odparł Marco.

Addy przytaknęła.

– Właśnie. Alokacji. Pasuje tylko Kapral Kikucik. Przykro mi, sierzancie, ale musi szybko awansować.

Trzeszczenie w słuchawkach przerwało im rozmowę. Dobiegł z nich głos Ben-Ari.

– Wchodzimy głębiej w miasto i kontynuujemy poszukiwania – powiedziała. – Niech nikt nie wyjmuje magazynków z broni. Jeśli zobaczycie wijce, strzelajcie natychmiast. A jeśli znajdziecie ocalałych, od razu zgłóście to dowódcy drużyny.

Zagłębili się w miasto, docierając do wielkiego ośrodka przemysłowego. Wznosiły się tutaj fabryki wysokie na dziesięć pięter, budowle o pozbawionych okien, metalowych ścianach i zimnych kominach. Na murach wymalowano olbrzymie znaki przedstawiające węże zjadające własne ogony. Pod każdym z nich widniały słowa *Chrysopoeia Corp*.

Ben-Ari poprowadziła Pluton Kruków do jednej z fabryk, gdzie znaleźli ogromną salę pełną ostygłych generatorów, szereg biur i nieruchome linie produkcyjne. Wspięli się po metalowych schodach biegnących przez kolejne piętra, ale nigdzie nie było ani śladu żywej duszy.

– Prawie w ogóle nie ma krwi – stwierdziła Addy, idąc u boku Marco. – Gdyby faktycznie rozegrała się tu jakaś bitwa, byłoby jej o wiele więcej. Znaleźliśmy tylko kilka plam tu i ówdzie. Za mało jak na śmierć tysięcy osób. Myślę, że zginęła tylko garstka, a ich ciała zostały usunięte.

– W takim razie gdzie są wszyscy pozostali? – zapytał Marco.

– Coś musiało ich porządnie wystraszyć, tak, że uciekli z miasta. Pewnie odlecieli na swoich statkach zaraz po tym, jak nadali Mayday, nawet nie czekając, aż się zjawimy. – Splunęła z chodnika na zbiorowisko maszyn w dole. – Miasto jest ewidentnie opuszczone. Wijce też się wyniosły.

Wyszli z fabryki i ruszyli dalej w miasto. Wieże otaczały ich ze wszystkich stron, a w żadnym z okien nie paliło się światło. Na rynku wznosił się ogromny posąg, wysoki niczym kościół, przedstawiający węża pożerającego własny ogon. Marco rozpoznał ten symbol.

– *Chrysopoeia Corp* – mruknął. – Znowu ta nazwa. Brzmi znajomo.

– Oczywiście, że brzmi znajomo – powiedziała Addy. – Mój ojciec dla nich pracował.

Marco zmarszczył brwi.

– Myślałem, że był kierowcą ciężarówki.

– Bo był – odparła. – Co twoim zdaniem przewoził tą ciężarówką? To, co *Chrysopoeia Corp* wykopuje z ziemi. To olbrzymi konglomerat, Poeto. Sam powinienesz to wiedzieć, skoro jesteś taki czytany. *Chrysopoeia* to praktycznie największa firma na świecie, ale ponieważ nie wydają książek ani nie sprzedają żółwi, nigdy nie zwracałeś na nich uwagi.

Marco podszedł do wyrzeźbionego węża. Jego oczy spoglądające z wysoka zdawały się

błyszczącą niezdrową rozkoszą, kiedy gad połykał własny ogon. Marco być może nie wiedział zbyt wiele o Chrysopoei, ale ten wąż był mu znajomy. To uroboros, stworzenie z legend, symbolizujące cykliczność. Pod wieloma względami przypominał feniksa, symbol Sił Obronnych Ludzkości. Obydwa zwierzęta ginęły i odradzały się w powtarzalnym cyklu. Obydwa, być może, przypominały ludzkość powstającą z gruzów.

„Czy to oznacza, że jest nam pisany ponowny upadek?” – pomyślał Marco.

Coś u podstawy posągu uroborosa przykuło jego wzrok. Podszedł bliżej i skierował na to światło latarki. Pochylił się, marszcząc brwi.

– Co u licha?

Światło wydobyło z mroku szkielet, na widok którego Marco odetchnął głęboko i odskoczył, prawie upuszczając latarkę.

– Poeto? – Addy podbiegła do niego, a za nią reszta plutonu. Wszyscy skierowali latarki na leżący u stóp rzeźby szkielet.

– Ja pierdolę – wymamrotała Addy.

Lailani otworzyła szeroko oczy.

– Co to takiego?

– Wybryk natury – odparł Elvis, krzywiąc się.

– Kosmita? – zapytał Bestia. – Nie wijec.

Wszyscy ustawili się wkoło, wpatrzeni w szkielet. Marco również stał, czując narastającą mdłości. Nie, nie był to wijec, ale też nie człowiek, a przynajmniej nie do końca. Nogi, żebra i czaszka przypominały z wyglądu ludzkie, jednak szkielet miał trzy pary ramion, każde zakończone podobnym do miecza szponem w miejscu dłoni. Czaszka miała opuszczoną szczękę i każdy podmuch wiatru sprawiał wrażenie, że szkielet zawodzi boleśnie.

– Co się tutaj wydarzyło? – wyszeptał Marco, spoglądając na swoich towarzyszy.

Odpowiedzieli mu spojrzeniem, bladzi i milczący, nawet Addy. Kilku osobom chyba zrobiło się niedobrze, a wszyscy wyglądali na przerażonych. Wszyscy z jednym wyjątkiem. Mierząc Marco spojrzeniem lśniących, lawendowych oczu, Osiris stała obok z uśmiechem na twarzy.



ROZDZIAŁ 11

Zapadła noc. Czerwona powierzchnia Indrani przybrała odcień ciemnego szkarłatu, potem brązu, a w końcu całkiem zniknęła w mroku. Pod nią, w ciemnym mieście, żołnierze zapalili trzy flary i teraz kule światła unosiły się ponad wieżami niczym trzy księżycy, zalewając ruiny chorobliwą, białą poświatą. Temperatura spadła gwałtownie.

– Te zimne noce niszczą mi szkliwo na zębach – powiedział Marco do Elvisa. – Wciąż nimi szczękam.

– Pal lichy zęby – wymamrotał Elvis. – Mnie zamarzają jaja.

– Mnie też – stwierdziła Addy. – A nawet nie mam jaj. – Zadrżała.

Sierżant Kikucik zaskomlał żałośnie, dygocząc.

– Cicho tam, żołnierze – powiedział kapral Diaz, oglądając się na nich przez ramię. Dowódca drużyny miał ponure spojrzenie, a w obu dłoniach ścisnął broń, ale na ustach zatańczył mu cień uśmiechu. Marco ze zdziwieniem stwierdził, że prawie cieszy się z upadku Fortu Dżamila; dzięki temu Diaz porzucił posadę przy szkoleniu rekrutów i dołączył do nich tutaj, w kosmosie. Obecność doświadczonego wojownika dodawała mu otuchy w ciemności. Diaz przetrwał piekło walk w Appalachach; tutaj też będzie wiedział, co robić.

Żołnierze w milczeniu maszerowali za kapralem, który z kolei podążał za porucznik Ben-Ari przez pogrążone w mroku miasto. Kikucik szedł koło nich, merdając skrawkiem ogona. Ciemność przecinały dziesiątki promieni światła padających z niesionych przez kompanię latarek. Wokół wznosiły się ceglane mury fabryk, magazynów i rafinerii, czarne i bezlitosne, naszpikowane metalowymi rurami, szybami wentylacyjnymi i zimnymi, nieruchomymi wiatrakami. Szli przez metalowy kanion, wiatr zawodził, a Marco wciąż myślał o tamtym sępie z ludzką twarzą, o szkielecie z trzema parami ramion i ostrzami w miejscu dłoni, i o Osiris wpatrującej się w niego pośród tłumu martwymi oczami, bladej, lśniącej i uśmiechniętej.

„Ktoś dokonał sabotażu na naszym statku” – pomyślał Marco, wspominając ostrzeżenie Ben-Ari. Rozglądając się widział wiele znajomych twarzy, a także żołnierzy, których ledwie znał. Czy to Petty celowo dopuściła się sabotażu, powodowana złością wobec Plutonu

Kruków? Czy wjce zhakowały oprogramowanie Osiris, zwracając ją przeciwko ludziom? A może to wszystko tylko paranoja, urojenia wywoływane przez unoszącego się w górze gazowego olbrzyma?

Gdy tak szli tym kanionem z cegły i metalu, Marco próbował wypatrzeć Kemi, ale widział tylko cienie i promienie światła, nie twarze. Dawna dziewczyna od chwili lądowania prawie się do niego nie odzywała. Być może żar jego krótkiego związku z Lailani przygaskł; nie chciał stracić również Kemi – jej miłości, przyjaźni, jej obecności w swoim życiu. Średnia długość życia żołnierzy SOL nie była zbyt wysoka. Jeśli Marco miał zginąć tu, na Corpusie, albo na innej planecie, to chciał umrzeć wciąż mając w Kemi przyjaciółkę.

Jednak nie mógł jej znaleźć, a teraz, w ciemności, powróciły do niego wspomnienia snu. Rozległy, skalisty krajobraz. Rój tysięcy wyjców pędzący w jego stronę. Ten sen powracał noc w noc, a Marco coraz częściej myślał o nim jak o wizji, przepowiedni. Czy to na tym świecie przyjdzie mu umrzeć? Tutaj, na Corpusie?

W środku nocy trafili na magazyn. Kompania wkroczyła do rozległego wnętrza pełnego nieruchomych buldożerów i wiertel wielkich jak armaty.

Wszyscy żołnierze usłyszeli w słuchawkach głos kapitan Petty.

– Rozbijemy obóz na noc. Ustawcie się w szyku. Niech dowódcy sprawdzą obecność, a potem niech każdy pluton wystawi wartę w piętnastominutowych zmianach.

Pluton Kruków zebrał się przed porucznik Ben-Ari, formując sekcje ogniowe. Zaczęło się sprawdzanie obecności.

– Emery! Ray! Linden! De la Rosa!

Podczas gdy padały kolejne nazwiska, Marco spojrzał przed siebie na Kemi. Stała w milczeniu za swoją porucznik, wciąż ubrana w biały mundur kadeta. Na moment napotkała jego spojrzenie, ale zaraz z kamienną twarzą odwróciła wzrok.

„Przepraszam cię, Kemi” – pomyślał. Chciał z nią pomówić, ale nie wiedział jak.

– Lorrenzonelli! – powiedziała Ben-Ari. – Szeregowy Lorrenzonelli! – Nikt nie odpowiedział. – Czy ktoś widział Lorrenzonellię?

Żołnierze z plutonu rozejrzeli się na boki. Marco pamiętał Lorrenzonellię, żołnierza, który dołączył do plutonu tuż przed wejściem na pokład *Miyari* – wysokiego, szczupłego młodzieńca, z którego twarzy nie schodził uśmiech.

Ben-Ari zmarszczyła brwi i odezwała się do mikrofonu zainstalowanego w hełmie.

– Jeden z naszych ludzi zniknął. Szeregowy Enzo Lorrenzonelli.

Oficerowie z innych plutonów podeszli i zaczęli z nią rozmawiać ściszonymi głosami. Wyglądało na to, że u nich też brakowało żołnierzy. W sumie z kompanii zniknęło pięć osób. Jeszcze raz wywołano nazwiska. Bez odpowiedzi. Kompania przybyła tu w liczbie stu trzydziestu trzech żołnierzy; teraz pięciorga z nich brakowało.

– Poprowadzę wyprawę poszukiwawczą – oznajmił kapral Diaz. – Potrzeba mi kilku ochotników.

Wszyscy żołnierze w kompanii szybko podnieśli ręce. Diaz wybrał czterech, których Marco nie znał... oraz Kemi. Gdy kadetka szła w stronę kaprała, Marco ponownie spróbował nawiązać kontakt wzrokowy, ale nie spojrzała w jego stronę.

– Uważajcie na siebie – zawołał, gdy cała piątka wyszła na zewnątrz, w noc.

Reszta kompanii pozostała w przepastnym magazynie. W blasku latarek buldożery i wiertła wyglądały jak uśpione smoki. Żołnierze usiedli na podłodze i zjedli zimne, pozbawione smaku racje, złożone z batoników energetycznych, szarego kleiku w plastikowych torebkach, puszek tuńczyka w oleju i lepkich plastrów skondensowanych owoców. Sierżant Kikucik chodził od jednej grupki żołnierzy do drugiej, zbierając przekąski, po czym zasnął, sapiąc i parszając przez sen. Mijały minuty, potem godziny, i wciąż nie nadchodziły żadne wieści od grupy poszukiwawczej.

– Jak myślicie, co się z nimi stało? – zapytała Addy.

– Dorwały ich wijce – stwierdził Elvis. – To musiały być one.

– A może to te sześcioramienne stwory – zasugerowała Addy. – Czymkolwiek są.

Elvis wzdrygnął się.

– Może to był człowiek, tylko zmutował w takiego dziwoląga. Może górnicy dokopali się do jakichś radioaktywnych materiałów, które zmieniły ich w mutanty. – Zastanowił się przez chwilę. – Może dają też supermoce. Gdybyście mogli mieć dowolną moc, co byście wybrali?

– Ja już mam super siłę – odparła Addy – i super inteligencję, więc wybrałabym czytanie w myślach, żeby móc zobaczyć te wszystkie ślicznotki, o których Marco ciągle myśli.

Marco jęknął.

– Zgadnij, o czym myślę teraz. – Wstał i odszedł, pozostawiając Addy i Elvisa pośród cieni.

Minął kilka maszyn wiertniczych, z których każda miała rozmiary czołgu, i znalazł drzwi wychodzące na alejkę na tyłach magazynu. Wyszedł w poszukiwaniu ciemnego, ustronnego kąta, żeby opróżnić pęcherz. Większa część życia w wojsku upływała na wypatrywaniu nie wrogów, lecz miejsca – czasem latryny, częściej alejki albo dziury w ziemi – gdzie można by iść za potrzebą. Wojna to dużo więcej niż walka z wrogiem; to również troska o przetrwanie i zaspokojenie podstawowych potrzeb, takich jak sen, jedzenie, picie czy wypróżnianie. Z pustym pęcherzem Marco wrócił do magazynu. Szedł właśnie między maszynami w stronę reszty kompanii, kiedy dobiegł go cichy płacz.

Ruszył w stronę źródła dźwięku i prawie potknął się o coś ciemnego na podłodze. Przykłęknął i poświecił sobie latarką.

– Lailani?

Leżała na podłodze pomiędzy długim jak pień drzewa wiertłem a buldożerem na gaśienicach. Obróciła się plecami do niego.

– Zostaw mnie.

Marco zawahał się przez moment, rozdarty pomiędzy chęcią uszanowania jej woli

a pragnieniem pocieszenia jej. W końcu, niepewny, czy dokonał słusznego wyboru, ukląkł u jej boku.

– Wszystko w porządku? – zapytał łagodnie. – Możemy porozmawiać? Co mogę zrobić, żebyś poczuła się lepiej?

Leżała na boku, zwrócona plecami do niego, tuląc do piersi karabin. Lufa opierała się o jej podbródek.

– Nic.

Ostrożnie położył dłoń na jej udzie, gotów ją zabrać, gdyby zaprotestowała. Nie poruszyła się. Ułożył się obok niej.

– Wszystko w porządku? – powtórzył. – Czy to z powodu Kemi? Lailani, chcę, żebyś wiedziała, że traktowałem poważnie to, co wydarzyło się między nami. To wiele dla mnie znaczyło. – Objął ją dłonią w talii. – Nie służyłaś mi tylko za zajęcie pod nieobecność Kemi. Kiedy mówiłem, że cię kocham, mówiłem szczerze. Kocham cię, Lailani. Nie chcę, żebyś cierpiała.

Lailani odezwała się cichym głosem, wciąż zwrócona do niego plecami:

– Ale cierpię. Cierpię i nic na to nie poradzisz, Marco. I nie chodzi tu o Kemi ani o ciebie. Przez całe życie byłam popsuta.

– To wszystko można uleczyć – powiedział.

Usiadła. Oczy miała zaczerwienione.

– Marco, miałeś ciężkie życie. Wiem o tym. Twoją matkę zamordowano na twoich oczach. Dorastałeś uciekając przez wijcami, kryjąc się w schronach przeciwbombowych. Ale miałeś kochającego ojca, dach nad głową, jedzenie na stole. Miałeś bliskich przyjaciół. Odebrałeś wykształcenie. – W oczach zbierały się jej łzy. – Ja, dorastając, nie miałam żadnej z tych rzeczy. Urodziła mnie bezdomna, trzynastoletnia prostytutka, która dziesięć lat później umarła z głodu. Spędzałam dni jedząc ze śmietników albo przekopując góry śmieci na wysypisku. Czasem dostawałam gorączki po posiłku z zepsutego mięsa. Sama nauczyłam się czytać, kradnąc gazety i siedząc z nimi w brudnych uliczkach, poznając słowa, podczas gdy inne dzieciaki kradły narkotyki. W dalszym ciągu coś we mnie jest popsute. Coś jest nie tak. Mam w sobie coś nieludzkiego. Wciąż mam ochotę umrzeć, Marco. Raz za razem nachodzi mnie chęć, żeby wetknąć sobie tę lufę w usta, pociągnąć za spust i zabić demona, który wciąż wrzeszczy w mojej głowie. Myślisz, że przejmuję się Kemi? – Potrząsnęła głową. – Chcę tylko, żeby mój demon zamilkł. Chcę się uleczyć. Ale nie mogę. Nie mogę, Marco. Jestem zbyt popsuta. Już za późno, żeby mnie naprawić.

Marco wziął ją za rękę.

– W takim razie bądź popsuta ze mną – wyszeptał. – Pozwól mi wziąć cię w objęcia, kiedy ból staje się nie do zniesienia. Nawet jeśli nie potrafię cię uleczyć, może jestem w stanie cię pocieszyć, chociaż trochę, kiedy cierpisz. Może jestem w stanie kochać cię dość mocno, żeby dać ci trochę radości, sprawić, że twoje życie będzie coś warte. Nie chcę cię

stracić. Kocham cię.

– Ja ciebie też – wyszeptała, opierając głowę na jego ramieniu. – Przepraszam, że jestem taka. Nie jestem dla ciebie dobra, wiem o tym.

– Nie masz za co przepraszać. – Poglądził ją po króciutkich włosach, zadziwiony ich miękkością.

– Co ze mnie za dziewczyna dla ciebie? – zapytała Lailani. – Jeśli przetrwamy tę wojnę, kim będę? Nie mogę zostać twoją żoną. Nie nadaję się na matkę twojego dziecka. Jestem zbyt popsuta, zbyt zraniona, żeby sprowadzić na ten świat życie, żeby skazać dziecko na znoszenie mojej depresji, na życie z szaloną matką, którą co noc budzą koszmary. Tylko zrobiłabym ci krzywdę, Marco. Możesz odejść. Możesz zostawić to wszystko za sobą. Nie musisz cierpieć razem ze mną.

– Wcale nie cierpię. – Poglądził ją po policzku. – Nie wiem, co przyniesie przyszłość. Nie wiem, jak długo jeszcze pożyjemy. Ale w tej chwili jesteśmy tutaj, ty i ja. W tej chwili chcę być przy tobie i trzymać cię w objęciach. Chcę, żeby między nami było jak dawniej. Możesz to dla mnie zrobić? Nie rozmawiajmy o jutrze, tylko o dzisiaj.

Skinęła głową, zamknęła oczy i oparła się policzkiem o jego pierś. Leżeli razem, a ona usnęła w jego ramionach.

Godzinę później, może dwie, światło padło na opuszczone powieki Marco, budząc go ze snu. Zamrugał, wciąż trzymając Lailani w objęciach, i zobaczył nad sobą Kemi.

W milczeniu podniósł wzrok, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Twoja kolej stanąć na warcie – powiedziała Kemi. – Na zmianę robimy obchód magazynu.

Skinął głową, delikatnie odłożył Lailani i wstał.

– Co z wyprawą poszukiwawczą? Znaleźliście coś?

Kemi pokręciła głową.

– Nic. Całej piątki wciąż nie ma. Idź już stanąć na warcie. – Odwróciła się i praktycznie uciekła w cień.

Marco spojrzął w dół na Lailani. Leżała na podłodze z otwartymi oczami, patrząc na niego, po czym spuściła powieki i z powrotem zasnęła. Czując w sobie chłód i pustkę, poprawił pas karabinu, po czym wyszedł w noc. Robił obchód wokół magazynu, raz za razem, nie licząc nawet czasu, podczas gdy wokół niego drżała noc, wiał wiatr, a wspomnienia podnosiły krzyk. Ale nawet tutaj, w piekle, można było znaleźć pocieszenie. Pośród wspomnień był również obraz Lailani spoczywającej w jego ramionach. W mroku jarzyło się światelko.



ROZDZIAŁ 12

Wstał świt, czerwony i zimny niczym zwłoki na śniegu. Zebrali się na zewnątrz magazynu, w wąwozie z szarej cegły i czarnego metalu; nad nimi, w górze, majaczyła Indrani. Tego ranka gazowy olbrzym odsłonił fragment prawdziwego nieba, jasnoszarego i spowitego chmurami. Marco stał wraz ze swoją drużyną, z karabinem w ręku oraz granatami i magazynkami zawieszonymi u pasa. Żołnierze kompanii wypełniali wąską uliczkę. Przed nimi, na ostygniętym generatorze, stała kapitan Petty, a za nią widniał wielki, czarny uroboros wymalowany na ścianie magazynu. Do cegieł ponad węzłem przybity był metalowy napis: *Chrysopoeia Corp. Wytyczamy drogę do gwiazd.*

– Zeszłej nocy – zaczęła kapitan Petty – straciliśmy pięcioro żołnierzy. Chcę, żebyście dzisiaj trzymali się w grupach nie mniejszych niż drużyna. Nigdy nie oddalajcie się w pojedynkę, nawet po to, żeby się odlać. Miejcie oczy szeroko otwarte i wypatrujcie czegokolwiek – lub kogokolwiek – podejrzanego. Gdy tylko zauważycie, że coś jest nie tak, nawet jeśli to tylko przeczucie, natychmiast zgłóście to dowódcy drużyny.

Żołnierze spojrzeli po sobie. Do wszystkich dotarły już plotki o sabotażyście z *Miyari* i wyglądało na to, że każdy upatrzył sobie jakiegoś podejrzanego. Kilkoro żołnierzy wpatrywało się w Osiris, mrużąc coś o sztucznym życiu, paru innych mamrotało o Ziemianach, kilka osób spoglądało nawet na Marco. Odpowiedział im wyzywającym spojrzeniem.

Kapitan Petty mówiła dalej.

– Pozostawimy trzech żołnierzy w mieście, żeby dalej szukali zaginionych. Cała reszta zejdzie dzisiaj do kopalń. Tunele sięgają głęboko pod powierzchnię; Osiris ma zapisaną w pamięci mapę. Będziemy szukać pozostałych przy życiu osadników, a przede wszystkim nowego silnika ertiary. – Pokazała im strzaskane serce z *Miyari*. – Szukamy przedmiotu, który wygląda tak: metalowego serca z kryształem w środku. Powinno się znajdować na najniższym poziomie kopalń, służąc za źródło zasilania dla całego miasta. Jeśli uda nam się je zdobyć, będziemy w stanie naprawić *Miyari* i wrócić do domu. Ten, kto je znajdzie, dostanie natychmiastowy awans.

Addy odetchnęła głęboko.

– Będę porucznikiem! – szepnęła do Marco.

Chłopak jęknął.

– Powiedziała „awans”, nie „przydział”. Nie zostałabyś oficerem, tylko kapralem. Nie mogłabyś rozkazywać nawet Kikucikowi. – Przyklęknął i pogłaskał boston teriera, nową maskotkę ich plutonu. Piesek zamerdał skrawkiem ogona.

– No to muszę znaleźć dwa eterytowe serca – stwierdziła Addy. – Może wtedy zostanie mianowana kapitanem, jak Chihuahua.

Kompania maszerowała przez skąpane w czerwonym blasku miasto, aż dotarła do kamiennej bramy w kształcie zwiniętego w pętlę węża. Za nią Marco dojrzał schody opadające pod ziemię i ginące w mroku.

– Chrysopoeia Corp – mruknął. – Wytyczamy drogę do czyścica.

– Chrysopoeia Corp – dodała Addy. – Otwieramy wrota piekieł od 2047.

– Chrysopoeia Corp. – Elvis dołączył do nich. – Pieczemy węże tak pyszne, że same się zjadają.

Porucznik Ben-Ari podeszła, a żołnierze zebrali się wokół niej.

– Pluton Kruków będzie szedł na przedzie – oznajmiła. – Przyczepcie latarki do hełmów. Obie ręce macie mieć wolne, żeby móc swobodnie strzelać. Miejcie załadowane magazynki, ale nie wprowadzajcie naboju ani nie odbezpieczajcie broni, dopóki nie znajdziemy się w niebezpieczeństwie. Trzymajcie ciasny szyk. Jakies pytania, zanim tam wejdziemy?

– Co to było to coś z sześcioma ramionami, pani oficer? – zapytał Elvis.

– Nie wiemy – odparła Ben-Ari. – Może pod ziemią znajdziemy odpowiedzi.

– Czy tam na dole są wijce, pani oficer? – zapytał inny żołnierz.

– Nie wiemy – padła odpowiedź. – Ale na wszelki wypadek bądźcie gotowi na spotkanie z nimi. Jeśli napotkamy tam w dole wroga, wiem, że stoczycie godną walkę i zwycięzycie. Zabijecie nieprzyjaciela. Uważajcie na siebie nawzajem w ciemności i słuchajcie dowódców drużyn. Jesteście dobrymi żołnierzami i z każdego z was jestem dumna. Dzisiaj, w tunelach, dowiedziecie swojej wartości przed DOPK. Za Ziemię!

– Za Ziemię! – odparli wszyscy, unosząc broń.

„Za Ziemię – pomyślał Marco. – Za moich przyjaciół. Za moją rodzinę. Za ludzkość. Za bibliotekę pełną książek i moje marzenia o zostaniu pisarzem. Za tę bładoniebieską kropkę zagubioną w oddali. Za Ziemię”.

Przeszli przez wężową bramę i wkroczyli w ciemność. Schody opadały w dół, w cień, którego nawet ich latarki nie były w stanie przeniknąć. Porucznik Ben-Ari prowadziła ich, trzymając przed sobą pistolet plazmowy, a Marco szedł tuż za nią, mierząc z karabinu ponad jej ramieniem. Ziemskie hełmy pokryte były elastyczną siatką, za którą można było zatknąć liście i gałązki dla kamuflażu; dzisiaj wsunął w jej oczka latarkę, tworząc coś w rodzaju górniczego kasku, dzięki czemu mógł oburącz trzymać broń. Słyszał za sobą kroki reszty plutonu, a u jego boku dreptał Kaprał Kikucik. Ktoś z żołnierzy uszył nawet dla teriera

miniatury mundur wraz z insygniami.

Schody liczyły sobie kilkaset stopni, prowadzących do metalowych drzwi osadzonych w ścianie z nieobrobionego kamienia. Obok nich zamontowany był panel kontrolny.

Ben-Ari podeszła i nacisnęła kilka guzików. Nic się nie wydarzyło.

– Tutaj też nie ma prądu. – Porucznik zamocowała na broni bagnet, po czym wsunęła ostrze pomiędzy metalowe skrzydła drzwi. – Emery, pomóż mi.

Marco również odpiął od paska bagnet, zamocował go na lufie karabinu i wsunął w szczelinę. Wraz z Ben-Ari przez chwilę wyteżali siły, aż w końcu udało im się rozsunąć drzwi na tyle, żeby wsadzić w szczelinę dłonie, pociągnąć i otworzyć je do końca. Marco zakreśliło się w głowie i o mało nie upadł. Stojąca za nim Addy musiała go złapać za pasek od spodni.

– Boże – jęknął Marco. – Mam lęk wysokości.

– No to dobrze, że wstąpiłeś do Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej – stwierdziła Addy.

Za drzwiami znajdował się szyb opadający w dół, w ciemność. Zwieszały się w nim dwa ciężkie łańcuchy o ogniwach rozmiarów ludzkich dłoni, niczym struny głosowe w gardle metalowego olbrzyma.

– To szyb windy, pani oficer – powiedział Marco do porucznik.

Addy wyciągnęła rękę i zmierzwiła mu włosy.

– Dlatego to właśnie on jest geniuszem. Za chwilę może się zorientuje, że jesteśmy w kopalni.

Marco rzucił jej nieprzyjemne spojrzenie.

– Cicho bądź, Addy. Ty kiedyś nazywałaś popielniczkę „popalniczką”.

– To *jest* popalniczka! – Addy zjeżyła się. – Bo zostawia się w niej pety po paleniu.

Porucznik Ben-Ari sięgnęła i złapała za jeden z łańcuchów. Wychyliła się poza krawędź szybu i zawisała, wsparta tylko piętami o podłogę tunelu.

– Bądźcie cicho, żołnierze, i pomóżcie mi.

Marco poczuł, że robi mu się niedobrze. Ledwie był w stanie spojrzeć w głąb szybu, a co dopiero sięgnąć na tyle daleko, żeby złapać łańcuch. Wiedział jednak, że jeśli teraz się wycofa, Addy nigdy nie przestanie się z niego nabijać.

– Addy, weź mnie za rękę – powiedział.

Poruszyła znacząco brwiami.

– Jak romantycznie!

– Zamknij się.

Chwycił dłoń Addy, wychylił się poza krawędź szybu i złapał za łańcuch. Wisząc nad ciemną otchłanią, przytrzymując się Addy dla równowagi, poczuł zawroty głowy. Pospiesznie wycofał się, ciągnąc łańcuch. Był ciężki jak diabli. Bestia i Addy musieli pomóc; wszyscy zaczęli szarpać łańcuchy, wciągając je na górę, ogniwo po ogniwie.

W końcu coś zaczęło unosić się z głębi szybu, a w miarę, jak się zbliżało, Marco nagle ogarnęła pewność, że to jakiś stwór wynurzający się z mroku, pierwotna bestia z głębin, metaliczna, skrzypiąca, kłapiąca zębami.

„To klatka – zdał sobie sprawę, kierując w dół światło latarki. – Kabina windy”.

Kiedy klatka osiągnęła wysokość drzwi, ukryte hamulce automatycznie zacisnęły się na łańcuchach, utrzymując ją w górze. Żołnierze poświecili do środka. Nie była większa niż zwykła winda, na jednej ze ścian zamocowana była metalowa korba, a na podłodze...

– Co... to takiego? – zapytał Marco.

Pochylił się, sięgnął do wnętrza klatki i złapał leżącą tam bryłę. Była miękka i wilgotna, jakby pokryta skórą. Wycofał się z nią do tunelu, żeby lepiej się przyjrzeć, i twarz wykrzywił mu grymas.

– Faj – rzuciła Addy z obrzydzeniem. – To ogromne jądro.

Marco pokręcił głową.

– Nie. Nie wiem, co to takiego. – Wzdrygnął się, czując narastające mdłości.

Rzecz w jego dłoni była rozmiarów świnki morskiej, a pokrywała ją skóra wyglądająca na ludzką. Widział na niej pieprzyki, a nawet kępki włosów, ale żadnych kończyn, twarzy czy otworów. Przypominała poduszczkę oprawioną w skórę i drżała w jego dłoni.

– To chyba żyje – stwierdził. – Addy, potrzymaj.

Potrząsnęła głową.

– Nie mam zamiaru tego dotykać.

Bryła znów drgnęła.

– Co się tutaj do diabła dzieje?

– Może to łysy tribble – zasugerowała Addy.

– Zabierzemy to ze sobą – powiedziała Ben-Ari, otwierając plecak. – Emery, zawiń to w coś i włóż tutaj. Poddamy to analizie na statku.

Marco owinął stworzenie – o ile faktycznie było to stworzenie – w ręcznik Ben-Ari i umieścił je w jej plecaku.

– Tego możemy nazwać Kapral Kluska – stwierdziła Addy.

– Żołnierze, wystarczy – ucięła Ben-Ari. Powiedziała coś do mikrofonu ściszym głosem, po czym skinęła głową. – W porządku. Zjeżdżamy do kopalni. – Wskazała kilkoro żołnierzy. – Emery. Linden. De la Rosa. Abasi. Diaz. Wciśnijcie się tu ze mną. Zjedziemy pierwsi, a potem odeślemy windę na górę po pozostałych.

Porucznik weszła do klatki, a Marco i pozostali poszli w jej ślady, z trudem mieszcząc się w ciasnej przestrzeni. Obijali się o siebie karabinami i potracali łokciami. Lailani przycisnęła się plecami do Marco, a czubek jej hełmu muskał jego brodę. Kemi stanęła za nim, ostentacyjnie unikając jego wzroku. Diaz i Ben-Ari złapali za korbę na ścianie i zaczęli ją obracać. Koło zazgrzytało, posypała się rdza, łańcuchy zaklekotały. Centymetr za centymetrem, kabina zaczęła opadać w głąb szybu.

Latarka Marco niebawem oświetliła napis wymalowany na ścianie. *3 metry*. Opadali dalej. Wkrótce pojawiły się kolejny napis. *6 metrów*. Ben-Ari i Diaz na zmianę kręcili korbą. W miarę, jak opadali, powietrze stawało się chłodniejsze, ciemność też wydawała się jakby gęstsza – ich latarki ledwie były w stanie rozproszyć cienie. Nie słyszeli już głosów żołnierzy, którzy pozostali w górze, tylko skrzypienie łańcuchów i własne oddechy.

Marco nachylił się do Kemi.

– Zupełnie jak metro u nas w mieście, co? – wyszeptał.

Nie odpowiedziała, nawet nie spojrzała w jego stronę. Wbijając harde spojrzenie przed siebie. Na ścianie pojawił się napis: *30 metrów*.

– Pani oficer – zwrócił się Marco do swojej porucznik, a potem do kaprała Diaza. – Dowódco. Czy mogę przez chwilę pokręcić korbą?

Zarówno Ben-Ari, jak i Diaz wyglądali na zdyszanych, a gdy puścili uchwyt, klatka zakołysała się, uderzając o kamienne ściany. Marco chwycił za korbę i próbował sam ją obrócić, ale nie dał rady. Addy pospieszyła mu z pomocą i wspólnie zaczęli opuszczać kabinę. Każdy pokonany metr zdawał się całym kilometrem; wkrótce Marco zaczęły boleć ramiona. W normalnych warunkach winda była z pewnością napędzana prądem, teraz jednak byli zdani na własne mięśnie. Kawałek po kawałku zanurzali się w otchłań.

Zdawało się, że minęły całe wieki, zanim w końcu osiągnęli głębokość sześćdziesięciu metrów i zatrzymali się, aby odpocząć. Marco oddychał ciężko, a ręce mu drżały. Lailani i Kemi wspólnie przejęły korbę, a Marco widział wyraźnie, jak niezręcznie się czuły; kręcąc kołem nie odzywały się do siebie, a nawet nie patrzyły w swoją stronę. Na głębokości dziewięćdziesięciu metrów Ben-Ari i Diaz ponownie przejęli korbę, a szyb wciąż ciągnął się dalej, niknąc w mroku.

– Jak głęboko sięga to cholerstwo? – wymamrotała Addy, po czym zerknęła na porucznik.

– Przepraszam, że się wyrażam, pani oficer, ale tu jest naprawdę cholernie głęboko.

– Linden, uważaj sobie – rzucił Diaz.

Zdawało się, że mijały całe godziny, a wokół nich istniał tylko ten szyb, pochłaniając wszelkie wspomnienia świata w górze. Kiedy Marco odpuścił, nie widział już nad sobą latarek towarzyszy, którzy pozostali w tunelu, tylko czern. Równie dobrze mogli wisieć w przestrzeni kosmicznej. Nagle ogarnął go strach, że szyb zawali się na nich i pogrzebie ich w tej kopalni, albo, co gorsza, korbę się zatnie i będą tutaj dogorywać przez wiele dni, jeśli nie tygodni. *120 metrów*. Upływały całe wieki. *150 metrów*. *180*.

Gdy zjechali na głębokość trzystu metrów, wszyscy musieli odpocząć. Wisieli w ciemności, sześcioro żołnierzy ściśniętych w klatce. Usiedli, żeby napić się wody i zjeść trochę racji. Przez dłuższą chwilę milczeli. Cisza wkrótce stała się dla Marco nie do zniesienia, równie przytłaczająca, jak ciemność, ale nie odważył się jej przerwać, nękany strachem, że jeśli się odezwie, z mroku odpowiedzą mu głosy, że jego słowa mogłyby przyzwać pogrzebane tu zło.

W końcu to Lailani odezwała się jako pierwsza.

– Co, jeśli to jeden z nich – powiedziała.

Wszyscy spojrzeli na nią.

– Co takiego? – zapytał Marco.

– To coś w plecaku porucznik Ben-Ari – wyjaśniła. – Żywa grudka mięsa. Co, jeśli to jeden z zaginionych żołnierzy?

Addy zatchnęła się.

– A co, jeśli to jego tyłek!

Lailani zwróciła się do niej. W jej oczach odbijało się światło latarki.

– To nie jest śmieszne. Ta skóra wyglądała na ludzką.

Wszystkimi wstrząsnął dreszcz.

Kemi odezwała się, po raz pierwszy tego dnia.

– Może ma to jakiś związek ze szkieletem, który widzieliśmy na zewnątrz, tym z sześciorgiem ramion. Może to wczesne stadium rozwoju tamtej istoty.

– Ja wciąż uważam, że to tyłek – odparła Addy.

– W takim razie nie pokazuj mu swojej twarzy, Addy – powiedział Marco. – Może cię wziąć za swoją krewną.

Porucznik Ben-Ari westchnęła.

– Z całego SOL tylko moi żołnierze są w stanie wygadywać takie rzeczy w tych okolicznościach. – Wstała. – Ruszajmy dalej.

Na zmianę kręcili korbą, opadając coraz dalej w głąb szybu. Niebawem osiągnęli trzysta trzydzieści metrów. Trzysta sześćdziesiąt. Trzysta dziewięćdziesiąt. Nadal nie było widać końca.

Wisielei właśnie na głębokości czterystu dwudziestu metrów, kiedy w dole rozległ się krzyk.

Marco i Addy zamarli przy korbie.

Pozostali sięgnęli po broń.

Krzyk trwał zaledwie sekundę, może dwie, po czym umilkł. Kabina kołysała się w szybie.

– Czy to był człowiek? – wyszeptała Addy.

– To był wiatr – powiedziała Kemi, ale głos jej drżał. – Tylko wiatr hulający w kopalni.

– To był krzyk – upierała się Addy. – Bez dwóch zdań.

Lailani objęła się ramionami.

– Nie było w nim złości. Tylko ból i strach.

– To nie był człowiek – powiedział Marco powoli. – Ani wiatr. Tam w dole jest coś innego.

– Wujce? – zapytała Addy, kładąc palec na spuście.

Marco nie był tego taki pewien. Szkielet o sześciu ramionach, kula uformowana z ciała – to nie były *scolopendra titania*.

– W porządku, żołnierze – powiedziała Ben-Ari. – Jedziemy dalej. Wszyscy, którzy nie kręcą kołem, niech celują w dół. Nie ładujcie jeszcze naboju, ale bądźcie w gotowości, żeby to zrobić. Tylko nie spieszcie się za bardzo z naciskaniem na spust. Jeśli mamy tu do czynienia z osadnikami, nie chcę, żebyśmy w przypływie paniki podziurawili ich jak sito. – Ponownie chwyciła za korbę.

Opadali dalej, czekając, aż znów rozlegnie się krzyk, ale słyszeli tylko własne oddechy i poszczekiwanie łańcuchów. Co trzydzieści metrów Ben-Ari składała przez komunikator raport kapitan Petty, która pozostała na górze. Marco myślał już, że szyb ciągnie się aż do jądra księżyca, kiedy w końcu, na głębokości czterystu sześćdziesięciu metrów, uderzyli o podłoże.

– Czterysta sześćdziesiąt metrów – wyszeptał Marco. – To więcej niż wysokość Empire State Building. Przynajmniej zanim wijce go zburzyły.

Wyszli z kabiny do tunelu. Podłoga, ściany i sufit były nierówno wykute w skale, wciąż poznaczone śladami wiertła, które wyłobily tę ścieżkę. Czuli się, jakby stali w żyłach ogromnego, kamiennego trupa. Gdy unieśli latarki, światło padło na przerdzewiałe szyny wiodące w mroczną dal. Nad nimi z sufitu zwieszało się kilka łańcuchów; jeden z nich, i tylko jeden, kołysał się w powietrzu.

– Coś otarło się o ten łańcuch – wyszeptał Marco, wskazując go promieniem latarki.

Pozostali również skierowali światło w tamtą stronę, ale nie dostrzegli żadnych żywych stworzeń, tylko kamienne ściany, łańcuchy i tory prowadzące w głąb tunelu.

Ben-Ari odezwała się do komunikatora.

– Melduje porucznik Ben-Ari. Pani oficer, dotarliśmy na dno szybu. To ponad czterysta pięćdziesiąt metrów w dół. Słyszeliśmy krzyk, ale w pobliżu nikogo nie ma. Będziecie musieli wciągnąć klatkę z powrotem i...

Rozległ się jakiś łoskot i wróciło zasilanie.

Latarnie wmurowane w ściany rozbłysły pomarańczowym blaskiem, niewiele jaśniejszym od światła latarek, ale wystarczającym, aby odsłonić przed nimi większą część tunelu. W oddali Marco dostrzegł poruszające się cienie, które zaraz pierzchły, ale może to tylko któraś latarnia włączyła się później niż pozostałe. Ogromne maszyny przebudziły się z pomrukiem, niczym starożytne bestie wyrwane z biblijnego snu, pragnące zaspokoić głód. Łomot, szcęk, burczenie – kakofonia wytłumiona przez ogromne odległości; urządzenia pracowały, przeżuwały, kopały, przetwarzały, ożywały w głębi ziemi. Bliżej nich łańcuchy windy zaczęły się poruszać, napędzane odzyskaną elektrycznością, wciągając kabinę z powrotem w górę szybu.

– Akurat teraz? – obruszyła się Addy. – Zaraz odpadną mi ramiona.

– Wciąż jest tu ktoś żywy – powiedziała Lailani, spoglądając w głąb tunelu. – Ktoś przywrócił prąd. Osadnicy tu uciekli. Muszą nadal się ukrywać.

– Przed czym? – zapytała Addy.

– *Aswang* – wyszeptała Lailani. – Szepcze się o nim u nas, na Filipinach. Złe stworzenie, które czai się w ciemności, wysysa krew swoich ofiar i je deformuje.

– Asfalt? – zapytała Addy.

Lailani posłała jej gniewne spojrzenie.

– *Aswang*. Nie kpij sobie z niego. Widywałam go w snach. – Zadrżała. – To miejsce mi o nich przypomina. Czuję się, jakbym już tu kiedyś była.

Addy poklepała swój karabin.

– Dobra, jeśli pokażą się tu jakieś asfalty, nafaszeruję je ołowiem.

Do tunelu zjechało sześciu kolejnych żołnierzy, a potem jeszcze sześciu. Zebrali się wzdłuż torów, czekając na windę, która znów zaczęła się unosić. Teraz, kiedy wrócił prąd, kursowała szybko. Marco ucieszył się, widząc, że sierżant Singh dotarł na dół. Wysoki, brodaty Sikh, ze swoim ciężkim karabinem i zakrzywionym kirpanem, sprawiał, że ciemność zdawała się odrobinę bardziej znośna.

Marco podszedł do sierżanta i już miał coś powiedzieć, kiedy rozległ się łomot i znów zabrakło prądu.

Tunel zatonął w całkowitym mroku. Gdy na chwilę włączyło się światło, żołnierze pogasili latarki i teraz ciemność była nieprzenikniona, opływała ich dookoła, ocierała się o nich.

Ktoś roześmiał się w oddali – głosem zbyt odległym i stłumionym, by mógł należeć do któregoś z żołnierzy. W górze rozległ się tupot stóp biegnących wzdłuż sufitu.

Marco włączył latarkę, skierował światło w górę i zobaczył coś – poruszyło się i zniknęło, a gdy próbował podążyć za nim snopem światła, nic już nie znalazł.

Jedna po drugiej włączały się pozostałe latarki. Przez chwilę wszyscy milczeli.

W końcu Ben-Ari odezwała się do swojego komunikatora.

– Melduje porucznik Ben-Ari. Pani oficer, czy...

Ze słuchawki Ben-Ari dobiegł głos kapitan Petty, na tyle głośny, że stojący w pobliżu Marco również go słyszał.

– Cholera. Mamy dwie sekcje ogniowe w połowie szybu. Dalej będą opuszczać kabinę ręcznie. Zostańcie tam, gdzie jesteście, poruczniku. *Nie* zapuszczajcie się sami w tunele. Czy to jasne? Zostańcie tam, gdzie jesteście.

W głosie Petty wyraźnie rozbrzmiewał strach, lekkie drzenie będące zapowiedzią nadciągającej hysterii. Jednak Ben-Ari, odpowiadając swojemu dowódcy, nie okazywała lęku.

– Tak, pani oficer, nie ruszamy się z miejsca. Zamelduję, jeśli coś się będzie działo.

Głos Ben-Ari był spokojny i opanowany, stała pewnie, nie zaciskając dłoni na chwycie pistoletu. Marco czuł w tej chwili ogromną wdzięczność, że to porucznik Einav Ben-Ari była jego bezpośrednim przełożonym, a nie kapitan Chihuahua.

Żołnierze, którzy dotarli na dół – była ich osiemnastka – stali koło szyn, czekając, kierując

promienie latarek i lufy karabinów w głąb tunelu. Z góry szybu dobiegało skrzywienie i stukot poruszającej się windy, przybliżającej się metr za metrem. W pewnym momencie wzrok Marco przykuł jakiś ruch w głębi tunelu. Spojrzał w dal, ale nie wypatrzył nic pośród cieni. Metalowe tory prowadziły w głąb kopalni; Marco pomyślał o słyszonym wcześniej krzyku. Jeden ze zwisających z sufitu łańcuchów, wciąż ten sam, nadal się kołysał, tam i z powrotem, tam i z powrotem, jak wahadło, ani na moment nie zwalniając.

– Dlaczego on wciąż się huśta? – wyszeptał, kierując latarkę w głąb tunelu. Ilekroć promień światła poruszył się, cienie czmychały jak żywe istoty. Wydawało mu się, że słyszy jakiś chichot, skrzyknięcie – być może tylko odgłos windy opadającej w dół szybu.

– Marco? – Usłyszał za sobą głos, a gdy się odwrócił, zobaczył nadchodzącą Lailani. Oczy miała szeroko otwarte, twarz pobladła, oddech – drżący. Wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć. – Marco, tam...

Z szybu dobiegł pisk rwącego się metalu, a po nim ludzkie krzyki.

Żołnierze zebrani w tunelu wszyscy zwrócili wzrok w tamtą stronę. Metal zazgrzytał. Posypały się iskry.

– Spada! – zawołał ktoś. – Kabina spada!

– Do tyłu, do tyłu! – rozkazał sierżant Singh.

Żołnierze odskoczyli w tył, do tunelu. Dźwięk stał się ogłuszający, metal ciął kamień, wszędzie było pełno pyłu, a potem, wśród eksplozji metalu, skały i wyginanych prętów, klatka windy roztrzaskała się o podłogę szybu.

Przez krótką chwilę żołnierze w tunelu stali nieruchomo, wpatrując się w szczątki kabiny. Pręty klatki były wygięte i połamane, wokół unosiła się chmura pyłu. Wewnątrz leżały nieruchome sylwetki.

Marco i pozostali rzucili się naprzód. Żołnierze w klatce się nie poruszali. Drzwi były wygięte i nie dało się ich otworzyć.

– Oddychają? – zapytał ktoś za plecami Marco.

– Nie żyją – powiedział ktoś inny. – Boże. Spójrzcie na tę krew. Na te kości.

– Jesteśmy tu uwięzieni – jęknął Elvis. – O Boże, utknęliśmy tu na dole.

– Ruchy, ruchy, dajcie mi to otworzyć! – powiedział Bestia. Potężny żołnierz podszedł do klatki, chwycił za pręty i...

Jedna z osób wewnątrz roztrzaskanej kabiny wstała. Bestia krzyknął z przestraczem i odskoczył. Stojąca w zgniecionej klatce postać otrzepała się z pyłu i potrząsnęła głową, strącając odłamki spomiędzy płatynowych włosów.

– Osiris – szepnął Marco.

Android złapał wygięte pręty, rozchylił je szarpnięciem i wyszedł z klatki do tunelu.

– Spadliśmy – powiedziała Osiris. – Pozostali nie żyją. Ich ciała były słabe.

Wyciąganie zwłok z kabiny było ponurym zadaniem. Pięć trupów, młodzi żołnierze. Marco wątpił, żeby ktokolwiek z nich miał więcej niż dwadzieścia lat. Ich kości były

potrzaskane, usta wciąż otwarte w bezgłośnym krzyku. Żywi żołnierze okryli martwych kocami ze swoich plecaków, ale Marco wiedział, że nigdy nie zapomni straszego widoku tych udręczonych, nieruchomych twarzy.

Podczas gdy Ben-Ari zdawała dowódcy raport z sytuacji, sierżant Singh zaczął cichym głosem śpiewać modlitwę za zmarłych. Pozostali żołnierze stanęli przy nim ze spuszczoneymi głowami. W trakcie modlitwy Marco poczuł na sobie czyjeś spojrzenie; podniósł wzrok i zobaczył Osiris. Jej lawendowe oczy lśniły blaskiem, gdy posłała mu nieznacny, pozbawiony radości uśmiech.

Po zakończonych modłach Marco podszedł do szczątków klatki, stanął między powyginanymi prętami i spojrzał w górę szybu. Ponad czterysta pięćdziesiąt metrów kamienia i cieni niknęło w mroku. Marco chwycił fragment łańcucha, który wciąż zwisał z sufitu klatki. Zmarszczył brwi, przyklęknął i podniósł drugi fragment.

Te łańcuchy podtrzymywały wcześniej kabinę windy. Ich ogniwa zostały przepiłowane.

– Pani oficer – powiedział, spoglądając na swoją porucznik.

Ben-Ari podeszła, a wraz z nią kilkoro innych. Wszyscy spojrzeli na łańcuchy. Marco przejechał dłonią po jednym z pękniętych ogniw. Linia cięcia była gładka, jakby wykonana za pomocą piły tarczowej albo lasera.

– One nie wygięły się i nie pękły pod ciężarem kabiny, pani oficer – stwierdził. – Ktoś je przeciął. Ktoś celowo zrzucił tę windę.

– To ten pieprzony robot! – powiedziała Addy. Uniosła broń, pociągnęła dźwignię suwadła i wymierzyła lufę w Osiris.

– Cholera. – Elvis splunął. Młody żołnierz był blady i drżał, być może przypominając sobie, jak Osiris dusiła go na pokładzie *Miyari*. On również uniół broń, wprowadził pocisk i wycelował w Osiris. – Sabotaż na statku to też na pewno jej sprawka.

Paru innych żołnierzy uniosło karabiny, wprowadziło naboje i wymierzyło lufy w androida. Osiris stała spokojnie, patrząc na nich z przekrzywioną głową.

– Czy moi panowie są na mnie źli? – zapytała.

Addy splunęła.

– Nie panuj nam tutaj, ty kupo złomu. – Odbezpieczyła broń. – Przestrzelę ci ten twój cholerny mechaniczny mózg.

– Zaraz, chwila! – zaprotestował Marco. – Addy. Elvis. Bestio. Czekać. Jak ona miałaby przeciąć ogniwa? Nie ma żadnej piły. – Zwrócił się do Ben-Ari. – Pani oficer, android ma dłonie, takie jak my. Silne, owszem, ale ogniwa nie zostały zmiażdżone, tylko przecięte.

– No to wyrzuciła piłę – stwierdziła Addy, wciąż trzymając androida na muszce. – Pani porucznik, proszę o pozwolenie na strzelenie androidowi w łeb.

Ze słuchawki Ben-Ari dobiegł cichy głos, ledwie słyszalny w tunelu.

– Ben-Ari! Ben-Ari, co tam się do cholery dzieje? Jeśli zniszczycie własność DOPK,

dobiorę się wam do skóry!

Ben-Ari zignorowała swoją kapitan. Spojrzała na androida, potem na żołnierzy, a potem na kabinę windy.

– Emery – powiedziała. – Przeszukaj szczątki w poszukiwaniu piły albo laserowego ostrza. Czegokolwiek, czym można było przeciąć te ogniwa.

– Tak, pani oficer.

Podczas gdy pozostali trzymali androida na muszce, Marco przetrząsnął szczątki, po czym znów zwrócił się do porucznik.

– Nic nie ma, pani oficer. Myśli pani... – Spojrzał w górę szybu i zadrżał. – Może gdzieś tam czają się wijce? Ich szpony mogłyby przeciąć ogniwa.

Ben-Ari skinęła głową.

– W porządku, żołnierze. Opuśćcie broń. Nie mamy dowodów świadczących przeciwko androidowi.

– To cholerna sabotażystka! – wykrzyknęła Addy, po czym z wysiłkiem ściszyła głos. – Pani oficer.

– To maszyna, Linden – odparła porucznik. – Bardzo droga maszyna.

Osiris skinęła głową.

– Zostałam zaprogramowana, aby służyć ludzkości. Nie przecięłam łańcuchów, a kłamstwo jest niezgodne z moim oprogramowaniem. Wydaje mi się prawdopodobne, że w szybie ukryły się wijce.

– Słyszysz wijcom. – Addy wciąż nie opuściła broni.

Marco przygryzł wargę. Bardzo szanował Ben-Ari, ale był skłonny zgodzić się z Addy i całą resztą. Nie ufał Osiris. Przypomniał sobie spotkanie w kaplicy na *Miyari*, jej nieprzyjemny sposób bycia, a także to, jak dusiła Elvisa. Czy to ona mogła dokonać sabotażu silnika statku podczas ataku wijców? Czy obcy mogli zhakować jej oprogramowanie? Ale jak się to miało do braku piły?

– Nie mogła przeciąć łańcuchów – powiedział w końcu. – Addy, ona nie ma ostrzy. To musiały być wijce. Ukryły się w szybie i użyły swoich szponów.

Do głowy przyszła mu inna nieprzyjemna myśl. Czy to możliwe, że kapitan Petty albo ktoś z jej podkomendnych przeciął łańcuchy, aby uwięzić Ben-Ari i jej pluton tu, na dole? Nie. Pokręcił głową. Kapitan Petty może i była mściwa, ale nie mordowała by własnych żołnierzy... prawda?

– Szeregową Linden, natychmiast opuść broń – powiedziała Ben-Ari do Addy. – To rozkaz. Reszta tak samo.

Addy niechętnie opuściła karabin, a pozostali poszli w jej ślady.

– Teraz je rozładujcie – nakazała Ben-Ari.

Mamrocząc między sobą, żołnierze otwarli komory karabinów, wydłubali załadowane naboje i wsadzili je z powrotem do magazynków.

– Będę cię miała na oku, robocie – powiedziała Addy, wskazując na swoje oczy, a potem na androida.

Osiris uśmiechnęła się słodko.

– Jestem do usług, pani.

Ze wszystkich słuchawek jednocześnie rozległ się głos Petty, drżący i piskliwy.

– Co się tam dzieje? Raportujcie, do diabła!

Ben-Ari odezwała się do swojego komunikatora.

– Wydobyliśmy ze zniszczonej kabiny pięć ciał, pani kapitan. Upadek przetrwała tylko Osiris. Uważamy, że wjyce mogły zaatakować zjeżdżającą windę. Czekamy na dalsze rozkazy.

– Spróbujemy znaleźć w mieście inny szyb – powiedziała Petty. – To duża kolonia górnicza. Na pewno są inne drogi na dół. W międzyczasie proszę zacząć przeszukiwać kopalnię ze swoimi ludźmi, poruczniku. Znajdźcie silnik eterytowy. W tej chwili tylko to się liczy. Nie odszukanie osadników. Nie walka z wjycami. Po prostu znajdźcie potrzebny nam silnik i wynośmy się z tej cholernej skały. – W głos kapitan wkradł się ton hysterii. – Pozostawajcie ze mną w stałym kontakcie. Odszukamy się w kopalniach, a potem znajdziemy drogę wyjścia.

– Tak, pani oficer – odpowiedziała Ben-Ari. – Jest tu tunel prowadzący w głąb kopalni, a nas jest osiemnaścioro – dziewiętnaścioro, jeśli liczyć Osiris – jesteśmy uzbrojeni i mamy zapas amunicji. Zaczniemy poszukiwania.

– Pamiętaj, Ben-Ari – powiedziała Petty przez komunikator. – To już nie jest misja ratunkowa. Nie wdawajcie się w walkę z wjycami! Nie pakujcie się w tarapaty. Znajdźcie silnik i... – Jej głos urwał się.

– Pani oficer? – odezwała się Ben-Ari.

Przez moment nie było słycać nic oprócz szumów.

– O Boże. – Głos Petty dobiegł ze wszystkich słuchawek.

– Pani oficer! – powtórzyła Ben-Ari. – Czy wszystko...

– Kim jesteście? – wyszeptała Petty. – *Czym* jesteście? Czego chcecie? Trzymajcie się z daleka! Nie podchodźcie! Stójcie! Żołnierze, ognia! Ognia!

Jej głos zamilkł, zastąpiony falą zakłóceń. Słycać było krzyki i odgłosy wystrzałów, tak głośne, że Marco musiał wyciągnąć słuchawkę z ucha. Mimo to wciąż słycał wystrzały niosące się echem przez szyb, wciąż słycał krzyki. Nie mogło to trwać dłużej niż kilka sekund, ale zdawało się brzmieć całe wieki... aż w końcu zapadła cisza.

– Pani oficer! – mówiła Ben-Ari do komunikatora. – Pani kapitan! Słyca mnie pani? Jaka jest sytuacja?

Z głośników dobiegały tylko szумы.

Żołnierze w dole przez dłuższą chwilę stali w milczeniu.

– Czy oni nie żyją? – wyszeptał w końcu Elvis, przełykając ślinę.

– Pani kapitan! – powtórzyła Ben-Ari do mikrofonu. Spróbowała skontaktować się z paroma innymi osobami. Żadnej odpowiedzi.

– Nie żyją – stwierdził Elvis. Wyglądał, jakby zbierało mu się na mdłości. – Utknęliśmy tu w ciemnościach. W dodatku są tam wijce. Są tam na górze i tu na dole, a my jesteśmy w pułapce i...

– Dość tego, szeregowy! – przerwała mu Ben-Ari. – Policz do dziesięciu. Uspokój się. – Powiodła wzrokiem po pozostałych. – Nie utknęliśmy tu. Nie umrzemy tu, na dole. Słyszeliście, co powiedziała kapitan. Są inne szyby. Musimy tylko znaleźć jakiś z działającą windą. Ale najpierw odszukamy silnik, żeby móc naprawić *Miyari*. A teraz chodźcie za mną. Pójdziemy tym tunelem. Nie wyłączajcie latarek, nie opuszczajcie broni i nie podnoście głosu.

To powiedziawszy, porucznik odwróciła się i ruszyła wzdłuż biegnących tunelem torów, oddalając się od szybu. Pozostali ruszyli za nią, zanurzając się w ciemność.



ROZDZIAŁ 13

Dziewiętnaścioro żołnierzy szło tunelem z latarkami przytroczonymi do hełmów i bronią w ręku. Kapral Kikucik dreptał obok, a latarkę miał przymocowaną do swojego miniaturowego munduru. Ściany były tu tak nieregularne, jakby wyłobila je żywa istota, a sufit tak niski, że Bestia ocierał się o niego hełmem. Tory kolejki ciągnęły się naprzód, a tunel opadał w dół, coraz głębiej pod ziemię. Światła nad ich głowami rozbłysły tylko na moment, ukazując słowa wymalowane na ścianie czymś, co wyglądało jak krew.

Marco odczytał je cichym głosem.

– Zawróćcie. Śmierć na dole.

Addy uniosła karabin.

– To my jesteśmy śmiercią.

Światła zamigotały, po czym z powrotem zgasły. Marco miał nadzieję, że tam, w dole ktoś żył i starał się naprawić zasilanie. Szli dalej. Z głębi kopalni wiał wiatr, zimny i zatechły, cuchnący robactwem i starym mięsem. Jego świst brzmiał jak jęki konającego. Z otchłani dobiegał huk i łoskot, brzęk metalu, czasem zduszony krzyk. Marco nie wiedział, czy słyszy głosy ocalałych, wijce, czy może tylko włączającą się i wyłączającą maszynę, której odgłosy rozchodziły się echem przez podziemia.

Szli dalej tunelem, pokonując setki metrów wzdłuż torów. Smród z każdym krokiem narastał, aż stał się tak nieznośny, że Marco i parę innych osób założyło maski gazowe. Cuchnęło śmiercią.

Kilka kroków później Marco zamarł.

Uniósł latarkę.

Jego serce zaczęło bić jak oszalałe.

– Kto tam jest? – zawołał, unosząc broń. Wokół niego pozostali zrobili to samo. Skierowali promienie laterek przed siebie.

Postać. Czarna, chuda sylwetka. Ktoś stał w ciemności. Nie, nie stał – wisiał.

Zbliżyli się powoli z uniesioną bronią, rzucając na postać więcej światła.

– Boże – szepnął Marco.

Elvis zasłonił usta dłonią i pozieleniał na twarzy.

Mężczyzna zwisał z sufitu na łańcuchu owiniętym wokół szyi. Jego twarz była obrzmiała, język wystawał mu z ust, a policzki były rozdrapane, jakby paznokciami. Miał na sobie niebieski uniform z logo Chrysopoeia Corp wciąż widocznym na koszuli.

– Biedaczysko – stwierdziła Addy, dźgając trupa lufą broni.

– Nie zakłócaj spokoju zmarłych – powiedziała Lailani, robiąc znak krzyża. – Rzuć na ciebie klątwę, jeśli będziesz ich nękać.

Marco podszedł bliżej, krzywiąc się, szczęśliwy, że ma na twarzy maskę gazową. Brzuch mężczyzny rozsadały już pośmiertne gazy, a jego ciało ociekało zgnilizną. W dłoni trzymał zwinięty kawałek papieru. Marco wyciągnął go i rozwinął.

– Co tam pisze? – zapytała Addy.

– Czekaj, odsuń się – odparł Marco. – Daj mi trochę przestrzeni, żebym mógł odejść od zwłok. Strasznie śmierdzą. – Odeszli kilka kroków, a wtedy zaczął czytać. – „Zabrali ich. Wszystkich. Moją żonę. Moje dzieci. Widziałem ich, widziałem, czym są, jak pełzają, jak mnie błagają. Są wszędzie. W maszynach. W wodzie. Zmieniają się. Ja nie zostanę jednym z nich. Nie dam urosnąć. Nie pozwolę im. Są wszędzie. Słyszę ich teraz, jak się zbliżają, tych ze szponami. Jeśli traficie na moją rodzinę, zróbcie to, czego ja nie dałem rady zrobić. Zabijcie ich. Zabijcie. Nadchodzą. Jestem tchórzem”.

Marco z powrotem zwinął papier i zadrżał. Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli, wpatrzeni w zwłoki.

– Wijce? – wyszeptała Addy.

– Demony – odparła Lailani. – Demony w ciemności. Zmierzamy do piekła.

– Jedziemy do New Jersey? – zapytała Addy.

– Wystarczy – powiedziała porucznik Ben-Ari. – Nie ma czegoś takiego jak demony ani piekło, a my nie jesteśmy bezbronnymi górnikami, tylko żołnierzami Sił Obronnych Ludzkości. Zabiliśmy wiele wijców w Forcie Dżamila; zabijemy też wszystkie, na które natkniemy się tutaj. Zostawcie na razie te zwłoki. Schodzimy głębiej. Znajdziemy silnik, znajdziemy inny szyb, a jeśli się uda, to również ocalałych górników. Za dzień lub dwa znów będziemy na *Miyari*, a to wszystko będzie tylko złym snem. – Ominęła zwłoki i ruszyła w głąb tunelu. – Za mną.

Przeszli kolejnych kilkaset metrów, kiedy tory zagroził potężny, ciemny kształt. Światło latarek padło na ubłocone żółte boki, metalowe koła i płataninę kabli wylewających się niczym wnętrzności z brzucha bestii. Był to niewielki pociąg. Kolejka złożona z trzech niezadaszonych wagoników, każdy z nich mniej więcej tak duży, jak klatka windy, akurat, żeby pomieścić pięciu lub sześciu żołnierzy. Lokomotywa – ciasne żółte pudło zawierające silnik, pojedyncze siedzenie i kilka dźwigni – zdawała się mieć dość miejsca dla jednego maszynisty. Para umieszczonych na niej świateł wyglądała jak oczy i Marco nagle odniósł wrażenie, że cały ten pociąg to żywa istota, wielka metalowa stonoga, złowieszcza i drwiąca – maszyna wijców.

– Wygląda jak jedna z tych kolejek dla dzieci, które są w wesołych miasteczkach – stwierdził Elvis. – Urocza.

– Kolejki dla dzieci nie są pokryte rdzą i plamami krwi – odparł Marco.

– Tam, gdzie ja dorastałem, są! – powiedział Elvis.

Pociąg wciąż wydawał się Marco niepokojący. Lokomotywa, ze światłami i zderzakiem, trochę za bardzo przypominała twarz – kpiącą, okrutną twarz. Ale przecież dorastał w Toronto i nieraz jeździł metrem. To nie mogło się za bardzo różnić.

– Zaklepuję maszynistę! – powiedział i zaraz zdał sobie sprawę, jak dziecinnie to zabrzmiało. Zarumienił się, zwłaszcza widząc uśmieški na twarzach kilku innych żołnierzy. Zwrócił się do Ben-Ari. – Pani oficer, jeśli uda nam się uruchomić tę kolejkę, będziemy przemieszczać się szybciej i łatwiej nam będzie się bronić.

Skinęła głową.

– Spróbujmy.

Marco wsiadł do lokomotywy, a Kikucik wskoczył za nim, merdając ogonkiem. Marco usiadł na podartym siedzeniu ze sztucznej skóry. Było ciasno, kolanami obijał się o tablicę rozdzielczą. Kabina była otwarta z obu stron, a od góry osłonięta tylko lichym daszkiem. Wcisnął włącznik zapłonu i lokomotywa zaburczała, buchnęła dymem, zagrzechotała, po czym zamarła. Jeszcze chwilę pomęczył się z zapłonem i w końcu silnik z warkotem zbudził się do życia.

Kolejka ruszyła naprzód.

– Ej, nie tak szybko! – zaprotestowała Addy, idąc wzdłuż wagoników. Pociąg wciąż poruszał się na tyle wolno, żeby za nim nadążyć. – Zatrzymaj się i daj nam wejść.

Z tablicy rozdzielczej sterczały trzy dźwignie. Marco wybrał tę największą i pociągnął ją w swoją stronę. Kolejka zwolniła i stanęła, a żołnierze wgramolili się do środka, po sześciu na wagonik, broń trzymając między kolanami. Marco pchnął dźwignię i pociąg znów ruszył tunelem, klekocząc i pomrukując. Wypróbował drugą wajchę, a wtedy włączyły się reflektory, przecinając mrok przed nimi promieniami światła. Kiedy toczyli się z warkotem przez skalisty tunel, Marco czuł się jak pasożyt pełznący przez wysuszone wnętrza trupa. Wciąż widział pośród cieni jakieś stworzenia, ale gdy pociąg podjeżdżał bliżej, znikwały, okazując się jedynie wytworami jego wyobraźni.

Wciąż powracał myślami do słów listu pożegnalnego.

Jeśli traficie na moją rodzinę, zróbcie to, czego ja nie dałem rady zrobić. Zabijcie ich. Zabijcie. Nadchodzą.

Jakie szaleństwo mogło sprawić, że ktoś życzył śmierci własnej rodzinie? Gdzie byli pozostali osadnicy? Czym było to bezwłose, bezpostaciowe coś w plecaku Ben-Ari, i tamten szkielet z trzema parami ramion? „Demony”, powiedziała Lailani. „Piekło”. Nie. Bzdury. Marco nie wierzył w takie rzeczy, ale to miejsce kryło zbyt wiele zagadek, a nieznanne czające się w ciemności zdawało się jeszcze bardziej okrutne niż szpony wjiców. W Forcie

Dzamiła wróg przynajmniej atakował otwarcie i był czymś konkretnym, do czego Marco mógł strzelać. A tutaj? Tylko cienie i echa.

Znaki na ścianach wskazywały przebyty dystans. Kilometr. Dwa. Tunel wciąż rozciągał się przed nimi, tak wąski, że pociąg niemal ocierał się o surowe ściany. Przednie światła sięgały jedynie kilka metrów w przód; dalej była tylko ciemność, jednorodna otchłań, czarna dziura pośród skał, wieczna, otoczona przez tańczące cienie, i...

Kobieta na torach.

Kobieta ubrana w szarą szatę, o białej twarzy i lśniących oczach.

Marco szarpnął za dźwignię, spłoszony, a pociąg zazgrzytał, sypiąc iskrami. Wciąż jechał naprzód, jechał, jechał, zaczął zwalniać, w końcu się zatrzymał.

Kobieta stała przed nim z opuszczoną, zwróconą w bok głową skrytą pod kapturem. Tkwiła nieruchomo na torach, owinięta szatą.

– Marco! – Addy wyskoczyła z wagonika i ruszyła do przodu. – Czemu się zatrzymaliśmy? Czy... – Zamarła. – O kurwa.

Kobieta w szarej szacie stała w miejscu bez słowa. Spod jej kaptura wystawało kilka pasm białych włosów. Wyglądało na to, że nie zauważyła pociągu.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – Marco wysiadł z lokomotywy. Pozostali żołnierze również wyszli z wagoników i ruszyli w jego stronę. – Proszę pani, przychodzimy z pomocą. Odebraliśmy wasz sygnał. Jesteśmy żołnierzami Sił Obronnych Ludzkości. Proszę pani?

Kobieta odezwała się szeptem, patrząc w bok.

– Spóźniliście się.

– Jest pani ranna? – zapytał Marco. – Możemy pani pomóc.

– Nie możecie nam już pomóc. – Zwróciła ku nim głowę, pozwalając, aby kaptur opadł. Miała młodą twarz, ale białe włosy i udręczone, przekrwione oczy, w których zdawała się tańczyć cała groza piekieł. – Powinniście stąd uciekać. Przyszli po nas. Zmieniają was. Uciekajcie. Uciekajcie.

– Kto taki, proszę pani? – zapytał Marco. – *Scolopendra titania*? Wijce? – Wyciągnął ku niej rękę. – Jest pani ranna?

Zrobiła krok w tył i strząsnęła z ramion płaszcz, który opadł jej do stóp.

Marco skrzywił się.

Była naga i blada, jej sutki miały kolor ciemnego szkarłatu i ciekło z nich krwawe mleko. Z tułowia wyrastały jej trzy pary ramion, a każde zakończone było pojedynczym szponem w miejscu dłoni. Jej wargi odwinęły się do tyłu, a z dziąseł wysunęły się kły.

– Pomóżcie mi – wyszeptała. – Pomóżcie...

Jej oczy zapłonęły czerwienią i kobieta zawyła, tak głośno, że tunel zdał się trząść w posadach. Z sufitu posypał się pył. Żołnierze unieśli broń, a kobieta rzuciła się na nich.

– Czekać, nie strzelać! – zawołał Marco, ale oni już otwarli ogień.

Pociski wbiły się w ciało istoty, przechodząc na wylot, ale to jej nie powstrzymało.

Kobieta rzuciła się na jednego z żołnierzy, wysokiego członka DOPK, i zatopiła szpony w jego ciele, po czym wyciągnęła je z powrotem, wrywając mu żebra. Świsnęło więcej naboju. Jeden z żołnierzy krzyknął, gdy odłamek wbił mu się w nogę. Inny odłamek drasnął ramię Marco, rozrywając skórę. Kobieta znów skoczyła, wylądowała na innym żołnierzu i poderżnęła mu gardło; ciało rozchyliło się w upiornym uśmiechu. Istota odskoczyła, lądując w tunelu, i zasyczała.

– Zginiecie – wyszeptła, wysuwając z ust długi, ociekający robactwem język. – Wkroczyliście do piekła. Powinniście byli uciekać. Powinniście byli uciekać!

Stwór ponownie rzucił się do przodu. Marco i pozostali wystrzelili z broni. Naboje przeszły głowę kobiety, roztrzaskując jej czaszkę, tak, że została tylko zwieszająca się z szyi szczeka; mimo to istota wciąż pędziła naprzód, wymachując szponami. Ostrza rozszarpały kolejnego człowieka. Jeszcze więcej naboju przeszło stworzenie; ogłuszający huk wypełnił tunel, poniósł się echem i wrócił, rozsadzając im uszy. Znowu poleciały odłamki. Marco skulił się, gdy jeden prześlizgnął się po jego hełmie, uderzając go w głowę.

– Wstrzymać ogień! – zawołała Ben-Ari. – Wystarczy! Wstrzymać ogień!

Opuścili dymiącą broń.

Zwłoki leżały na torach; niewiele z nich zostało. Jedna kończyna wciąż drgała. Większa część ramienia wyglądała na ludzką, ale poniżej nadgarstka, zamiast dłoni...

– To szpon wijca – powiedział Marco, nie słysząc własnego głosu. Jego uszy zdawały się opuchnięte i pełne waty, a wypełniało je bolesne dzwonięcie.

– To jakiś potwór Frankensteina – stwierdziła Addy z obrzydzeniem wymalowanym na twarzy. – Wijce poobcinały jej dłonie i poprzyszywały te cholerne szpony. Chore skurwiele.

Marco uniósł nadgarstek kobiety, oglądając zakrwawiony szpon. Powoli wypuścił powietrze. – Ten szpon... nie jest tu przeszczepiony. – Spojrzał na pozostałych. – To część jej ciała.

– Bzdura – odparła Addy. – Muszą być jakieś szwy, blizna, cokolwiek.

Ona również uklękła, przyglądając się nadgarstкови w świetle latarki. Nie znaleźli jednak żadnych blizn ani szwów. Nie, to nie był potwór Frankensteina. Szpony wyrosły z ciała tej kobiety, były jego częścią tak samo, jak dłonie były częścią ciała Marco.

– *Mangkukulam* – powiedziała Lailani i przeżegnała się. – Czarownica.

– A nie asfalt? – zapytała Addy.

– *Aswang* – odparła Lailani. – To znaczy demon. *Mangkukulam* to czarownica. – Potrząsnęła głową. – Czymkolwiek jest ten stwór, demonem czy czarownicą, jest zły. Całe to miejsce jest złe. – Rozejrzała się wokoło z drżeniem. – Zło jest w ścianach. W powietrzu. W ciemności. We mnie. – Drżącymi palcami założyła maskę gazową. – Nie oddychajcie tym powietrzem. Coś jest z nim nie tak. Wszystko tu jest nie tak. Już tym przesiąkliśmy. Czuję to, jak gnijące dziecko w moim łonie.

Ramię wciąż drgało. Marco upuścił je i spojrzał na swoich towarzyszy.

– Ludzie... co to za miejsce?

Nie odpowiedzieli, tylko odwzajemnili spojrzenie. W oczach mieli strach.

– Piekło – wyszeptała Lailani, a jej głos poniósł się echem przez ciemność. *Piekło. Piekło. Piekło.*



ROZDZIAŁ 14

– Ile wjwców zabił pan w Appalachach, dowódco? – zapytała Addy, nachylając się w stronę kaprała Diaza.

– Czy było tam gorzej niż tutaj? – dołączył się Elvis, spoglądając na kaprała.

Jechali kolejką przez ciemność. Ranni. Przestraszeni. Kilka kilometrów pod ziemią. Siedzący w lokomotywie Marco spojrział przez ramię na żołnierzy w wagoniku, zebranych wokół kaprała Diaza.

– Dajcie człowiekowi odpocząć – powiedział. – Ostatnie, czego może chcieć w tym piekle, to przeżywać na nowo inne piekło.

Wszyscy spojrzeli na niego, a potem z powrotem na Diaza.

– A bolało, jak wijce wyrwały panu kręgosłup? – spytała Addy.

– Oczywiście, kurwa, że bolało! – powiedział Elvis, piorunując ją wzrokiem, po czym znów zwrócił się do kaprała. – Wnętrznosci też panu powywlekały?

Kapral Diaz uniósł rękę.

– Dobrze już, żołnierze. Starczy tych pytań. Opowiem wam, jak było. – Ściszył głos, a pozostali nachylili się bliżej. – Było nas sześciuset, cały batalion. Doszły nas słuchy, że wijce zbierają się w górach, formując rój. Wywiad donosił, że zbierały się tysiące tych skurwysynów, gotowe ruszyć na Waszyngton. Śledziliśmy je po lasach całymi dniami. Deszczowymi dniami. Komary fruwały tam tak wielkie, że dałyby radę odgryźć człowiekowi jaja. Marzyliśmy tylko o tym, żeby wziąć ciepły prysznic i zjeść coś lepszego niż wiewiórkę. Aż któregoś dnia usłyszeliśmy między drzewami kroki. Potężne kroki, które wstrząsały całym lasem. Powoli ruszyliśmy naprzód. Niski pomruk narastał. Przed nami było coś wielkiego, coś...

Elvis odetchnął głęboko.

– Czy to był król wjwców? Słyszałem, że rosną wielkie jak Godzilla.

– Dźwięki zdecydowanie na to wskazywały – odparł Diaz. – Zgłosiłem się na ochotnika, żeby go namierzyć. Ruszyłem naprzód sam, z uniesioną bronią, tropiąc tego stwora. Godzinami polowałem na niego w lesie, wspinałem się po górach, przekraczałem w bród rzeki. Wreszcie natrafiłem na niego w dębowym zagajniku. To Wielka Stopa srał sobie

w lesie! Tak się wkurzył, że rozerwał mnie na strzępy.

Wszyscy pozostali jęknęli.

– No wie pan, dowódco! – obruszyła się Addy. – Niech pan powie, jak było naprawdę.

Diaz wybuchnął śmiechem.

– Wcale nie chcecie usłyszeć, jak było naprawdę. – Spoważniał. – Prawdziwe historie wojenne nigdy nie są zabawne. Są pełne smutku, bólu i poczucia straty. Kiedyś to zrozumiecie. Kiedy wrócicie do domu, a rodzina i przyjaciele będą was prosić o opowieści z Corpusa, zrozumiecie.

Wszyscy milczeli przez dłuższą chwilę. Marco pomyślał, że kapral ma rację. Jeśli jeszcze kiedyś zobaczy ojca, nie będzie chciał z nim rozmawiać o tym przeklętym miejscu. O kobiecie z sześciorgiem ramion. O tych, którzy polegli na torach. O niczym.

– Dowódco – zagadnął, odwracając się od deski rozdzielczej. – Mam pytanie.

Diaz skinął głową.

– Wal.

– Dlaczego pan tu jest? – zapytał Marco. – Bez urazy, dowódco, ale został pan ciężko ranny w Appalachach. Nie musi pan już walczyć. Wiem, że Fort Dżamila został zniszczony, ale mógł pan dalej trenować rekrutów w innej bazie. Do diabła, z takimi obrażeniami na pewno dostałby pan honorowe zwolnienie. Nie musiał pan wyruszać z nami na misję.

– To dlatego, że tak bardzo nas kocha! – stwierdziła Addy, trzepocząc rękami. – A zwłaszcza mnie.

Elvis jęknął.

– Hokeistko, ciebie nawet Kapral Kikucik by nie pokochał, choćbyś była zrobiona z bekonu.

Kapral Diaz zachował powagę.

– To dobre pytanie. Sam nieraz się nad tym zastanawiałem. – Przez chwilę siedział wpatrzony w przesuwające się obok ściany tunelu. W końcu znów przemówił: – Jako dziecko byłem grubasem. Serio. Byłem najgrubszym dzieciakiem w szkole. Inni uczniowie żartowali sobie, że szybciej się turlałem niż chodziłem. Szydzili ze mnie, rzucali we mnie rzeczami, bili, a ja byłem zbyt słaby, żeby im oddać. Zamiast tego uciekałem i chowałem się przed nimi. A jest to cholernie trudne, kiedy waży się tyle, co królowa wójców.

Addy otworzyła szeroko oczy.

– Pan, dowódco? – Powiodła spojrzeniem po umięśnionym ciele kaprala. – Jeśli wolno mi tak powiedzieć, sporo pan zrzucił i przypakował. Ma pan więcej mięśni w małym palcu niż Poeta w całym ciele.

– Hej! – zaprotestował Marco.

– O tak, teraz wyglądam całkiem inaczej – zgodził się Diaz. – Ale kiedy chodziłem do liceum i byłem gotowy wstąpić do wojska, komisja mnie odrzuciła. Za gruby jesteś, młody – tak mi powiedzieli. Było mi wstyd. Wszyscy moi bracia i kuzynowie wstępowali do wojska.

Mój tata wciąż służy w Niemczech jako starszy sierżant. Przez następny rok trenowałem i nabierałem siły; przysięgłem sobie, że nigdy już nie będę tą żalostną ofiarą zaczepki. Cały cholerny rok spędziłem na siłowni. Kiedy w końcu wstąpiłem do wojska i strzelałem do wujców, wyobrażałem sobie, że strzelam do moich dawnych oprawców ze szkoły. Widzę to w ten sposób: wujce to oprawcy, którzy znęcają się nad całą galaktyką, a ja nie chcę się przed nimi ukrywać. Już nie. Kiedy zostałem ranny, wysłano mnie do Fortu Dżamila, ale gdy wujce zaatakowały bazę, gdy tam z nimi walczyłem, gdy widziałem, jak zabijają kapral Webb, Jaskiniowca i innych... wiedziałem, że muszę walczyć dalej. Że już nigdy nie chcę uchylać się od walki. – W jego oczach pojawił się błysk. – No i zawsze uwielbiałem komputerowe strzelanki.

– Cieszymy się, że jest pan tu z nami, dowódcu – powiedział Marco. – Nie wyobrażam sobie lepszego dowódcy dla naszej drużyny.

– Szkoda, że nie może się pan już turlać, dowódcu – stwierdziła Addy. – To by nam pomogło oczyścić te tunele.

– Patrząc, jak pochłaniasz racje, Hokeistko, niedługo ty sama będziesz się turlać – odparł Elvis, po czym zawył, kiedy Addy przywaliła mu z pięści.

Jechali dalej tunelem, a Marco wpatrywał się w ciemność, myśląc o opowieści Diaza. Kapral nie musiał wstępować do wojska, a jednak zawiązał się, schudł i z własnej woli wyruszył na wojnę. Mógł pozostać w jakiejś bazie szkoleniowej, a mimo to przyleciał z nimi na Corpus, narażając się na niebezpieczeństwo. Marco nigdy nie chciał się tu znaleźć. Został wcielony do wojska wbrew swojej woli. Do tej misji nie zgłosił się sam, lecz został wybrany przez Ben-Ari, i ledwie był w stanie wytrwać godzinę, nie odczuwając tęsknoty za domem.

„Chciałbym być tak odważny, silny i zdolny do poświęceń jak Diaz” – pomyślał, oglądając się na dowódcę swojej drużyny. Podziwiał wiele osób, które poznał w wojsku: Ben-Ari za mądrość i bycie doskonałym przywódcą, sierżanta Singha za siłę i poczucie honoru, Lailani za odwagę. Pomyślał jednak, że po latach być może wspominał będzie zwłaszcza kaprala Diaza, człowieka, który trenował jego drużynę w Dżamili i który wraz z nią podążył w mrok kosmosu.

„Kiedy wrócę do domu, nie będę chciał mówić o Corpusie – pomyślał – ale będę chciał opowiadać o moich towarzyszach. O przyjaciółkach. O tym, czego się od nich nauczyłem i jak pomogli mi odnaleźć w sobie siłę”.

– Nad czym tak dumasz, Poeto? – Addy zmierzwiła mu dłonią włosy.

– Nad Wielką Stopą – odpowiedział.

Addy wskoczyła do lokomotywy i usiadła mu na kolanach.

– Złaź! – zaprotestował. – Elvis miał rację, ważysz tonę.

Uszczypnęła go w policzek.

– Zamknij się i prowadź, Poeto. Jesteś taki ponury i zamyślony, więc zostanę tu i będę cię wkurzać.

Marco westchnął i wbił wzrok przed siebie.

– Jesteś najgorszym oprawcą ze wszystkich.

Cieszył się jednak, że miał Addy przy sobie. Była nicią, która łączyła go z domem, jedyną częścią rodziny, jaka mu tu została. Była nieokrzesana, hałaśliwa i uparta, ale niech to diabli, Marco kochał tę dziewczynę. Cieszył się z jej obecności, nawet wtedy, kiedy zaczęła szczypać go w nos. Toczyli się w głąb spowitej przez cienie kopalni, a Marco nie chciał, żeby kiedykolwiek zostawiła go samego.

– Addy – zagadnął.

– Poeto?

Objął ją ramionami.

– W domu doprowadzałaś mnie do szału – powiedział. – Ciągłe zabierałaś mi manuskrypty, biłaś mnie po głowie i powalałaś na ziemię, a dwa razy przyłapałem cię na podglądaniu mnie pod prysznicem.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

– Hej, a skąd dziewczyna ma się dowiedzieć, co chłopcy mają w majtkach?

– Czasami miewałem dość mieszkania z tobą pod jednym dachem – ciągnął Marco. – Po tym, jak twoi rodzice zginęli, a mój ojciec cię przygarnął, stałaś się dla mnie kimś w rodzaju małej, irytującej siostrzyczki.

– Jesteś ode mnie starszy tylko o kilka dni – odparła Addy. – I zdecydowanie to ja jestem większa. – Podskoczyła mu na kolanach.

– Ale cieszę się, że jesteś tu ze mną, Addy – dokończył Marco. – Jeśli mam się zmierzyć z hordą krwiożerczych kosmicznych stonóg, to chcę zrobić to z tobą. Bardziej niż z kimkolwiek innym na świecie, nawet Diazem.

– Och, ty to wiesz, jak oczarować dziewczynę. – Pocałowała go w policzek i uszczypnęła w nos. – Słodziak z ciebie. Gdybym nie była twoją przybraną siostrą, wzięłabym z tobą ślub.

– Znowu zmierzwiła mu włosy. – I ja też się cieszę, że tu jesteś. Miło jest mieć przy sobie kogoś z domu. Strasznie cię kocham, braciszku, wiesz? Chociaż cię wkurzam.

– Ja też cię kocham – odparł. – Chociaż ważysz więcej niż tyłek słonia.

Pociąg jechał dalej przez ciemność, a Marco nie wypuszczał Addy z objęć, tuląc ją mocno, ogarnięty nową obawą. Pomyślał o wszystkich tych, których stracił; o Jaskiniowcu konającym na płycie lotniska, o żołnierzach, którzy zginęli w katastrofie statku. Bał się. Nie wiedział, jak zdoła przeżyć, jeśli coś stanie się Addy. Była jego najlepszą przyjaciółką, jego jedyną rodziną, i nie chciał, żeby jej zabrakło.

* * * * *

Przejechali dwadzieścia kilometrów po torach, kiedy tunel przeszedł w grotę. Marco zahamował. Skalna komora była nieduża, niewiele większa od jego sypialni w domu, ale

było w niej trochę miejsca, żeby rozprostować kości, opatrzyć rany i zjeść racje.

– Jest już noc – stwierdziła porucznik Ben-Ari, spoglądając na zegarek. – Macie sześć godzin. Prześpijcie się. Jutro musimy być w pełni sił.

– Nie powinniśmy tutaj spać – powiedziała Lailani, rozglądając się przez szkła w masce gazowej. Nie usiadła jak pozostali, tylko stała, oburącz trzymając karabin. – To miejsce jest przeklęte. Powinniśmy znaleźć wyjście i odejść stąd najszybciej, jak to możliwe.

Jednak pozostali zaczęli już ziewać.

– Może minąć kilka dni, zanim znajdziemy wyjście – odparła Addy. – A ja jestem padnięta. Możesz stać na warcie, kiedy my będziemy spać, Lailani.

Lailani przeszła na skraj groty i stanęła przy torach, spoglądając w mroczną czeluść tunelu. Kiedy odwróciła się z powrotem w stronę pozostałych, promienie latarek odbite w szklach jej maski nadały jej wyłąd potwora, toczoną chorobą maszyny, całej złożonej z metalu, szkła i krwi.

– Nie powinniśmy byli się tu zapuszczać – stwierdziła.

– No nie gadaj – odparła Addy. – Ten księżyc to jeden wielki śmietnik.

– Nie chodziło mi tylko o ten księżyc – powiedziała Lailani. – Nie powinniśmy byli w ogóle wylatywać w kosmos. W ciemność. Nie my. Nie ludzkość. Ludzie nie zostali stworzeni do tego, żeby zapuszczać się pomiędzy cienie. – Pokręciła głową. – W ciemności kryją się przerażające rzeczy. Potwory, których lepiej nie prowokować. Poleciliśmy za wysoko. Dokopaliśmy się za głęboko. Obudziliśmy je.

Wszystkimi wstrząsnął dreszcz. Marco wspomniął dom i wijca, który zabił jego matkę. Czy obcy najechali Ziemię, ponieważ ludzkość wyruszyła w kosmos, naruszyła gniazdo szerszeni?

Porucznik Ben-Ari wstała.

– Ludzkość, de la Rosa? – zapytała. – Ludzkość była zajęta niszczeniem samej siebie na Ziemi. – Miała zaczerwienione policzki. Po raz pierwszy Marco widział porucznik naprawdę wzburzoną. – Ludzie wyrzynali się nawzajem, jedna grupa niszczyła drugą, kolejna wojna goniła poprzednią. Pożoga. Mord. Jednak kilku śmiałków dostrzegło w naszym gatunku coś szlachetnego. Widzieli, że człowiek może być czymś więcej niż nagą małpą tkwiącą na drobinie unoszącej się w ciemności, krzywdzącej swoich pobratymców w imię takiej czy innej ideologii. Dostrzegli w gwiazdach naszą przyszłość. Wzniosłą przyszłość. Ja wciąż w nią wierzę.

Lailani rozłożyła ręce.

– Oto i nasza wzniosła przyszłość.

Marco uznał, że najlepiej będzie zmienić temat. Ostatnie, czego im teraz było trzeba, to rozmowy na temat okrucieństwa i zła.

– Skoro już mowa o Ziemi – wtrącił się. – Za czym z domu najbardziej tęsknicie? – Spojrzał na porucznik Ben-Ari. – Jeśli wolno mi spytać, pani oficer.

Ben-Ari usiadła z powrotem. Oparła się o ścianę i zaczęła mówić cichym głosem:

– Dorastałam bez domu, Emery. SOL było moim domem. Mój ojciec służył jako oficer, podobnie, jak wcześniej jego ojciec. Dzieciństwo spędziłam przenosząc się z jednej bazy wojskowej do drugiej. Moja matka zmarła, kiedy byłam mała, a ojciec oszedł zaledwie rok temu. Ale chyba... najbardziej brakuje mi właśnie jego. Ojca. Nigdy nie mieliśmy wiele czasu dla siebie, bo pochłaniały go obowiązki, ale czasem w soboty zabierał mnie na pustynię, prerię, ocean, czy gdzie akurat stacjonował, i razem patrzyliśmy na gwiazdy. Wiem, że od czasu Katakliizmu gwiazdy w wielu ludziach budzą lęk, ale mój ojciec zawsze dostrzegał w nich piękno. Nigdy mi o nich nie opowiadał, tylko siedział ze mną w ciszy, wpatrując się w nocne niebo. Za tym najbardziej tęsknię.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Nieczęsto zdarzało się, żeby dowódczyni ich plutonu mówiła tak otwarcie o swoim życiu i uczuciach. W Forcie Dżamila Ben-Ari zdawała się odległa, potężna i mściwa niczym bogini, jednak Marco zdał sobie sprawę, że ona również czuła się zagubiona i samotna, że była tak samo ludzka, przerażona i pokrzywdzona jak każde z nich.

W końcu odezwała się Addy.

– Mnie brakuje piwa. I hot dogów. I hokeja. Boże, jak mi brakuje hokeja, gry i samego przebywania na lodzie. Na lodowisku człowiek czuje się wolny. – Oparła głowę o ścianę, wyciągnęła nogi przed siebie i zamknęła oczy. Na twarz wypłynął jej uśmiech. – Jednego razu mój chłopak zdobył bilety w łoży na mecz Maple Leafs. Dostał je od dziadka po jakiejś udanej transakcji biznesowej. Wiecie, co to za bilety? Nie siedzi się na zwykłych ławkach na stadionie, tylko w specjalnej łoży, skąd mecz oglądają nadziane sukinsyny. Są tam skórzane kanapy, bar, masz nawet osobistą kelnerkę. Jedliśmy skrzydełka kurczaka, hot dogi i poutine, opijaliśmy się piwem, a Liście przegrały, ale nawet mnie to nie obchodziło. No, *prawie*. Cholera, to był dobry dzień.

– Mnie brakuje baletu – powiedział Bestia. Ogromny Rosjanin, wysoki na ponad dwa metry, siedział w kącie. Zdjął hełm, odsłaniając wielką, łysą głowę. – I zanim spyacie, nie, ja sam nie tańczyłem. Ale mój młodszy brat tańczy. Jest najlepszym tancerzem w całej Rosji, czyli najlepszym na całym świecie. Urodzona gwiazda! Chodziłem z rodziną oglądać jego występy. Co za tancerz! Co za talent! Prawdziwy talent, większy, niż ja kiedykolwiek będę miał. Za tym najbardziej tęsknię z domu. Za chodzeniem na balet i patrzeniem, jak mój brat tańczy. I jeszcze za... – Rumieniąc się, wyrzucił z siebie: – I jeszcze za moim chłopakiem, Borysem. – Zerknął na Marco. – Mówiłem Poecie w obozie dla rekrutów. Teraz mówię wam wszystkim. Zanim tu umrzemy, nie chcę mieć tajemnic.

– Mnie brakuje rock and rolla – powiedział Elvis. – Szokujące wyznanie, wiem. I ognisk na wsi. Razem z przyjaciółmi co weekend jeździłem pod namiot. Opowiadaliśmy sobie historie o duchach, łowiliśmy ryby w rzece, a ja grałem na gitarze. – Nagle do oczu napłynęły mu łzy. – Jak tylko wrócimy do domu, zabieram Poetę, Hokeistkę i Kemi na

biwak. Mieszkają niedaleko mnie, wiecie. Pojedziemy we czwórkę, tym razem bez moich głupich kumpli ze wsi. Reszta z was też może się zabrać, jeśli najdzie was ochota, żeby wpaść do Kanady. Rozpalimy ognisko i będziemy patrzeć na gwiazdy. Porucznik Ben-Ari też powinna się przyłączyć! A ja będę grał na gitarze i śpiewał.

– Wolałabym słuchać ryków godowych wijków niż twojego śpiewu, Elvis – stwierdziła Addy.

– Ja tęsknię za żoną – powiedział sierżant Singh. – I za córeczką. Zawsze raz w miesiącu gotowałem curry z homarem. Jedliście kiedyś? Jeśli uda nam się wrócić na Ziemię, przyrzadzę je dla was. Wszyscy jesteście zaproszeni.

– Mnie brakuje gier wideo – powiedział kapral Diaz. – Zabawne. Kiedyś uwielbiałem grać w FPS-y i rozwalać złych kosmitów w zaciszu własnego domu. Nigdy nie przypuszczałem, że będę z nimi walczył naprawdę.

– Ja tęsknię za obozem dla rekrutów – powiedziała Lailani.

Wszyscy zwrócili oczy ku niej, nawet Kapral Kikucik.

– Odbiło ci? – zapytał Elvis.

– Odbiło – przytaknęła Addy.

Lailani pokręciła głową.

– Tam było mi lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. W obozie dla rekrutów miałam prawdziwy namiot, trzy posiłki dziennie i przyjaciół. – W końcu ściągnęła maskę gazową. Oczy miała wilgotne. – Podobało mi się tam. To były najlepsze chwile mojego życia. – Napotkała spojrzenie Marco, zniżając głos do szeptu. – Tęsknię za nimi.

Wreszcie Kemi, która milczała przez większość ich podziemnej podróży, odezwała się. Mówiła tak cicho, że pozostali musieli nachylić się ku niej, żeby ją słyszeć.

– Ja tęsknię za moim chłopakiem – powiedziała kadetka, wpatrując się przed siebie pustym wzrokiem. – Tak bardzo go kocham. Brakuje mi naszych wspólnych spacerów po mieście, słuchania muzyki klasycznej, marzeń o przyszłości. – Zamknęła oczy. – Ale zламаłam mu serce. Kiedy wstępowałam do akademii, powiedziałam mu, że nie zobaczymy się przez dziesięć lat, i zerwałam z nim. Wystarczyło mu parę miesięcy, żeby znaleźć sobie nową miłość. A najbardziej boli fakt, że to moja wina. – Otarła łzy. – Tak bardzo mi go brakuje.

Kilkoro z pozostałych żołnierzy – Lailani, Elvis, Bestia – zwróciło wzrok na Marco. Wiedzieli, o kim mówi Kemi. Rozumieli.

Następny odezwał się właśnie Marco.

– Ja tęsknię za moją dziewczyną. Kobieta, którą bardzo kocham. Kobieta, która zламаła mi serce. Kobieta, za którą tęskniłem każdego dnia, o której śniłem każdej nocy, która jest odważna, inteligentna i piękna... która mnie rzuciła. Która do mnie wróciła. Która już nigdy nie będzie moja.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli, spoglądając to na Marco, to na Kemi.

Addy odkasznęła.

– Po prostu nie mogliście powiedzieć o czymś takim jak hokej czy hot dogi, co?

Z niezręcznej sytuacji wybawiła ich Osiris.

– Chciałabym zobaczyć Ziemię – powiedziała. – Przejść się po lesie. Skosztować curry z homarem. Napić się piwa. Obejrzeć mecz hokeja. Zabierzecie mnie na Ziemię?

Addy ziewnęła.

– Wiecie, co jest najlepsze na Ziemi? Łóżka. Cholera, tęsknię za prawdziwym, wielkim, miękkim łóżkiem. – Położyła się na podłodze. – Zamierzam przespać sześć następnych godzin. Jak ktoś mi przeszkodzi, dostanie kopa w krocze. Zaklepuję ostatnią wartę.

– Ja biorę pierwszą – zaoferowała Lailani. Wciąż stała przy torach i z powrotem naciągnęła na twarz maskę.

Marco również ułożył się do snu, wybierając miejsce koło Addy. Elvis przeciągnął się i wkrótce zaczął chrapać. Wszyscy kładli się na podłodze, tylko jeden żołnierz wciąż stał. Był to kapral Dowództwa Obrony Przestrzeni Kosmicznej, ubrany w czarny mundur polowy – jeden z trzech żołnierzy DOPK, którym udało się zjechać na dół.

– Chwila moment – powiedział, wskazując na Lailani. – Dlaczego ona chce stać na warcie pierwsza? – Skrzywił się. – Nie ufam jej.

– Idź spać – wymamrotał Bestia z podłogi. – Możesz zaufać małej. Ona silna jak byk.

– Na tyle silna, żeby wyrwać silnik ze statku? – zapytał kapral DOPK. – Albo żeby sabotować windę?

Lailani ruszyła w jego stronę.

– Lepiej stul pysk, dupku, albo wetknę ci do niego lufę karabinu.

– W takim razie mnie też będziesz musiała zastrzelić – oznajmiła inna żołnierz DOPK, wysoka szatynka z bliznami na policzku. Prychnęła. – Nie ufam tej małej. Gada o demonach i czarownicach, ukrywa twarz za maską gazową, grozi morderstwem.

Teraz to Addy zerwała się na nogi, mierząc palcem w żołnierzy DOPK.

– Skąd mamy wiedzieć, że to nie wy jesteście sabotażystami? Przecież znacie swój statek! Wiedzielibyście, jak poluzować silnik.

– To ten android – stwierdził Elvis. Spojrzał nerwowo na Osiris. – Prawda? Też tak myślicie, no nie? Wesprzyjcie mnie trochę.

– To szczur lądowy – zawyrokował kapral DOPK, który odezwał się jako pierwszy. – Nie można ufać cholernym szczirom lądowym. Są gorsze niż wijce.

– Ja ci pokażę wijce! – wykrzyknęła Addy, rzucając się na niego z uniesioną pięścią. Kapral Kikucik zawarczał, po czym zaczął szczekać. Niebawem wszyscy krzyczeli, skakali sobie do gardeł i...

– Dość tego! – zawołała porucznik Ben-Ari. – Siadajcie. W tej chwili!

Wszyscy znieruchomieli, a potem usiedli, mrużąc coś pod nosem. Niektórzy z tych wojowników byli starsi i silniejszy niż Ben-Ari, ale była wśród nich jedynym oficerem

i wyglądało na to, że wszyscy szanują jej stopień, nawet żołnierze z kosmosu.

„Jak na razie” – pomyślał Marco.

– Nie wiemy, kto jest sabotażystą – powiedziała Ben-Ari, wodząc wzrokiem od jednej osoby do drugiej. – Nie wiemy nawet, czy w ogóle *jest* wśród nas sabotażysta. Nie będę tolerować bezpodstawnych oskarżeń, ani wśród moich ludzi, ani wśród żołnierzy DOPK. Dziś w nocy będziemy stać na straży w parach. De la Rosa, Emery – weźmiecie pierwszą wartę, a potem obudzicie następną dwójkę. – Powiodła wzrokiem po żołnierzach. – Przetrywamy, jeśli będziemy trzymać się razem. Tu na dole mamy tylko jednego wroga: wijce. Zrozumiano?

– Tak, pani oficer – odpowiedzieli.

Marco stał na warcie z Lailani i patrzył, jak pozostali układają się do snu. Czy któreś z nich naprawdę mogło być zdrajcą? Obrzucił ich spojrzeniem, jednego po drugim. Sierżant Singh, który zdjął do snu turban, uwalniając długie, czarne włosy. Kapral Diaz, przystojny i poznaczony bliznami, być może najsilniejszy wojownik w ich plutonie, z połową kręgosłupa wykonaną z metalu, ale nigdy nie tracący odwagi. Porucznik Ben-Ari, młoda, ale mądra, osoba, pod której przywództwem Marco poszedłby – może zresztą właśnie to robił – nawet do piekła. Bestia, łagodny olbrzym. Elvis, młody, niemądry i przerażony. Addy, jego najlepsza przyjaciółka, pogrążona w cichym, spokojnym śnie. Kemi, jego Kemi, z policzkiem ułożonym na dłoniach, kobieta, którą Marco wciąż kochał – nawet teraz, mimo jego miłości do Lailani. Zdał sobie sprawę, że kocha ich wszystkich. Nie tylko Kemi, ale każde z nich. Nie mógł uwierzyć, że któraś z tych osób mogłaby być zdrajcą.

Spojrzał na pozostałą część grupy. Kilkoro żołnierzy z DOPK i kilka osób z Ziemi, które nie służyły razem z nim w Dżamili, a pośród nich, siedząc prosto z zamkniętymi oczami, Osiris. Czy któreś z nich, obcy w ich nowej drużynie tu, pod ziemią, mogło być sabotażystą? A może to ktoś z żołnierzy, którzy pozostali na górze? Czy kapitan Petty i jej ludzie w ogóle jeszcze żyli? Nie mieli kontaktu z resztą kompanii, odkąd opuścili szyb windy. Czy to łączność nie działała na tej głębokości, czy może pozostali przepadli, zabici przez wijce?

Lailani podeszła do niego i wzięła go za rękę, opierając głowę na jego ramieniu. Marco objął ją.

– Przepraszam, Marco – wyszeptała. – Za to, że byłam taka ponura. Że tak się bałam. Że nie traktowałam cię dobrze. – Stała przed nim, aby spojrzeć mu w twarz. – Kiedy mówiłam, że tęsknię za obozem dla rekrutów, miałam na myśli, że tęsknię za byciem tam razem z tobą. Zanim wydarzyło się to wszystko.

Zamknęła oczy i położyła policzek na jego piersi, a on objął ją ramionami i przytulił mocno. On też za tym tęsknił. Za leniwymi niedzielami w bazie, kiedy leżał na pryczy, trzymając Lailani w objęciach. W tej chwili najbardziej ze wszystkiego chciał spędzić jeszcze jeden taki dzień, po prostu wylegując się z nią na słońcu, przytulając, razem się śmiejąc.

– Jeszcze przyjdą lepsze dni – powiedział. – Ciemność nie może trwać wiecznie. Wydostaniemy się stąd. Wyjdziemy znowu na słońce.

Odgłosy wiatru zawodzącego w tunelach poniżej brzmiały niemal jak śmiech, jakby podmuchy naigrywały się z Marco. Przed oczami znów stanęły mu słowa wymalowane na murze. *Witaj w piekle*. Zadrżał i mocniej przytulił Lailani.



ROZDZIAŁ 15

Marco obudził się w kopalni zlany potem po nocy pełnej przytłaczających koszmarów, tylko po to, by dowiedzieć się, że Kemi zaginęła.

– Jak mogli tak po prostu zniknąć? – pytała porucznik Ben-Ari, a jej oczy miały błyskawice. – Kto miał ostatnią wartę?

Marco wstał, przecierając oczy i próbując otrząsnąć się ze snów, w których był uwięziony w labiryncie i ścigały go przerażające stwory. Rozejrzał się i na nowo oblały go zimne poty.

Żołnierze stali pośrodku małego, wydrążonego w skale pomieszczenia przy torach. Jednak dwojga z nich – kaprala DOPK i Kemi – brakowało.

– Ja miałam mieć ostatnią wartę – powiedziała Addy. – Razem z Elvisem. Ale Kemi nas nie obudziła.

Marco miał wrażenie, że serce przestało mu bić.

Wyszedł na tory.

– Kemi! – zawołał, po czym odwrócił się w drugą stronę. – Kemi!

Jego głos poniósł się echem. Gdzieś z oddali, z ciemności, odpowiedział mu śmiech – okrutny, diabelski śmiech.

– Wiedziałam. – Lailani splunęła, krążąc po komorze. – Wiedziałam! Ten zasrany kapral z DOPK. To on był zdrajcą. I chciał zwalić winę na mnie.

– A może to ta kadetka, Kemi, była zdrajczynią – zasugerował jeden z pozostałych żołnierzy DOPK. W grupie było ich teraz tylko dwoje.

– Kemi nie jest zdrajczynią! – odparł Marco. Kolana mu drżały, serce waliło jak oszalałe. – Znam ją od lat. Coś musiało ich porwać, kiedy stali na straży. – Złożył dłonie przy ustach i zawołał raz jeszcze. – Kemi!

Addy podeszła do niego. Pobladła na twarzy i wstrząśnięta, bez słowa spojrzała najpierw na Marco, a potem w głąb tunelu. Addy i Kemi nigdy nie były bliskimi przyjaciółkami; ta pierwsza była niegrzeczną i nieokrzesaną, podobną do wikinga wysoką blondynką, dziewczyną, która uwielbiała walkę na pięści i piwo, a ta druga – pilną, ambitną introwertyczką, uroczą wnuczką imigrantów z Nigerii, która kochała dobre oceny, klasycznego rocka sprzed dwustu lat i swojego chłopaka. Jednak obie dorastały w tym

samym mieście, chodziły do tej samej szkoły i spędziły razem wiele czasu. Addy dygotała.

– Znajdziemy ją – powiedziała drżącym głosem. – Obiecuję, Marco. Znajdziemy ją, a ja zabiję tego, kto ją porwał.

Żołnierze rozdzielili się na dwie grupy poszukiwawcze. Jedna zaczęła się cofać pociągiem po torach w kierunku szybu, a druga, wśród nich Marco, ruszyła pieszo w głąb kopalni. Nie zaszedli daleko, zaledwie kilkaset metrów, gdy Marco zatrzymał się nagle.

Jakiś kształt leżał na torach.

Serce zamarło mu w piersi.

– Kemi – szepnął.

Podbiegł wzdłuż torów i przyklęknął. Wstydział się ulgi, którą poczuł, radosnego westchnienia, które wyrwało mu się z ust.

To nie była Kemi, tylko kapral DOPK, leżący z piersią przebitą na wylot i pustym spojrzeniem.

Marco podniósł się znad ciała.

– Kemi! – zawołał.

Z oddali dobiegł stukot. Zawodzenie wiatru. Echo śmiechu.

– Może powinniśmy być cicho – powiedziała Lailani, klękając przy zwłokach, aby im się przyjrzeć. – Te rany zadały wijce. To ślady ich szponów.

Marco spojrział za zabitego kaprała.

– Albo tych humanoidów, jak tamta kobieta w szarej szacie. – Obejrzał się na żołnierzy stojących za nim. – Jakiś stwór musiał ich złapać zeszłej nocy. Być może wciąż ma Kemi. Może ona jeszcze żyje.

Ruszył w głąb tunelu, a światło jego latarki odbiło się od małego, metalowego przedmiotu. Przyklęknął.

To był pistolet Kemi, pokryty lepką mazią.

– Ślina wijców – stwierdził. – Mają Kemi.

Żadnych zwłok. Żadnej krwi. Wzięły ją żywcem, porzucając broń.

Marco poinformował przez komunikator porucznik Ben-Ari, która przewodziła drugiej grupie poszukiwawczej, a potem czekał w ciemnościach, aż kolejka dotoczy się w powrotem do nich. Ben-Ari i pozostali wyskoczyli z wagoników, a Marco pokazał jej pistolet Kemi.

– Wzięły ją żywcem – powiedział. – Sukinsyny wzięły ją żywcem.

Ben-Ari skinęła głową. Jej twarz była blada, a spojrzenie pełne determinacji.

– Odzyskamy ją. Wszyscy do pociągu. Jedziemy za nimi.

Weszli do kolejki – czternaścioro żołnierzy, ostatnich, którzy pozostali z ich kompanii – i ruszyli tunelem, wpatrzeni przed siebie, w ciemność przecinaną światłami reflektorów. Marco wciąż z lękiem wypatrywał kolejnego kształtu na torach, ale szyny biegły naprzód bez żadnych przeszkód. Jedną dłoń Marco trzymał na grzbiecie Kaprała Kikucika; boston terier jechał u jego boku, dodając mu otuchy swoją obecnością. Przejechali kilometr, potem

kolejny, a tunel wciąż ciągnął się naprzód, opadając głębiej i głębiej pod ziemię.

„Gdzie jesteś, Kemi?” – myślał Marco. Oplatały go macki paniki, serce waliło jak oszalałe i nie chciało zwolnić, kręciło mu się w głowie. Kemi była uwięziona gdzieś tam, w ciemności, uprowadzona pomiędzy cienie, ranna, może martwa. Przerazona. Musiała być tak bardzo przerażona. Jego oddech zadrżał, a w mroku przewijały mu się przed oczami obrazy z ich wspólnej przeszłości. Kemi pomagająca mu z pracą domową z matematyki. Ich pierwszy pocałunek, kiedy mieli szesnaście lat i leżeli razem nocą na trawiastym zboczu wzgórza. Kemi i on gotujący w kuchni u niej w domu, śmiejący się, wylegujący na kanapie, czytający razem, czerpiący nawzajem otuchę ze swojej obecności.

„Właśnie za tym tęsknię – pomyślał. – O Boże, Kemi. Trzymaj się. Idę po ciebie. Znajdę cię”.

Tunel opadał tak stromo, że Marco wciąż musiał hamować, aby lokomotywa nie pędziła zbyt szybko, i czuł się, jakby jechał kolejką górską. Przewracało mu się w żołądku, gdy z wielką prędkością leciał w dół. Tunel niebawem stał się tak wąski, że boki kolejki ocierały się o nierówne ściany, a hełmy żołnierzy muskały sufit. Pokonali pięć kilometrów, kiedy natrafili na rozwidlenie.

Marco zatrzymał pociąg.

Wyszedł na tory, przyglądając się obydwu ścieżkom. Jedna z nich była węższa i opadała głębiej, a druga szersza, równa i solidnie skonstruowana.

– Ja ze swojej strony wiem, gdzie wolałabym jechać – stwierdziła Addy, wskazując szerszy tunel.

Marco zmarszczył brwi. Podszedł do rozwidlenia, spojrział w jedną odnogę, potem w drugą, szukając jakiejś wskazówki, ale nie znalazł żadnej. Wreszcie zawołał:

– Kemi!

Pozostali żołnierze wzdrygnęli się.

– Emery, mieliśmy chyba być cicho – zauważyła Ben-Ari.

Nie odpowiedział. Zamknął oczy i nasłuchiwał.

W ciemności rozległ się stukot, chichot, drapanie o kamień.

Marco wskazał węższy, bardziej stromy tunel.

– Tam w dole jest coś żywego. Słyszę to. To tam zabrali Kemi. – Chwycił umieszczoną koło szyn dźwignię i pociągnął za nią. Zwrotnica obróciła się ze zgrzytem, kierując ich w wąski tunel. Wsiadli z powrotem do wagoników i ruszyli dalej w ciemność. Pociąg, klekocząc, toczył się wąską ścieżką, trąc o ściany i syjąc iskrami spod kół. Białe firanki pajęczyn zwieszały się z sufitu, chociaż Marco nie widział żadnych pajaków. W powietrzu unosiła się kwaśna woń.

Im dalej się zapuszczali, tym głośniejszy rozbrzmiewał przed nimi rehotliwy śmiech. Cienie tańczyły wokół, po czym znikwały. Jakieś stworzenie przebiegło hałaśliwie w górze, ale gdy Marco podniósł wzrok, nie zdołał już go wypatrzyć.

– Są wszędzie! – zawołała Addy z wagonika za jego plecami.

– Nie widzę ich! – odkrzyknął.

– Są tutaj – stwierdziła Lailani. – Demony. Demony z piekła rodem.

Wokół nich narastały szepty. Stopy tupwały o sufit, o ściany. Cienie uciekały. Marco wydawało się, że coś widzi, tam, z przodu – stojącą humanoidalną postać o białych oczach, i...

Reflektory pociągu rozprysnęły się na kawałki, zatapiając tunel w mroku. Brnęli dalej naprzód przez niezmaconą czerń. Włączyli latarki, ale światło zdawało się tu tak słabe, że tylko wzmacniało i wprawiało w ruch cienie.

– Zwolnij! – krzyknęła Addy.

Marco sięgnął w stronę hamulca i zaraz z krzykiem cofnął rękę. Krwawiła. Dźwignia zniknęła. Pociąg gnał naprzód, a wszędzie wokół przemykały stwory. Kapral Kikucik zawył.

– Wijce! – krzyknęła Addy. – Pieprzone wijce, są na ścianach, są na suficie, są wszędzie!

Lailani zanosila się śmiechem.

– Piekło. Piekło. Jesteśmy w piekle.

– Nie strzelajcie w ściany! – zawołała Ben-Ari. – Naboje...

Ale jej głos utonął w zgiełku, gdy żołnierze unieśli się w wagonikach i zaczęli strzelać z broni. Tunel rozświetliły błyski karabinów. Pociski z hukiem trafiały w ściany, pękały, odbijały się rykoszetem. Odpryski uderzały o ściany pociągu. Któryś żołnierz krzyknął, trysnęła krew. Stwory skrzeczały w ciemności, zeskakiwały z sufitu z błyskiem szponów; ktoś znowu wrzasnął z bólu. Krew, gorąca i lepka, ochlapała Marco. Potężny rozbłysk białego światła wypełnił przestrzeń, gdy porucznik Ben-Ari wystrzeliła z broni plazmowej. Przez moment w tunelu było jasno jak w dzień i Marco dostrzegł przed sobą tuziny, setki wijców, pokrywające ściany i sufit jak robactwo kłębiące się we wnętrzościach, czepiając się powierzchni szponami i mknąc przed siebie.

Uniósł się z miejsca i wystrzelił.

Pozostali żołnierze wychylali się z wagoników, również strzelając. Jeden ze stworów uderzył o pociąg; zderzenie rozerwało go na strzępy, a kolejka ze zgrzytem przetoczyła się po ciele bestii. Przed nimi czekało jeszcze więcej rozwrzeszczanych kosmitów. Marco przełączył broń w tryb automatyczny, opróżnił magazynek, załadował następny. Krzyczał, strzelając. Pociąg znów wjechał w wijce, wypadł z torów, uderzył ciężko o podłoże, przejechał z piskiem po nieobrobionym metalu, wrócił na szyny i pognał dalej przed siebie.

Wijec opadł z góry i wylądował na lokomotywie.

Marco krzyknął, zamachnął się kolbą karabinu i odepchnął go na bok. Wystrzelił. Naboje podziurawiły brzuch stwora, bryzgnęła jadowicie żółta krew. Kolejny wijec wylądował przed Marco, orząc szponami jego ramię, a on wystrzelił znowu, krzycząc z bólu. Kikucik rzucił się na kosmitę, gryząc i szczekając.

– Są wszędzie! – zawołał ktoś z tyłu. Wijce wciąż opadały z sufitu. Rozbłyśki wystrzałów

rozświetlały mrok. Koła wagoników rozjeżdżały skolopendry. Spadły kolejne, a pociąg wjechał w całą ich stertę, syjąc naokoło fragmentami egzozkieletów. Z przeraźliwym piskiem kolejka wypadła z torów i prześlizgnęła się po kamieniu, syjąc deszczem iskier i skalnych odłamków, a w końcu uderzyła w ścianę. Kopalnia wokół się zatrzęsa. Silnik buchnął kłębem dymu, po czym wyzionął ducha.

Ben-Ari znów wystrzeliła z broni plazmowej, oświetlając dziesiątki wjiców pędzących w ich kierunku.

Marco odpiął od paska granat.

– Granat, kryć się! – zawołał – musiał to usłyszeć wieki temu w jakimś filmie – a potem cisnął nim przed siebie.

Wszyscy przyklękli i osłonili uszy.

Ogłuszająca eksplozja zatrzęsa tunelem. Posypały się kamienie.

– Kryć się! – zawołała Addy i również cisnęła granatem.

– Kryć się! – zawtórowali pozostali, rzucając granatami.

Marco wyskoczył z pociągu i klęknął za lokomotywą. Pochylił głowę i osłonił uszy.

Zdawało się, że cały księżyc eksplodował, a kopalnię rozdarł wybuch supernowej.

Odłamki kamienia i skwierczących od żaru egzozkieletów poraniły go, a za nimi spadł deszcz złotej krwi.

Gdy pył opadł, Marco i pozostali wstali z podłogi. Sierżant Singh przymocował coś do pistoletu, po czym wystrzelił. Flara pomknęła przez tunel, po czym zapłonęła światłem, wypełniając kopalnię oslepiającą bielą.

Wszędzie wokół leżały martwe lub konające wijce. Garstka wciąż pełzła przed siebie. Powaliło je kilka strzałów z broni.

Jad palił rany Marco, rozprowadzając zakażenie, więc drżącymi rękami wbił w udo igłę strzykawki z antidotum. W uszach dzwoniło mu i huczało. Już przez ostatnich kilka dni zauważył, że słyszy gorzej niż zwykle; zastanawiał się, jak bardzo uszkodzony będzie miał słuch, jeśli kiedyś wróci do domu. Pocierając uszy, ruszył wzdłuż pociągu. Poczł ucisk w piersi.

Troje żołnierzy leżało martwych, rozdartych szponami wjiców.

Dwójka z poderżniętymi gardłami należała do DOPK. A trzeci...

– Kapral Diaz – wyszeptał Marco. – Boże. Boże, nie.

Ukląkł koło swojego dowódcy, mężczyzny, który szkolił go w Forcie Dżamila, który został śmiertelnie ranny w Appalachach, a jednak przetrwał i znów ruszył do boju. Teraz Diaz leżał przy torach bez życia, z rozprutym brzuchem, z którego wylewały się wnętrzności. Marco widział fragment jego metalowego kręgosłupa.

Spuścił głowę.

– Dowódczo – wyszeptał.

Emilio Diaz odetchnął gwałtownie, sięgnął i złapał Marco za rękę.

– Mój Boże – szepnął Elvis. – On wciąż żyje. Ten skurczybyk dalej żyje.

Diaz jęknął, z trudem złapał powietrze i mocniej ścisnął dłoń Marco.

– Jestem tutaj – powiedział chłopak szeptem. – Jestem tutaj, Emilio. Jestem.

I wtedy kapral Emilio Diaz – ten wielki wojownik, człowiek, który nauczył drużynę Marco zabijać, który mordował wijce w górach i w kopalniach, zawsze z lekkim uśmiechem na ustach – zaczął płakać.

– Boję się, Marco – wyszeptał. – Nie chcę tu umierać. Chcę wrócić do domu. Chcę wrócić do domu, do matki. Proszę. Ja...

Diaz znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w sufit. Przestał oddychać.

Wszyscy zebrali się wokół niego. Marco. Addy. Elvis. Bestia. Lailani. Wszyscy służyli pod jego dowództwem w Forcie Dżamila i tutaj, na Corpusie. Wszyscy spuścili głowy. Ben-Ari dołączyła do nich bez słowa, z zamkniętymi oczami i łzą spływającą po policzku. Nawet Osiris stała, przyglądając się w milczeniu, z wyrazem zaciekawienia w oczach.

– Był najlepszym wojownikiem, jakiego znałem – wyszeptał Marco. – Podziwiałem go. Jestem dumny, że mogłem walczyć u jego boku. Żegnaj, kapralu Emilio Diaz.

– Sierżancie Emilio Diaz – powiedziała Ben-Ari. – Mianuję go sierżantem. Na zawsze pozostanie w naszej pamięci. – Przyklękła i zdjęła mu z szyi nieśmiertelniki. – Zwrócę je jego rodzinie.

Nie mieli jak przenieść ciała. Musieli zostawić go tutaj, pogrzebanego na odległym księżycu. Z roztrzaskaną lokomotywą, pociąg nie był w stanie jechać dalej, więc ruszyli pieszo ze spuszczoneymi głowami. Z dwustu żołnierzy ich kompania skurczyła się do jedenastu.

„Straciłem Kemi – pomyślał Marco. – I mojego dowódcę. Jestem zagubiony w ciemności”.

Szedł naprzód, trzymając broń przed sobą i tak jak we śnie szukając drogi wyjścia.



ROZDZIAŁ 16

Szli przez ciemność z bronią wymierzoną przed siebie; jedenastu żołnierzy, ostatni, którzy ocaleli z dwóch setek. Wszyscy ranni. Wszyscy udręczeni. Tunele wiły się, zakręcały i rozgałęziały w ogromny labirynt. Tylko Marco miał przy sobie papier i coś do pisania – jako pisarz, nigdy się z nimi nie rozstawał – więc rysował mapę ich trasy, kreśląc tuszem sieć podobną do korzeni drzewa.

Przez większość tuneli biegły tory, ale zdarzały się też węższe przejścia, jeszcze bardziej prymitywne i pozbawione szyn. Ich ściany pokryte były śluzem i śladami szponów.

– Nory wjwców – rzuciła z niesmakiem Addy.

– Zmieniają to miejsce w ogromny ul – stwierdził Marco. – Może dlatego właśnie najechały na Corpus. Kopalnie układały się już w podstawową strukturę, trzeba było tylko oczyścić je z ludzi i rozbudować sieć.

– A gdzie się podziali ci ludzie? – zapytała Addy. – Nie widzieliśmy nikogo. Tylko tę dziwną kobietę z sześciorgiem ramion, a nie jestem pewna, czy ona się liczy.

– Pewnie uciekli z księżycą – odparł Marco. – Mądrze zrobili. Jak tylko znajdziemy tu gdzieś ten silnik, też wyniesiemy się z tej skały.

W miarę jak szli przed siebie, zaczął do nich docierać mdlący, słodkawy zapach, przywodzący na myśl zgniłe owoce polane miodem. Chłód ustąpił, a powietrze stało się ciepłe, ciężkie i wilgotne. Obrzydliwa woń wkrótce przybrała na sile tak bardzo, że wszyscy założyli maski gazowe. Kikucik, który jako jedyny nie miał maski, zaskomlał.

– Śmierdzi jak gówno jednoroźca – stwierdziła Addy.

Marco pocił się pod maską, a szkła wciąż pokrywała para. Ciężko było to dostrzec, ale w tunelu zdawało się rozjaśniać. Tak – przed nimi zdecydowanie było jakieś światło, nie pochodzące z ich latarek. Ciepła, pomarańczowa poświata, podobna do blasku ogniska. Z tej samej strony dobiegły ich jakieś szelesty i trzaski, ciche, prawie jak biały szum.

– Powinniśmy zawrócić – powiedziała Lailani.

– Nie. – Marco pokręcił głową. – Tam może być Kemi. Cokolwiek innego tam na nas czeka, zmierzmy się z tym.

Addy uniosła karabin.

– *Zabijemy to.*

W miarę, jak szli dalej, światło, smród i odgłosy narastały, aż w końcu tunel przeszedł w rozległą czelusć.

Żołnierze zamarli.

Marco skrzywił się.

Elvis ściągnął maskę gazową, odwrócił się w bok i zwymiotował.

Wijce poszerzyły w tym miejscu tunel, rzeźbiąc w skale okrągłą, prymitywną katedrę. Z sufitu zwieszały się bąble pokryte skórą i żyłami, emanujące pomarańczowym blaskiem, który sączył się na pulsującą stertę jaj, wielką jak dom, pokrywającą tory i ciągnącą się aż pod ściany, cuchnącą, ociekającą śluzem. Każde jajo było rozmiarów arbuza, a przez przejrzystą skorupę widać było niewyraźnie zaręsy larw.

– Błę. – Addy wzdrygnęła się. – Żłobek wijców.

Kilka dorosłych osobników wybiegło na nich zza sterty. Addy wystrzeliła, trafiając jednego z głowę. Kilka kolejnych pocisków zabiło pozostałe – poszło zaskakująco szybko, biorąc pod uwagę, ile trafień może zazwyczaj znieść wijec. Marco zmarszczył brwi, podszedł do jednego z ciał i trącił je stopą, po czym obejrzał się na swoich towarzyszy.

– Te nie mają szponów. – Z powrotem spojrzął na zwłoki. Były rozmiarów zwykłego wijca – długie na około trzy metry i tak szerokie, jak jego pierś – ale miały miękkie kończyny, zakończone chwytными hakami, a ich pancerz był cieńszy. – To chyba opiekunki. Tak jak u mrówek są wojownicy i robotnice przydzielone do różnych zadań.

Addy załadowała nowy magazynek.

– Odsuńcie się wszyscy. Martwe larwy wijców zaraz będą gotowe.

Pozostali wycofali się, również unosząc broń i celując w jaja.

– Czekaście – zaoponował Marco.

Zwrócili się ku niemu.

– Co, Poeto, potrzebujesz się najpierw odlać? – zapytała Addy.

– Nieswojo się z tym czuję – wyjaśnił Marco. – To tylko dzieci.

Addy jęknęła.

– Ja pierdole, Poeto. Zawsze tak było, jak jakiś pająk wlaźł nam do domu. Nigdy nie pozwalałeś mi go zabić, tylko wystawić na zewnątrz. To są *wijce*, Poeto. *Wijce*! Stworzenia, które zniszczyły świat.

Marco skinął głową.

– Tak. Pewnie masz rację. – Zbliżył się do jaj. Wewnątrz larwy wiły się, piszczały, dźgały gumowate skorupy swoimi małymi pazurkami. – Kiedyś dorosną i będą zabijać. Ale... na razie mordowanie ich nie wydaje się właściwe. – Zwrócił się do Ben-Ari. – Powinniśmy je oszczędzić, pani oficer. Powinniśmy iść dalej, znaleźć Kemi i silnik. Nie przyszliśmy tutaj, żeby dokonywać eksterminacji.

Ale spojrzenie porucznik pozostało twarde.

– Nie, Emery – odparła. – Szeregową Linden ma rację. Nie oszczędzimy ich.

– Pani oficer – zaczął – one...

– Nazwałeś je dziećmi – powiedziała Ben-Ari. – Próbowaleś je ucłowieczyć. Ale to nie są ludzie. To larwy. Larwy, z których wyrosną potwory. Co z ludzkimi dziećmi, Marco? Co z ludzkimi dziećmi, które te stwory mogą któregoś dnia zabić? Co z kapralem Diazem, z Jaskiniowcem i ze wszystkimi, którzy zginęli? Co z miliardami zabitych na Ziemi? Co z twoją matką? – Jej głos złagodniał. – Przykro mi, Marco. Jesteś dobrym, porządnym człowiekiem. Ale mylisz się. My *mamy* dokonywać eksterminacji. Po to tutaj jesteśmy. Jako tępiciele. Odsuń się, Marco. Pozwól nam wykonać naszą pracę.

– Pani oficer – zaprotestował – wybrała mnie pani do tej misji, ponieważ nie jestem tylko zabójcą. Tak mi pani powiedziała. Dlatego mnie pani ze sobą wzięła.

– Eee, słuchajcie? – wtrąciła się Addy. – Może moglibyśmy podyskutować o etyce później? Te jaja chyba się, no, wykluwają.

Marco szybko odwrócił się z powrotem w stronę cuchnącego stosu. Jaja dygotały i pękały, a ze środka wyłaniały się larwy. Miały już szpony. Piszczwały, otwierając szczęki i odsłaniając lepkie przełyki. Zaczęły spełzać na dół, sycząc, skrzecząc, błagając o jedzenie.

– Małe skurwiele – rzuciła szeregową Kalquist, żołnierz, która dołączyła do ich plutonu tuż przed wejściem na pokład *Miyari*. – Nie warto nawet marnować na nie naboje.

Uniosła but nad jednym z wijców. Stworzenie, nie większe od domowego kota, wyskoczyło w górę i owinęło się wokół jej nogi. Kalquist zakląła. W jednej chwili dwadzieścia innych larw poleciało w jej stronę, wylądowało na niej i zaczęło kąsać. Kalquist wrzasnęła, a pozostali żołnierze odskoczyli. Wijce pożywiały się nią jak piranie krową, odrywając jej twarz i fragmenty kończyn, odsłaniając kości i czaszkę, a ona nadal krzyczała, wciąż żywa.

Żołnierze otworzyli ogień.

Pociski przeszły wijce, Kalquist i stertę jaj za nimi. Ben-Ari wystrzeliła z broni plazmowej i jaja stanęły w płomieniach. Ogień rozprzestrzenił się, naboje świstały, a larwy wrzeszczały, ginąc. Próbowaly uciec z płonącej sterty, wily się żałośnie w ogniu, płonęły, błagały. Spadł na nie grad kul. Ben-Ari wciąż strzelała ze swojej broni, która zmieniła się w jej rękach w miotacz ognia, tryskając fontanną błękitu, bieli i czerwieni, jonizując powietrze i podpalając opary, a jaja eksplodowały, wyłaniały się nich kolejne istoty i też umierały.

„Tępiciele” – pomyślał Marco, również strzelając i zabijając, bo może Ben-Ari miała rację. Tym właśnie był. Tym się stał. Tym było SOL w kosmosie, siłami, które nie miały bronić ludzkości, lecz eksterminować jej wrogów. A tutaj, pod ziemią, w świecie oddalonym o lata świetlne od ich ojczystej planety, palili żłobek, niszcząc młode, zanim zdołały dorosnąć. Płomienie buchały pod sam sufit, a oni okrążyli płonący stos i na nowo ruszyli tunelami, pozostawiając za sobą smród, gorąc i ostatnie przedśmiertne krzyki.

Szli przed siebie. Zostało ich już tylko dziesięcioro i wciąż nie odnaleźli Kemi. Sadza pokryła twarz Marco, a on wiedział, że plamy pozostaną tam na zawsze, nie dadzą się zmyć, jak koszmar, z którego nigdy nie zdoła się obudzić.

* * * * *

Maszerowali godzinami, pokonując wiele kilometrów, przechodząc z jednego chodnika na drugi, zagubieni w labiryncie. Ciemność zdawała się nie mieć końca. Gdzieś jednak musiała się kończyć. Gdzieś wreszcie znajdą ostatnią stację kolejki, maszynię skrytą w głębi księżycy, znajdą silnik, znajdą Kemi. Marco musiał w to wierzyć. Tylko ta myśl dodawała mu siłę, by dalej iść. Pozostali szli obok niego w milczeniu, z twarzami mokrymi od potu.

– Addy. – Podeszedł do niej, utykając; bolały go nogi i plecy. – Pamiętasz ten dzień w obozie dla rekrutów, kiedy musieliśmy nosić radia wokół bazy?

Przytaknęła.

– Wciąż bolą mnie po tym plecy.

– Teraz tęsknię za tamtym dniem.

– Ja też – odpowiedziała. – Cholera jasna, zmieniam się w Lailani. Teraz to ja tęsknię za obozem dla rekrutów.

– Addy, pamiętasz, jak tata smażył nam omlety na śniadanie i razem oglądaliśmy w kuchni kreskówki, a on śmiał się do rozpuku z Pędziwiatra? – Oczy Marco zapiekły od łez. Był żołnierzem, zabił wiele wjiców, ale teraz miał łzy w oczach. – Pamiętasz Ziemię?

Addy skinęła głową.

– Pamiętam.

– Niedługo tam wrócimy – powiedział Marco. – Mam dość kosmosu. To koniec. Jak tylko wylecimy z Corpusa, złożymy podanie o przeniesienie z powrotem na Ziemię. Znowu obejrzymy kreskówki, a na święta zobaczymy się z tatą.

Teraz to Addy miała łzy w oczach.

– Boję się, Marco. Boję się, że nie uda nam się wrócić do domu, że zginiemy tutaj, jak Diaz. Jak Jaskiniowiec i Szeryf. Jak cała reszta.

– Wrócimy do domu – zapewnił Marco. – Przetrwamy. W Boże Narodzenie będziemy siedzieć razem w domu przy kominku, popijając eggnog i oglądając kreskówki razem z moim tatą.

Addy zaśmiała się przez łzy.

– On jest też moim tatą, wiesz. Tak o nim myślę, odkąd moi staruszkowie umarli. – Wzięła go za rękę. – A ty jesteś dla mnie jak młodszy brat.

– Jestem od ciebie o kilka dni starszy, Addy.

– Ale jesteś słodki jak mały braciszek. – Objęła go ramionami i przytuliła w marszu. – Cholernie cię kocham, Marco. Wiesz o tym, prawda? Tak cholernie cię kocham, do cholery.

Zsunął jej hełm z głowy i zmierzwił włosy.

– Ja ciebie też, siostrzyczko.

Lailani podeszła do nich, wyglądając jak dziecko w mundurze swojego ojca; spodnie były na nią za duże, a hełm chybotął się na głowie. Odezwała się cichym głosem:

– Zawsze nie znosiłam Bożego Narodzenia. To był niebezpieczny czas, czas, kiedy złodzieje krążyli po slumsach. Ci, którym powodziło się lepiej od nas, świętowali w domach, ale my mieliśmy tylko kości, które następnego ranka wygrzebaliśmy ze śmieci. – Spojrzała na Marco. – Jeśli uda nam się stąd wydostać, czy będę mogła świętować Boże Narodzenie razem z tobą i twoją rodziną? Obiecuję siedzieć z tyłu i nie sprawiać nikomu kłopotu.

– Dam ci najlepsze miejsce w całym domu – odparł Marco. – A do tego największy kawałek indyka i najgrubszy plaster szynki. Dopóki jestem z tobą, Lailani, nie będziesz cierpieć niedostatku.

– Niedostatku czego, indyka? – zapytała Lailani.

– Wszystkiego, czego chcesz.

Oparła się o niego.

– Chcę ciebie.

Addy wydała dźwięk, jakby się dławiła.

– Takie to słodkie, że zaraz zwymiotuję. – Energicznie potrząsnęła głową. – W każdym razie, powinniśmy wszystkich zaprosić na święta. – Rozejrzała się po pozostałych żołnierzach. – Starczy dla was miejsca! Sierżant Singh, i porucznik Ben-Ari, i...

– Sierżant Singh jest sikhem – zauważył Marco. – A porucznik Ben-Ari żydem. Nie obchodzą Bożego Narodzenia.

Singh, który szedł za nimi, uśmiechnął się szeroko pod czarną brodą.

– Z przyjemnością skosztowałbym tego indyka – zapewnił.

– Ja też – dodała Ben-Ari. – I nikt nie musiałby mi salutować podczas cięcia go na porcje.

Marco milczał przez chwilę. W końcu powiedział:

– Trudno jest wspominać i myśleć o domu. Wtedy ciemność wydaje się w jakiś sposób jeszcze gęstsza, ból bardziej realny, a całe to miejsce jeszcze gorsze. Tak samo było w Forcie Dżamila. Najgorsze nie było dźwiganie radia, podróż przez pustynię z noszami, ani nawet brak snu. Najgorsza była chwila, kiedy zadzwoniłem do domu, do taty, kiedy usłyszałem jego głos. To był jedyny moment podczas całego szkolenia podstawowego, który mnie złamał, i sam nawet nie wiem dokładnie dlaczego.

– Bo wtedy znowu poczułeś się jak człowiek – powiedziała Ben-Ari cichym głosem. – Szkolenie miało za cel odrzecć was z człowieczeństwa. Dlatego właśnie przeganialiśmy was z jednego miejsca w drugie, krzyczeliśmy na was, nękaliśmy was dniami i nocami. Nie chcieliśmy wam dać nawet chwili, żebyście mogli pogрузić się w myślach i znowu być sobą. Musieliśmy was zmienić w maszyny, bezmyślne, pozbawione uczuć i emocji. Kiedy zadzwoniłeś do ojca, przez krótką chwilę znów byłeś człowiekiem i ból przybrał na sile. Ale

teraz, w tej ciemności... Chcę, żebyśmy pamiętali. Żebyśmy byli ludźmi, nie maszynami, nawet za cenę bólu. Chcę, żebyśmy mieli nadzieję, żebyśmy wiedzieli, o co walczymy, do czego wrócimy.

„Nie maszynami” – pomyślał Marco, zerkając na Osiris. Android szedł za nimi w milczeniu. Sadza pokrywała jej mundur i skórę, ale metaliczne, platynowe włosy wciąż układały się w nienaganną fryzurę, a z oczu bił blask.

– Moi panowie – odezwała się – czy ja też mogę dołączyć do was w święta?

Marco skinął głową.

– Oczywiście.

– Chcecie usłyszeć dowcip? – zapytała. – Jak zidentyfikowano złodzieja owoców? Z pomocą daktyloskopii. To zabawne, bo daktyloskopia to technika polegająca na porównywaniu odcisków palców, a daktyle to owoce palmy daktylowej, *phoenix dactylifera*.

– Tak, dziękuję, że nam to wyjaśniłaś – powiedział Marco.

– Nie ma za co, panie. Mam w bazie danych jeszcze pięćset dwanaście innych żartów. Zachowam je na święta.

„Ty też będziesz tam z nami, Kemi – pomyślał Marco. – Obiecuję. Odnajdę cię i sprowadzę do domu”.

Przez chwilę szli w ciszy.

W końcu odezwał się Elvis.

– Jeśli nawet wrócimy do domu, nie będziemy już tacy sami. Nie będziemy już ludźmi, tak jak mówiła Ben-Ari.

Obejrzeni się na niego. Zwykle Elvis śpiewał, tańczył i sypał żartami, ale teraz miał poważny wyraz twarzy i udręczone spojrzenie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że wrócimy jako cyborgi? – zapytała Addy. – Z metalowymi kończynami, jak kapral Webb?

Elvis pokręcił głową.

– Chcę przez to powiedzieć, że zmienimy się w środku. Będziemy jakby... popsuci. Jak mój brat. Służył w SOL przez pięć lat. Kiedy wrócił do domu, był... pusty w środku. Nie został ranny. Wciąż był wysoki, silny, pracował z nami w polu. Ale nigdy już się nie śmiał. Nie tańczył, nie śpiewał, nie opowiadał żartów. Nie umawiał się z dziewczynami. – Spuścił głowę. – Rok po powrocie popełnił samobójstwo. Znaleźliśmy go w stodole. W liście napisał tylko: „Przepraszam”.

Marco podszedł do przyjaciela. Pamiętał, jak Elvis opowiadał mu w Forcie Dżamila o swojej dziewczynie, która zginęła w wypadku samochodowym.

– Nie miałem pojęcia, że straciłeś brata – powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Elvisa. – Przykro mi z powodu twojej straty.

Elvis skinął głową.

– Chyba dlatego tyle śpiewam i nie lubię być poważny. Bo nie chcę stać się takim

człowiekiem. Pustym. Ale jeśli wrócimy do domu, po tym, jak widzieliśmy to wszystko... – Rozłożył ręce zamaszystym gestem. – Te tunele, tę wojnę, potwory w ciemności... Jak możemy jeszcze kiedykolwiek być szczęśliwi? Jak mamy śpiewać, tańczyć, być tacy jak przedtem, nawet jeśli uda nam się wrócić?

Lailani odezwała się cichym głosem:

– Nawet po bólu może nadejść szczęście. Całe moje życie było pasmem cierpień. Było jak te tunele – mroczne, pokręcone, pełne cierpienia. – Uniosła poznaczone bliznami nadgarstki. – Raz próbowałam się zabić. Ale dostrzegłam promyk światła, odnalazłam trochę radości. Ból nigdy cię nie opuszcza. Nigdy. Nawet jeśli wrócimy do domu, on pozostanie, na zawsze pozostawi w nas blizny, tak prawdziwe, jak te na moich nadgarstkach. Więc nie, nigdy nie będziemy już tacy sami. Ale to nie znaczy, że pośród cieni nie będzie trochę światła. Na świecie wciąż istnieje piękno, mimo całego tego gówna. Teraz w to wierzę. Muszę w to wierzyć.

Potem przez długi czas szli w milczeniu, każde z nich pogrążone w myślach, wspominając dom.



ROZDZIAŁ 17

Szli przed siebie, aż dotarli do drzwi.

Stanęli jak wryci.

Drzwi. Prawdziwe drzwi zrobione z metalu, a nie tylko prymitywny tunel. Dwoje żołnierzy przywarło do ścian z bronią gotową do strzału, a Ben-Ari chwyciła za klamkę i otworzyła je pchnięciem. Zajrzeli do środka i dostrzegli wyłożone metalem pomieszczenie pełne rur, paneli kontrolnych, generatorów oraz wiertek; przebiegały przez nie tory kolejki. Były tu setki miejsc, w których mogły ukryć się wijce, więc żołnierze weszli do środka powoli, z uniesioną bronią i zapalonymi latarkami. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęło się koryto pełne bulgoczącego, stopionego metalu. Z sufitu i szybów wentylacyjnych zwisało kilka żyłastych bąbli, roztaczających wokół przytłumione pomarańczowe światło.

– Latarnie wjiców – stwierdził Marco. – Bydlaki tu są albo były niedawno.

– Pieprzone wijce. – Addy skrzywiła się i wskazała dłonią. – Co to jest? Jakieś dziecko?

Spojrzeli w tamtą stronę. Marco zasłonił usta dłonią, czując mdłości. Pomędzy kilkoma rurami leżało coś niedużego, przypominającego spalone na węgiel zwłoki. Jeśli kiedyś miało kończyny, to zostały strawione przez ogień, podobnie jak twarz.

– Może to coś takiego, jak ta rzecz w torbie Ben-Ari – zasugerował Marco.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa, w plecaku porucznik Ben-Ari coś zaszeleściło.

– Co do cholery? – wyszeptała Addy. – Czy to coś cię usłyszało? I zrozumiało?

Ben-Ari zrzuciła plecak z ramion, przyklękła i rozpięła zamek. Wszyscy zebrali się wokół niej. Ręcznik, w który zawinęli bryłkę ciała, dygotał. Ben-Ari podniosła zawiniątko i rozłożyła materiał.

Porucznik krzyknęła i upuściła stworzenie.

Całe pomieszczenie zawirowało.

Marco nie był w stanie oddychać.

„Sen. To musi być sen. O Boże, niech to będzie sen.”

Stworzenie leżało na podłodze, mlaskając i mrugając. Nie miało rąk ani nóg, ale miało twarz. Twarz Marco.

– Czemu to coś wygląda jak ty? – wyszeptała Addy. Była blada i drżały jej palce. –

O Boże, Marco, czemu to wygląda jak ty?

Nie mógł zaczerpnąć tchu. Z trudem wciągnął do płuc powietrze.

– Nie rób mu krzywdy – wyszeptał. – Nie...

Ale Addy z grymasem na twarzy przyklękła i uniosła bryłę. Podbiegła i wrzuciła ją do kadzi z roztopionym metalem.

Stwór krzyknął. Krzyczał tak głośno, że dźwięk poniósł się echem po sali, głośniejszy niż byłby w stanie jakikolwiek człowiek. Zakryli uszy, bo wrzask stawał się coraz bardziej piskliwy, przeszywając powietrze jak dźwięk syreny, aż w końcu ucichł, a stwór z twarzą Marco roztopił się w metalu.

Po tym zdarzeniu wszyscy musieli na chwilę usiąść. Znaleźli niewielkie pomieszczenie oddzielone szklaną ścianą, w którym stał stół i krzesła. Usiedli, oddychając głęboko i dygocząc, przez dłuższą chwilę nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa.

– Co to było? – zapytała w końcu Addy, po czym posłała Lailani groźne spojrzenie. – Tylko nie mów, że demon.

Marco zastanowił się przez chwilę, wciąż wytrącony z równowagi. Przed oczami nadal miał swoją twarz na ciele tego czegoś.

– Kiedy je znaleźliśmy, nie miało żadnych rysów, było tylko bryłą pokrytą skórą, jak piłka futbolowa – powiedział. – Ja pierwszy go dotknąłem. Podniosłem je. Myślę, że... pobrało ode mnie DNA. Tylko odrobinę potu, komórki zużytej skóry, to mogło wystarczyć. Może tak właśnie powstał ci ludzie z sześciorgiem ramion. Z grudek ciała przechwytyjących ludzkie DNA i wyrastających na takie stwory.

– Wjcie to potrafią? – wyszeptała Addy.

– Pamiętasz te stare opowieści, które słyszeliśmy jako dzieci? – odparł. – O tym, jak to wjcie mogły klonować ludzi i wprowadzać te klony w ludzkie społeczeństwo? Tak strasznie się baliśmy, że nasi nauczyciele to klony, agenci obcych.

– Do tej pory nie jestem pewna, czy pan Hommen nie był klonem – stwierdziła Addy.

– Są różne rodzaje wjców – powiedział Marco. – Widzieliśmy to w wylęgarni. Tam były wjce-opiekunki pozbawione szponów. Może tutaj są wjce-naukowcy.

– Co, tacy w fartuchach, z sumiastymi siwymi wąsami i rozczochranymi włosami, wystawiający języki? Coś w tym rodzaju? – Addy jęknęła. – To owady, Poeto. Po prostu wielkie stonogi.

– Po pierwsze, stonogi nie są owadami – odparł Marco – tylko stawonogami. Po drugie, te stonogi nauczyły się latać w kosmos. Nie są tak głupie, na jakie wyglądają. *Scolopendra titania* dorównują inteligencją ludziom.

– W takim razie muszą z nich być cholerni debile – stwierdziła Addy, a Marco nie mógł się z tym spierać.

– No dobrze, żołnierze, przeszukajcie każdy centymetr tego pomieszczenia – powiedziała Ben-Ari. – Chcemy znaleźć eterytowe serce, takie samo, jak to z *Miyari*. Dobierzcie się

w pary i nie opuszczajcie sali.

Marco dołączył do Addy i wspólnie zagłębili się pomiędzy wielkie, metalowe szyby wentylacyjne, piece, wiertła, kotły i potężne maszyny, których przeznaczenia nie mogli się nawet domyślać. Z góry zwieszały się lepkie lampy wyciów. Kilkoro żołnierzy przebiło się przez obudowy maszyn, ale w środku znaleźli tylko zakurzone zębatki, żadnych świecących na niebiesko eterytowych serc. W końcu wszyscy przegrupowali się i podążyli wzdłuż torów do kolejnego tunelu.

Gdy tak szli w ciemnościach, z uniesioną bronią, usłyszeli przed sobą śmiech.

Śmiech niemowlęcia.

Żołnierze spojrzeli po sobie.

– Wiecie – zauważył Elvis – zazwyczaj śmiech dziecka to piękny dźwięk, ale kiedy idziesz przez obskurny tunel kilka kilometrów pod powierzchnią obcego księżyca opanowanego przez demony, jest to naprawdę ostatnia rzecz, jaką chciałbyś usłyszeć.

– Może to ocalały osadnik? – powiedział Marco.

Szli dalej z uniesioną bronią.

Weszli do dużej, okrągłej komory o ścianach wyłożonych białymi płytkami. Lepkie latarnie wyciów pokrywały sufit, rzucając światło na...

Marco poczuł, że kręci mu się w głowie, i o mało nie upadł. Elvis faktycznie zemdlał, a Bestia zwymiotował w kącie. Lailani opadła na kolana, zrobiła znak krzyża i zaczęła się modlić.

– Te dzieci trochę trudniej zabić, prawda? – stwierdził Marco cichym głosem.

Pomieszczenie wypełniały metalowe wózki, ściśnięte jeden koło drugiego, jak w jednym z tych starych, dwudziestowiecznych żłobków. W każdym z nich leżało niemowlę o ludzkiej głowie i wijącym się ciele skolopendry.

– Wujce to zrobiły! – powiedziała Addy, drżąc tak, że karabin klekotał jej w dłoniach. – One stworzyły te dzieci. To jakiś eksperyment genetyczny. Miałaś rację, Poeto. One są naukowcami. Złymi, szalonymi naukowcami. A ja je wszystkie pozabijam. Pozabijam!

Marco podszedł do jednego z wózków. Leżące w nim niemowlę spojrzało na niego i zaśmiało się. Jego ciało skolopendry wykręciło się, wyciągając pazurki. Kilka innych dzieci zaczęło płakać.

– To sen – szeptał Elvis, krążąc pomiędzy wózkami. – To musi być sen. To nie może się dziać naprawdę. Nie może. – Uszczyptał się. – Obudź się. Obudź się. Obudź się.

Ale Marco wiedział, że to *działo* się naprawdę. Te stwory, dzieci, kosmici, hybrydy, pokręcone, złe, smutne, skażone – naprawdę tu były, zarazem demoniczne i niewinne. Marco nie wiedział, czy to piekło, jak uważała Lailani, czy może jakieś laboratorium kosmitów, albo nawet dzieło ludzkich osadników. Ktokolwiek stworzył to miejsce, był zły, ale to, co leżało w wózkach, złe nie było.

Więcej niemowląt zaczęło płakać.

– Musimy je zabić – stwierdziła Addy. – Boże, musimy je zabić. To okrutne. Nieludzkie.
– Uniosła broń. Ręce jej drżały. – Musimy je zabić. – Spojrzała na porucznik Ben-Ari, jakby prosiła o pozwolenie.

Ben-Ari wpatrywała się w stworzenia, pobladła na twarzy.

– Ja... – Odetchnęła głęboko. – My...

– Nie możemy ich skrzywdzić – powiedział Marco. – Mają ludzkie głowy. Mogą też mieć ludzkie umysły.

– I ciała wjiców! – odparła Addy. – Co to za życie?

– Okrutne, bolesne życie – zgodził się Marco. – Chore i pokręcone. Ale kim my jesteśmy, żeby im je odbierać?

– To co mamy zrobić? – zapytała Addy. – Zostawić je tutaj? Po prostu pozwolić, żeby wyrosły na potwory w służbie wjiców? Nie możemy zabrać ich ze sobą. – Zwróciła się do Ben-Ari. – Pani oficer, proszę o pozwolenie na otwarcie ognia. To będzie akt łaski.

Porucznik podeszła do jednej z kołysek, sięgnęła do środka i pogłaskała niemowlę po policzku. Ciało stonogi poruszyło się, wyginając pazurki, i niemowlę zagulgotało.

– Nie możemy ich zabić – powiedziała cicho Ben-Ari. – Musimy im pomóc. Zabierzemy stąd wózki, będziemy je pchać przed sobą. Jeśli uda nam się zabrać je z tego księżycy, może na Ziemi będzie je czekało jakieś życie. Może nawet pomogą nam dowiedzieć się czegoś o tym, co się tu stało.

– Nie możemy zabrać tego zła ze sobą do domu – zaprotestowała Lailani. – Ten księżyc jest przeklęty. To piekło. Nie możemy nic stąd zabierać.

– Nasz dom już jest skażony – odparła Ben-Ari. – Aby walczyć ze złem, musimy pozostać dobrzy. Aby walczyć ze zniszczeniem, musimy leczyć. Zło pokonamy nie za pomocą broni, bomb i ognia, ale poprzez współczucie, miłosierdzie i prawość.

„Dlatego właśnie podążyłem za tobą w kosmos, Einav Ben-Ari – pomyślał Marco, spoglądając na swoją oficer. – Dlatego właśnie wciąż za tobą podążam”.

– Nie wierzę – stwierdził Elvis, kręcąc głową. – Po raz pierwszy będę musiał się zgodzić z Hokeistką.

– Porucznik Ben-Ari ma rację – powiedział Bestia. – Pomożemy dzieciom.

Sierżant Singh skinął głową.

– Pomożemy im. Postąpimy słusznie.

Wszyscy zaczęli się kłócić, niektórzy nalegając, aby zabić stworzenia, inni, aby po prostu je tu zostawić, a jeszcze inni, żeby zabrać je ze sobą. Marco stał w milczeniu; chciał pomóc tym dzieciom, ale nie wiedział, czy był w stanie.

Z pomieszczenia w tyle rozległ się głos, słaby, ledwie słyszalny.

– Marco?

Inni zdawali się go nie słyszeć. Marco zwrócił się w stronę, z której dobiegał.

– Marco...

Oddalił się od pozostałych, zmierzając w stronę tylnych drzwi. Przed nim majaczyła pogrążona w cieniu komora, słyszał też cichy oddech. Za jego plecami żołnierze zamilkli, a potem ruszyli za nim, pozostawiając zdeformowane niemowlęta w wózkach.

– Dokąd idziesz, Poeto? – zapytała Addy.

Marco nie odpowiedział. Jego puls przyspieszył, zaschło mu w gardle. Przełknął ślinę i przekroczył próg, wchodząc do drugiego pomieszczenia.

Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, rozglądając się zażawionymi oczami.

Salę wypełniały dziesiątki metalowych stołów, a na nich, przywiązane pasmami mokrych, mięsistych wici, leżały kolejne stwory.

Tym razem nikt się nie odezwał ani nie poruszył, wszyscy tylko patrzyli.

Był tutaj opuchnięty mężczyzna, blady, łysy, z nogami zespolonymi z długim, podrygującym tułowiem skolopendry. Dwie kobiety zszyto ze sobą na kształt wynaturzonych bliźniąt syjamskich; mrugały oczami i bezgłośnie poruszały ustami, a ze szwów kapała zgnilizna. Mała, dygocząca istota miała głowę skolopendry o poruszających się ze stukotem żuwaczkach, a pod nią okaleczone ciało dziecka. Mężczyzna jęczał, płakał, szeptał, a jego tors wydłużył się i wychynął z niego tuzin ramion. Inne stworzenia wyglądały na nieudane eksperymenty; nabrzmiałe, pokryte ranami, uformowane w nierozpoznawalne kształty, z powyginanymi kończynami wystającymi spomiędzy fałd ciała, z permanentnie wykrzywionymi w grymasie szczękami, spomiędzy których ciekła ślina. Wzdłuż jednej ściany, na rzeźnickich hakach, wisały dzieci, obdarte ze skóry, wciąż żywe, których ciała poniżej żeber przechodziły w korpusy skolopendr. Na kamiennym stole leżała kula nabrzmiatego mięsa rozmiarów morsa, pulsująca i pozbawiona jakichkolwiek rysów.

– Zabijcie... nas... – wyszeptał mężczyzna przywiązany do stołu za pomocą lepkich błon, z którego torsu zamiast rąk i nóg wyrastały cztery skolopendry. – Zabijcie... nas...

Addy stanęła u boku Marco. Po policzku spłynęła jej łza. Spojrzała na niego bez słowa szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

– Mar... co...

Głos dobiegał z głębi pomieszczenia. Marco przeszedł między stołami, podążając w jego stronę, i wtedy ją zobaczył.

Zamarł, czując, jak oczy mu wilgotnieją.

Kemi.

Leżała na metalowym stole, przywiązana mokrymi błonami. Wciąż była człowiekiem, ale fragmenty skolopendr wisały nad nią na hakach, trzęsąc się jak wibrujące telefony komórkowe. Wijce rozebrały ją do naga i wyrysowały znaki na jej brzuchu, piersi, stawach i szyi jak chirurdzy plastyczni szykujący się do operacji. W żyły wkłute miała rurki połączone ze skórzanymi workami zawieszonymi na drążkach jak kroplówki. Inna rurka prowadziła od kuli mięsa do ust Kemi, wepchnięta w jej gardło.

Żywa skolopendra wychynęła zza stołu, wyciągając kończyny i sycząc. Zamiast szponów,

na końcach odnóży miała narzędzia chirurgiczne: skalpele, piły, młotki, igły, nie protezy, lecz prawdziwe organy, które wyewoluowały lub zostały zaprojektowane do makabrycznej pracy, jaką kosmita miał wykonywać.

Stwór zaskrzeczał. Marco oddał jeden strzał w jego głowę, a on upadł z dymiącą czaszką i skonał.

– Mar... co... – wyszeptała Kemi, krztusząc się rurką.

– Jestem tu, Kemi. – Dotknął jej włosów. – Jestem tu. Już nic ci nie grozi.

– Nadciąga więcej wjiców! – zawołała Addy i wystrzeliła. Kosmita zaskrzeczał. Stworzenia na stołach podniosły wrzask.

– Jest ich chyba z milion! – krzyknął Elvis, po czym otworzył ogień w kierunku drzwi. Kapral Kikucik szczekał i biegał po sali.

Podczas gdy pozostali żołnierze strzelali, Marco dobył noża i przeciął śliskie, grube błony mocujące Kemi do blatu stołu, czując się, jakby przecinał pępowiny. Wyciągnął jej rurkę z ust, a ona zaczęła się krztusić i kaszleć, po czym wypluła jakiś bladożółty płyn. Wspólnymi siłami powyrywali rurki z jej żył, a Marco owinął ją wyciągniętym z plecaka kocem.

Wijce wpadły przez tunel na tyłach pomieszczenia. Marco uniósł broń i zasypał je gradem kul. Podał Kemi jej pistolet, znaleziony w tunelu, a ona załadowała i wystrzeliła strumień piekielnego ognia jonizującej śmierci, spopielając wijca. Jakiś żołnierz krzyknął, gdy trzy wijce rzuciły się na niego. Ktoś inny upadł. Dźwięczały wystrzały, stwory padały martwe.

– Kryć się! – zawołała Addy. Pobiegła w stronę tunelu, z którego wyłaniały się wijce, i rzuciła granatem.

Żołnierze przyklekli. Eksplozja zatrzęsa kopalnią.

– Kryć się! – zawołali Bestia i Elvis, ciskając jeszcze dwa granaty. Wkoło posypały się skrawki ciał wjiców, szpony zafurkotały w powietrzu. Tunel zawalił się, grzebiąc pod gruzami dalszych obcych.

Bitwa dobiegła końca. Wszyscy stali, oddychając ciężko.

Marco rozejrzał się dookoła. Wszędzie walały się odłamki, skwierczące kawałki ciała i martwe wijce. Jeden tunel się zawalił, ale dwa przejścia wciąż stały otworem: jedno prowadziło z powrotem do żłobka pełnego niemowląt, a drugie w głąb kopalni. Dwoje żołnierzy leżało martwych pośród drgających zwłok wjiców.

Przy życiu pozostała ich już zaledwie garstka. Ben-Ari, która dysząc ciężko ścisnęła w rękach karabin plazmowy. Sierżant Singh, z ponurym spojrzeniem i brodą spryskaną krwią. Elvis i Bestia, wsparci o siebie plecami – smukły młodzieniec z długimi bokobrodami oraz potężny osiłek z ogoloną głową. Lailani, mała, ale zawzięta. Addy, z twarzą lśniąca od potu i blond włosami lepiącymi się do policzków. Marco. Kemi. I jeszcze Osiris, android. Tylko oni pozostali z całej liczącej dwustu żołnierzy kompanii, która wylądowała na Corpusie.

„No i ty, Kikucik” – pomyślał Marco, spoglądając na obszarpanego boston teriera.

– Wynośmy się stąd – powiedziała Addy. Obróciła się w stronę tunelu opadającego dalej pod ziemię. – Schodzimy głębiej.

Marco odwrócił się do Kemi. Stała obok niego z pistoletem w dłoni, otulona kocem. Oczy jej zwilgotniały.

– Wszystko w porządku? – zapytał Marco.

– Nie – wyszeptała i objęła go, wtulając się w niego rozpaczliwie, po czym zaczęła płakać.

Marco trzymał ją w objęciach przez długi czas, gładząc ją po włosach.

– Teraz jestem z tobą, Kemi. – Kołysał ją łagodnie. – Już po wszystkim. Już po wszystkim.

Zamrugła, strącając z oczu łzy, i spojrzała na niego.

– Marco... kiedy byłam podpięta do tych rurek, to... byłam połączona ze wszystkimi innymi. Z resztą pacjentów. Nie, nie pacjentów. Eksperymentów. Czułam to, co oni. Myślałam to, co oni. Bolało mnie to, co ich. Ogarniał mnie ich gniew, ich nienawiść do ludzkości, ich zło. Oni czują tyle bólu, Marco. Tyle złości i nienawiści. Musimy im pomóc. Musimy pozwolić im zasnąć.

– Kemi. – Wziął ją za rękę. – Może uda nam się im pomóc. Uwolnić ich tak, jak ciebie. Jak...

Odsunęła się od niego i uniosła pistolet plazmowy. Ze łzami w oczach wystrzeliła, podpalając jedno ze stworzeń na stołach.

– Kemi! – zawołał.

Spojrzała na niego ze łzami spływającymi po policzkach i znów wystrzeliła. Krzyczała. Płakała. Raz za razem strzelała plazmą, wrzeszcząc ochryple, paląc stwory na stołach, trzęsąc się. Sala stanęła w ogniu. Kemi puściła się biegiem między płomieniami, łkając i zawodząc, do komory, w której leżały niemowlęta. Znów wystrzeliła, a dzieci zajęły się ogniem, krzycząc, wijąc się, płonąc, umierając.

Gdy wszyscy już płonęli, Kemi osunęła się na kolana, spuściła głowę i załkała.

– Marco, zabierz ją stamtąd! – powiedziała Addy. – Wszystko tu płonie!

Żołnierze, którzy przetrwali, biegli w stronę wciąż otwartego tunelu. Marco ukląkł przy Kemi i pomógł jej wstać.

– Musiałam – wyszeptała. – Musiałam. Musiałam. Ty nigdy tego nie zrozumiesz. Nie czułeś ich. Nie byłeś z nimi jednością. Tyle okrucieństwa. Musiałam. Musiałam.

Skinął głową, obejmując ją ramionami.

– Teraz chodź ze mną.

Kemi zaczęła kuśtykać, wsparta o niego; przeszli pomiędzy ginącymi w ogniu hybridami i wyszli do tunelu. Zostawili płonące laboratorium za sobą, kierując się w ciemność, a w głowie Marco wciąż odbijały się echem słowa Lailani.

To piekło... piekło... piekło...



ROZDZIAŁ 18

W głębi kopalni znaleźli nieduże pomieszczenie zastawione pryczami, gdzie dwa wijce kopulowały ze sobą.

– Mamy was, skurwiele – rzuciła Addy i podziurawiła kosmitów kulami.

Wywlekli zwłoki na zewnątrz, po czym zamknęli drzwi i usiedli na pryczach. Dziewięcioro żołnierzy. Dziewięć istnień uwięzionych całe kilometry pod ziemią, otoczonych przez tysiące wjiców.

– Przeliczamy amunicję – powiedział sierżant Singh i wszyscy sprawdzili swoje magazynki i granaty. Niewiele im zostało. Addy wystrzeliła ostatni nabój w tym właśnie pokoju i musiała wziąć jeden magazynek od Elvisa. Lailani była na tyle roztropna, że zbierała magazynki żołnierzy, którzy polegli po drodze; wyciągnęła je teraz z plecaka i rozdała pozostałym. Większy problem stanowiła broń plazmowa należąca do porucznik Ben-Ari oraz Kemi. Obydwie mogły oddać już tylko po kilka strzałów.

– Nasze latarki też już długo nie pociągną – stwierdził Marco. – W założeniu są w stanie świecić bez przerwy przez trzy dni, a mniej więcej tyle czasu minęło.

– Jeśli wróci zasilanie, będziemy mogli naładować i latarki, i broń – powiedziała Ben-Ari.

– Albo jeśli uda nam się gdzieś tu znaleźć działający generator. Ale być może będziemy musieli się bez nich obyć. – Wstała z łóżka polowego, na którym siedziała. – Powinniśmy ruszać dalej, kontynuować poszukiwania.

– Pani oficer – odezwał się Marco – jeśli mogę coś zasugerować: musimy odpocząć. Zjeść coś. Przespać się. Zwłaszcza Kemi, poza tym niektórzy z nas są ranni.

Ben-Ari spojrzała na drzwi.

– Nie cieszy mnie perspektywa pozostania pod ziemią choćby chwili dłużej, ale może masz rację. Kopalnie mogą się ciągnąć jeszcze daleko. – Skinęła głową. – Zostaniemy tu przez sześć godzin i ani minuty dłużej. Znowu będziemy stać na straży parami – a drzwi pozostaną zamknięte.

Przez całą noc wijce przemykały na zewnątrz, piszcząc i skrzecząc. W szczelinie nad progiem tańczyły cienie, szpony skrobały o kamień. Kilka razy skolopendry waliły w drzwi, ale w końcu odpuszczały i szły dalej. Kikucik całą noc spędził przy wejściu, warcząc, stojąc

na straży. Marco przypomniał sobie filmy propagandowe ze szkolenia podstawowego. Wjce, żeby coś powąchać, muszą tego dotknąć czułkiem. Za zamkniętymi drzwiami byli bezpieczni, ale na zewnątrz czaiła się groza. Co kilka chwil ludzki krzyk przeplatał się z odgłosami skolopendr. Wciąż byli tu osadnicy, może poddawani dalszym eksperymentom, może torturowani, umierający.

Darowali Kemi stanie na warcie. Wciąż drżała na całym ciele, wciąż była w szoku pourazowym. Addy większą część nocy spędziła u jej boku, obejmując ją, głaszcząc po włosach i szepcząc jej do uszu słowa pocieszenia, a gdy przyszła kolej na jej wartę, miejsce przy Kemi zajął Marco, trzymając ją za rękę, gdy na przemian to zasypiała, to się budziła.

„To moja wina – pomyślał, patrząc, jak Kemi śpi. – Przyleciałaś tutaj, żeby być ze mną, i stała ci się krzywda. Może przeszłaś zbyt wiele, żeby kiedykolwiek dojść do siebie”.

Pomyślał o ich spędzonej wspólnie młodości, o dniach radosnych pomimo toczącej się wojny. Być może Elvis miał rację. Może po tym wszystkim nie będą już w stanie doświadczyć szczęścia. Ich młodość dobiegła końca. On i jego przyjaciele mieli dopiero osiemnaście lat, jeszcze niedawno byli dziećmi, a mimo to Marco czuł się stary i wynędzniały, jak gdyby przeżył tu w ciemności długie lata. Miał wrażenie, że już nigdy nie będzie młody.

Kiedy Kemi pogrążona była w głębokim śnie, a Addy czuwała u jej boku, Marco położył się obok Lailani. Nie spała, tylko leżała skulona na materacu, patrząc na niego. Przesunęła nieco dłoń w jego stronę, a on zrobił to samo, pozwalając, by koniuszki ich palców zetknęły się. Lailani spojrzała mu w oczy. Nie musiała nic mówić; Marco wyczytał wszystko z jej spojrzenia.

„W porządku, Marco. Wiem. Rozumiem. I wciąż cię kocham”.

Kemi – jego dawna miłość, młodzieńcze ciepło, wspomnienie domu. Lailani – nowa ukochana, którą odnalazł tutaj, jego nowe światło w ciemności, światło, które wskazywało mu drogę naprzód przez ogień i deszcz. W końcu usnął, muskając palcami udo Lailani, i to wystarczyło. To był znak łączącej ich więzi, która dodawała mu otuchy, więzi, która – był już tego pewien – przetrwa.

Gdy ich zegarki pokazały, że nadszedł ranek, zjedli śniadanie złożone z zimnych racji. One też były już na wyczerpaniu. Zostało im tylko kilka puszek tuńczyka, dwie puszki mielonki, parę batoników energetycznych i kilka torebek musztardy. Kemi ubrała się w spodnie dresowe i koszulkę, które Addy miała w plecaku, i siedziała z kocem na ramionach, prawie nie ruszając jedzenia. Oczy wciąż miała zapadnięte, a spojrzenie nieobecne.

– Kiedy byłam... tam, podłączona do rurek – powiedziała – one nie służyły tylko do tego, żeby mnie karmić. Byłam z nimi połączona. Z ich rojem. Byłam częścią ich świadomości. – Zadrżała. Trzymała w dłoni puszkę tuńczyka, ale nie jadła. Zniżyła głos. – *Scolopendra titania* same w sobie nie są inteligentne. Pojedynczy osobnik nie jest mądrzejszy od owada.

Ale połączone ze sobą tworzą sieć, wielki, wspólny mózg. Podłączyli do niego nas wszystkich. Mnie. Pozostałych pacjentów z tamtej sali. Próbowali... uczynić nas częścią swojego roju, ale tak, żebyśmy zachowali przy tym swoją niezależność i jednostkową inteligencję.

– Widzisz? – powiedziała Addy do Marco. – Nie mają naukowców. Same z siebie są głupie jak owady.

Kemi ciągnęła, jakby jej nie słyszała.

– Kiedy byłam częścią ich sieci – tylko tak potrafię to opisać, jako sieć – wiedziałam, co czują, co słyszą, gdzie biegają. Wciąż byłam sobą, wciąż byłam Kemi, ale byłam też całym wielotysięcznym rojem i czułam wszystko, co on czuł. Widziałam też niebieskie serce, czułam, jak bije, jak pulsuje w głębinach. Widziałam, gdzie spoczywa. Znam drogę.

Ben-Ari podniosła się z łóżka, na którym siedziała.

– Eterytowe serce!

– Tak sędzę – powiedziała Kemi. – Kiedy patrzysz oczami roju, nie widzisz konkretnych obrazów. To raczej uczucia, wrażenia, sugestie, jak wtedy, kiedy człowiek wyobraża sobie ciepłą plażę, bo padł na niego promień słońca, albo wzdryga się w ciemnym domu, kiedy zdaje mu się, że ktoś go obserwuje. Ale tak, im więcej o tym myślę, tym wyraźniej widzę coś niebieskiego, świecącego, pulsującego. – Westchnęła. – To frustrujące, próbować to wyjaśnić. Wijce nie myślą tak, jak my, słowami albo obrazami. One nie używają słów, nie mają swojego języka, tylko koncepcje, zapachy, uczucia, smaki, wizje. – Wzdrygnęła się. – Nie chcę już nigdy doświadczać rzeczywistości tak, jak one.

– Możesz wskazać nam drogę do serca? – zapytała Ben-Ari.

Kemi zadrżała i objęła się ramionami. Addy podeszła do niej szybko i objęła ją ramieniem.

– Znam drogę – powiedziała Kemi – ale tam jest zło. Wielkie zło, które go strzeże. Coś gorszego niż wszystko, co widzieliśmy do tej pory. Poczułam to przez moment. Jego rozmiar. Tkwiący w nim strach. Sama już nie wiem, ale nie chcę się do niego zbliżyć. Każda cząstka mnie krzyczy, żeby uciekać najdalej, jak tylko się da.

– Potrzebujemy tego serca – powiedziała Ben-Ari łagodnie – i tyle siły ognia, ile tylko zdołamy zdobyć. Musimy iść dalej. Musisz wskazać nam drogę. Jeśli nie zdobędziemy eterytowego serca, nigdy nie uciekniemy z tej skały.

Kemi chwyciła porucznik za ramiona, oddychając ciężko.

– Musi mi pani coś obiecać. Jeśli tam pójdziemy i staniemy twarzą w twarz z tamtym złem... nieważne, jak będzie wyglądać, nieważne, co powie, musimy je zabić. Proszę mi obiecać, że je zabijemy.

– Zabijemy je – powiedziała Ben-Ari, po czym zwróciła się do pozostałych. – Szykujcie się. Idziemy.

Znów ruszyli przez kopalnię. Kemi szła na przedzie, trzymając pistolet przed sobą. Na

każdym rozwidleniu dróg przystawała, zamykała oczy, wzdrygała się, a następnie wybierała ścieżkę i podejmowała marsz. Pozostali podążali za nią z uniesionymi karabinami, strzelając, ilekroć w ich stronę rzucał się jakiś wijec.

Schodząc coraz głębiej, mijali metalowe wózki pełne skał i ziemi, wielkie metalowe filtry oraz wiertła wielkości czołgów, leżące beczynnienie pod kamiennymi ścianami. Górnicy drążyli tu nowe tunele, ale przepadli, pozostawiając po sobie rdzewiejące wiertła i nieprzesiane odłamki kamienia. Kilkakrotnie żołnierze dostrzegli w wózkach surowy eteryt: nieobrobione skały z przebłyskami błękitu, niepocięte na kryształy używane do napędzania statków kosmicznych. W innej komorze wiadra z ziemią stały na zatrzymanej taśmie produkcyjnej, a kawałki nieoszlifowanego eterytu lśniły w szklanych butelkach jak uwięzione w nich niebieskie świetliki.

Te kamienie na nic by się im nie przydały, chyba że mieliby do dyspozycji wykwalifikowanego szlifierza i byli gotowi zaczekać rok, podczas którego ów ekspert przyciąłby kąty kryształu z dokładnością do jednego atomu, tak, aby czasoprzestrzeń mogła się w nim zaginać. Oni szukali precyzyjnie oszlifowanego kamienia, umieszczonego w specjalnie zaprojektowanym metalowym sercu. Tylko taki kryształ był w stanie zakrzywić czasoprzestrzeń tak, jak diament zakrzywia światło. Tylko eterytowe serce – coś więcej niż prymitywne paliwo, prawdziwy majstersztyk – mogło unieść statek przez galaktykę. Nawet oszlifowane kryształy eterytu nie były wieczne; często wystarczały tylko na kilka podróży. Ich kąty ulegały zatarciu, a choćby jeden utracony atom powodował konieczność wymiany całego kryształu. Na razie jednak wystarczyłyby im jeden – tyle było potrzeba, aby wynieść *Miyari* na orbitę i umożliwić lot do Nightwall albo z powrotem na Ziemię.

Przeszli dwa kilometry wzdłuż torów opadającym stromo tunelem, aż dotarli do wyciosanego nierówno przejścia, za którym widać było pomarańczową poświatę i rozedrgane cienie. Z pomieszczenia przed nimi dobiegał głośny stukot, trzaski i syczenie, a w środku dostrzeli dziesiątki, jeśli nie setki wijców, przemykających po zakrzywionych ścianach. W powietrzu unosił się odór kosmitów, mdląco słodka woń wilgoci i zgnilizny. Żołnierze przywarli do ścian tunelu, obawiając się wkroczyć do pełnej stworzeń hali.

– Jest tam chyba z milion tych skurwysynów – wyszeptła Addy, zaglądając do środka za pomocą wyciągniętego z plecaka lusterka.

Marco wyciągnął szyję, po czym szybko cofnął głowę z powrotem. Udało mu się zaledwie zerknąć na wnętrze komory – było wielkie jak sala kinowa, pełne wijców oblażących ściany i sufit.

– Będziemy musieli znaleźć inną drogę.

– Nie ma innej drogi – odparła Kemi. – Pokonywałam ten labirynt tysiące razy w głowach tysięcy stworzeń. Trzeba iść tędy. Musimy przejść przez tę komorę do tunelu znajdującego się za nią.

– No to weźmy jedną z tamtych koparek – powiedział Bestia. – Z dużymi wiertłami. One nie rosyjskie, ale kopać będą. Wyryjemy sobie ścieżkę.

– Wibracje zwróciłyby uwagę wszystkich wyców w promieniu paru kilometrów – zauważył Elvis. Wyglądał, jakby zbierało mu się na mdłości.

– Może dowcip pomogłoby rozładować atmosferę? – zapytała Osiris. – Mam ich w bazie danych jeszcze kilkaset.

Sierżant Singh przypiął bagnet do swojego karabinu szturmowego T57 i uniósł broń.

– Przedrzemy się siłą. Nie zostało nam dużo amunicji, ale jeśli przyjdzie co do czego, mamy bagnety. Ja pójdę pierwszy, a cała reszta niech idzie za mną.

Porucznik Ben-Ari pokręciła głową.

– Nie, sierżancie. Wciąż jestem dowódcą plutonu i to na mnie ciąży odpowiedzialność. Ja pójdę przodem.

Marco zrozumiał. Ten, kto wchodził pierwszy, wystawiał się na największe niebezpieczeństwo. Ben-Ari była gotowa wziąć na siebie główny impet rozwścieczonych wyców, aby chronić pozostałych. Wiedział, że niewielu oficerów by się na to zdobyło. Niejeden posłałby przodem żołnierzy najniższych rangą jako mięso armatnie, ale Ben-Ari wolała prowadzić swoich wojowników do boju, niż dowodzić nimi z tyłu. Porucznik uniosła karabin plazmowy, po czym zwróciła się do pozostałych.

– Jesteście moimi żołnierzami – powiedziała. – Wielu z was sama szkoliłam. Jesteście moimi przyjaciółmi. Moją rodziną. Wszyscy jesteście wojownikami. Dzięki wam czuję się dumna z bycia człowiekiem. Szyk mojąszowy. Gotowi?

Unieśli broń i odpowiedzieli wszyscy razem:

– Gotowi.

Z okrzykiem bojowym, Ben-Ari wpadła do pełnej obcych hali.

Marco i pozostali poszli w jej ślady.

Komora była okrągła, przestronna jak nawa kościoła i pełna biegających w te i we wte, rozwrzeszczanych stworzeń. Była to nowa odmiana *scolopendra titania*: również miały długie na trzy metry, osłonięte egzoszkieletem ciała uzbrojone w rzędy szponów, do tego jednak dochodziły skórzaste skrzydła, pozwalające im wzbić się w powietrze. Z sufitu zwisały napęczniałe, ociekające czymś worki ze skóry, rozciągnięte do rozmiarów wielkiej pufy. Skóra była półprzezroczysta i widać przez nią było brunatnoczerwoną ciecz. Kilka wyców unosiło się pod tymi ogromnymi bukłakami jak kolibry, spijając płyn przez otwór znajdujący się pośrodku każdego worka. Kiedy Marco przyjrzał się bliżej, poczuł się, jakby miał zaraz zwymiotować albo zemdleć. Zbiorniki z płynnym pokarmem okazały się *ludźmi*. Ich kończyny były przyklejone do sufitu, a usta wciąż rozwarte w krzyku. Ich brzuchy, rozdęte do przerażających rozmiarów, pełne były miodu, który wijce wysysały przez pępek. Jak u mrówek, więźniowie zostali wykorzystani jako słoje z miodem, żywe spiżarnie przytwierdzone do sufitu, w męczarniach dostarczające pożywienia głodnym wijcom.

„Piekło – pomyślał Marco. – Piekło. Piekło”.

Idąca na czele Ben-Ari wystrzeliła z broni plazmowej, przecierając drogę naprzód. Za jej plecami pozostali – siedmioro żołnierzy i android – otwarli ogień w szyku moździerzy, który poznali na szkoleniu: czworo strzelało na lewo, czworo na prawo, a morze wrogów rozstępowało się wokół nich. Krzyczeli. Płakali. Wszyscy ujrzeli już makabryczny widok. Wszyscy dygotali z nienawiści i strachu. Wszyscy zabijali.

– Powybijajcie wszystkie! – krzyczała Addy. Łzy spływały jej po policzkach. – Te chore skurwiele! Zabijcie je wszystkie!

Pociski śpiewały. Wjce leciały w ich stronę i spadały, roztrzaskując się o podłoże. Worki z płynem w górze pękały, więźniowie umierali na suficie, spadał deszcz miodu. Kolejne wjce odrywały się od ścian, wychodziły z dziur w ziemi. Dziesiątki. Setki. Z bzyzieniem przelatywały przez komorę, chlastając szponami. Jeden pocharatał nogę Singha; sierżant ryknął z bólu i pokuśtykał przed siebie, strzelając w trybie automatycznym. Drzwi przed nimi blokowało więcej wjców. Jeden ciął Bestię w bok, a umięśniony żołnierz zawył i upadł, po czym podniósł się z powrotem. Marco został ranny w ramię. Szrama paliła od trucizny; jęknął i pobiegł naprzód ze łzami bólu w oczach.

– Jest ich za dużo! – zawołał Elvis.

– Kemi, do mnie! – krzyknęła Ben-Ari. – Plazma przed siebie, wypalimy przejście do tunelu!

Dwie bronie plazmowe – pistolet strzelający cienkim promieniem oraz karabin plujący strumieniem ognia – oczyściły im drogę pośród rzezi. Żołnierze biegli za oficerem i kadetką, a Kapral Kikucik podążał ich śladem, szczekając jak oszalały. Wbiegali już do tunelu, ale wjce zbierały się, razem opadając w ich stronę. Marco odwrócił się na pięcie i wystrzelił serię pocisków, tyłem wycofując się do tunelu.

– Lecą za nami! – zawołał. – Pospieszcie się!

Elvis i Lailani wbiegli do tunelu za nim; w komorze pozostał już tylko Bestia. Olbrzym utykał, a po chwili znów upadł, znów dosięgły go szpony wjców. Wstał i pokuśtykał przed siebie, podczas gdy obcy nacierali na niego ze wszystkich stron.

– No już, Bestio! – zawołał Marco z wejścia do tunelu. Strzelił ponad głową Rosjanina, trafiając wjca.

Bestia krwawił, spływał potem, ledwie był w stanie iść, ale wciąż dawał radę człapać przed siebie, strzelając na wszystkie strony. Kiedy dotarł do przejścia, zatrzymał się i spojrzał Marco w oczy.

– Idź, przyjacielu – powiedział. – Uciekaj.

– Bestio, no chodź! – odparł Marco. – Tutaj, do tunelu!

Ale olbrzym odwrócił się plecami do niego i pozostałych. Stał w wylocie tunelu, blokując go swoim potężnym ciałem. Wjce w komorze leciały w jego stronę; Bestia zawył i otworzył ogień, opróżnił magazynek, załadował następny i znów zasypał wroga pociskami.

Wijce dorwały go. Chlusnęła krew.

– Bestio! – krzyknął Elvis zza pleców Marco, stojąc w tunelu z szeroko otwartymi oczami.

– Bestio, cholera jasna, włącz do tunelu! – zawołała Addy. – Co ty wyprawiasz?

– Zatrzymuje wijce – odparł Marco ze łzami w oczach. – Żebyśmy mogli uciec.

– Dalej, żołnierze! – zawołała Ben-Ari z głębi tunelu. – Ruszajcie za mną, w tej chwili!

Ale jak Marco miał uciec? Jak mógł zostawić swojego przyjaciela? Bestia wciąż stał w przejściu, strzelając, a wijce padały przed nim, cięły go szponami, gryzły.

– Uciekajcie! – krzyknął Bestia. – Uciekajcie, przyjaciele! – Ryknął z bólu, trysnęła krew.

– Dla Borysa! Dla Rosji! Dla Ziemi!

Olbrzym upadł na kolana z połamanymi nogami. Upuścił broń. Odpiął od pasa dwa granaty.

– Bestio! – krzyknął Elvis.

Marco pobiegł. Złapał Elvisa, pociągnął go do tyłu. Addy krzyczała, wyciągając ręce ku Bestii, ale pobiegła razem z nimi, i...

Tunel zatrzęsł się, gdy granaty eksplodowały. Sufit pękł, posypały się odłamki kamienia. Wybuchło więcej granatów i sufit groty zawalił się na wrzeszczące wijce, wzbijając chmury pyłu. Żołnierze biegli, podczas gdy kopalnia drżała w posadach, pył sypał się na nich, a wijce ginęły, aż w końcu trzęsienie ustało.

Marco obejrzał się za siebie i zobaczył tylko stertę kamieni. Komora pełna wijców zniknęła.

Elvis osunął się na kolana.

– Bestia! – krzyczał, szarpiąc za głazy, próbując odkopać spod nich ścieżkę. – Bestia!

– Już go nie ma, Elvis – powiedział Marco zduszonym głosem. – Zginął.

Elvis spuścił głowę, wstrząsany szlochem. Marco objął go. Pozostali otoczyli ich kołem; mieli łzy w oczach.

– Do diabła z tym miejscem – rzucił Elvis drżącym głosem. Oczy miał zaczerwienione. – Do diabła z tym cholernym księżycem. Do diabła z tą wojną. Do diabła z wijcami. Do diabła z tym wszystkim. – Zaczął walić pięściami w głazy, najpierw agresywnie, zdzierając sobie ręce do krwi, a potem słabiej, coraz słabiej. – Bestia... Mój przyjaciel...

– Chodź, Elvis. – Marco ostrożnie pomógł mu wstać. – Musimy iść dalej.

Żołnierze ruszyli przed siebie w milczeniu, aż dotarli do komory, w której dwa wijce mieszały w kadzi lepłą wydzielinę. Dysząc, Elvis uniósł broń i wypalił w trybie automatycznym, w kilka sekund opróżniając magazynek, załadował nowy, potem jeszcze jeden, nie przestawał strzelać nawet, gdy zabrakło mu naboju, mimo że wijce leżały już martwe.

– Zdychajcie! – wrzeszczał. – Zdychajcie! Zdychajcie!

– Szeregowy Ray! – powiedziała Ben-Ari, podchodząc do niego. – Szeregowy Ray,

wystarczy! Spójrz na mnie. Spójrz na mnie!

Elvis odwrócił się do swojej oficer, blady i drżący. Pozwolił, aby karabin wyslizgnął mu się z palców.

– Nienawidzę ich – powiedział łamiącym się głosem. – Tak strasznie ich nienawidzę. Chcę wracać do domu. Nie chcę już nikogo tracić. Dlaczego oni wszyscy muszą umierać? Dlaczego wszyscy mnie opuszczają? Chcę do domu, pani porucznik. Chcę tylko wrócić do domu.

Marco spodziewał się, że Ben-Ari upomni szeregowca, uderzy go w twarz, krzyknie, żeby wziął się w garść. Zamiast tego objęła go, mocno przytulając. Elvis miał tylko osiemnaście lat, a Ben-Ari niewiele więcej, jednak pocieszała go jak matka uspokajająca dziecko.

– Zaprowadzę was do domu – powiedziała. – Obiecuję. – Spojrzała ponad ramieniem Elvisa na pozostałych. – Ja wybrałam was wszystkich do tej misji. Ja was tu sprowadziłam. I obiecuję wam, przysięgam, że zrobię co w mojej mocy, aby zabrać was do domu.

– Bestia też tak myślał – odparł Elvis ze spuszczoną głową. – I Diaz. Wszyscy tak myśleli. Że wrócimy do domu. Ale nie ma żadnego domu. Nie ma żadnej nadziei.

– Zawsze jest jakaś nadzieja – stwierdziła Ben-Ari. – Nauczyłam się tego od mojej rodziny, mojego kraju, moich żołnierzy. Póki życia, póty nadziei.

Elvis jeszcze niżej spuścił głowę.

– Był moim przyjacielem. Moim najlepszym przyjacielem.

Marco podszedł i objął go. Dołączyła do nich Addy, potem Lailani, a w końcu cała reszta. Stali razem pośrodku komory, osiem zagubionych dusz splecionych w uścisku. Marco chciałby, żeby byli silniejsi. Żeby byli jak ci wojownicy w starych filmach akcji, twardzi, nieustępliwi, zdolni walczyć i walczyć nie roniąc ani jednej łzy, beznamiętni, rzucający grepsami pomiędzy jednym zarżniętym wrogiem a drugim. Ale Marco nie był takim wojownikiem, ani żadne z pozostałych – nawet Addy, nawet Ben-Ari, być może nikt w całym wojsku. Byli dzieciakami, niczym więcej. Dzieciakami, na które w domu czekały rodziny. Dzieciakami wystraszonymi i błędzącymi w ciemnościach, pośród wojny, która je przerastała. Dzieciakami wyrwanymi z domów i wcielonymi do wojska, rzuconymi w głąb kosmosu, gdzie czaiła się groza.

– Jesteśmy tylko dzieciakami – powiedział cicho. – Nie powinno nas tu być. Nie jesteśmy odważni. Nie jesteśmy silni. Jesteśmy tylko dziećmi rzuconymi daleko od domu. Ale tak samo było ze wszystkimi żołnierzami na wszystkich wojnach. Kiedy to niby wojownicy byli potężni, nie znali strachu, potrafili zabijać, tracić przyjaciół i znosić ból bez mrugnienia powieką? Na wojnach zawsze walczyły dzieci – dzieci wyrwane z domów. Tak było, kiedy miliony chłopców, czasem nawet trzynastoletnich, walczyły w drugiej wojnie światowej. Tak było, kiedy tysiąc lat wcześniej chłopców wysyłano na krucjaty. Tak było pięćdziesiąt lat temu, kiedy wijce wylądowały po raz pierwszy, kiedy wcielano do wojska każdego, kto ukończył piętnaście lat i posyłano na pewną śmierć. Jesteśmy zagubieni. Przerażeni.

Jesteśmy zbyt młodzi, zbyt słabi na to wszystko. Jesteśmy żołnierzami, takimi, jak wszyscy żołnierze przed nami. – Pozostali wpatrywali się w niego ze śladami łez na policzkach. Marco odetchnął, drżąc. – Ale wszyscy tamci żołnierza parli naprzód. Wlekli się, brodząc w gnoju i śmierci, pozostawiając za sobą poległych i umierających przyjaciół, bo wierzyli, że świat może znów być dobry. Może nie dla nich, nie dla tych, którzy walczyli i postradali swoje dusze. Ale może dla tych, którzy przyjdą po nich. Lata świetlne dzielą nas od domu. Jesteśmy uwięzieni pod ziemią. Nie wiemy, czy nasz statek jeszcze kiedykolwiek poleci, a nawet czy przetrwamy nadchodzącą noc. Ale ja wierzę, że świat, że cały kosmos może znów stać się dobry. Dlatego będziemy iść dalej. Dla tych, których utraciliśmy, i dla tych, którzy wciąż żyją.

Pozostali skinęli głowami. Addy uśmiechnęła się przez łzy i wzięła go za rękę, a potem ruszyli dalej przez kopalnię. Ben-Ari. Singh. Osiris. Lailani. Kemi. Addy. Elvis. Marco. Ośmioro przyjaciół, ośmioro żołnierzy, którzy utracili kolejnego towarzysza.



ROZDZIAŁ 19

Szli tunelami, gdy nagle Kapral Kikucik zaczął węszyć.

– Patrzcie – powiedziała Addy, wskazując na teriera. – Spójrzcie na jego nos! Poczul coś.

– On stale coś czuje – odparł Elvis. – Strasznie tu śmierdzi. Dlatego muszę nosić maskę gazową.

Tunele były tu węższe, mroczniejsze i zimniejsze. Trochę wcześniej mijali znak informujący, że znajdują się na głębokości dziesięciu kilometrów – to pół długości Manhattanu – a od tamtej pory droga opadała tylko jeszcze niżej. Momentami trudno było rozpoznać, czy szli przez tunele wyrzeźbione ludzką ręką, naturalne jaskinie, czy może drogi wryte w skałę przez wijce. Lepka wydzielina kosmitów pokrywała ściany, a w powietrzu unosił się ich odór. Elvis miał rację. Strasznie tu śmierdziało, a Kapral Kikucik wciąż znajdował sobie coś do obwąchania.

– Spójrzcie na niego. – Addy wpatrywała się w teriera. – Nigdy tak nie węszy. Wpadł na jakiś trop. Patrzcie na jego nos. Rusza się tak, jakby zaraz miał mu odpaść. – Przyklęła i pogłaskała psa. – Co wywąchałeś, pieseczku?

Kapral Kikucik zamerdał skrawkiem ogona i puścił się biegiem. Wszyscy podążyli za nim.

– Nie tędy droga – wyszeptała Kemi, idąc z kocem owiniętym wokół ramion. – Musimy zejść niżej, żeby znaleźć serce.

Ale pies gnał przed siebie, a Addy pędziła za nim. Pozostali niechętnie ruszyli ich śladem. Kikucik poprowadził ich tunelem odbiegającym od torów, zakończonym drzwiami. Zaczął je drapać i węszyć przed progiem, machając łapkami, jakby próbował przecisnąć się przez szparę.

Marco i Elvis unieśli broń, gotowi do strzału, a Addy kopniakiem wyważyła drzwi. Wpadli do środka... i zamarli.

– O mój Boże – wyszeptała Addy. – O Boże. O Boże.

Elvis osunął się na kolana ze łzami w oczach. Głos mu drżał.

– Ja pierdołę.

Marco przez dłuższą chwilę wpatrywał się, oniemiały.

– To... takie piękne.

Trafili do kuchni. Kuchni pełnej jedzenia. Prawdziwego jedzenia. Nie puszek z mieloną. Nie racji żywnościowych. Nie szarej brei zrobionej z proszku rozmieszanego z wodą. Na półkach stały puszki kukurydzy, groszku, zielonej fasolki i grzybów oraz słoiki z przetworami – dżem jagodowy, truskawkowy i jabłkowy. Zamrażarki zawierały prawdziwe mięso – steki, mieloną wołowinę, skrzydełka kurczaka – wciąż zamrożone i nadające się do jedzenia. Leżały tu torby mąki, suchego makaronu, bułki tartej, ryżu. To było ziemskie jedzenie, i wyglądało lepiej niż wszystko, co Marco jadł, odkąd parę miesięcy temu wstąpił do SOL.

Marco chciał dalej iść przez kopalnie, znaleźć serce i odlecieć z tej skały, ale burczało mu w brzuchu. Odkąd trzy dni temu zeszli pod ziemię, nie miał w ustach nic oprócz racji. Wszyscy żołnierze spojrzeli na Ben-Ari.

– Pani oficer – zaczęła Addy – Kikucik bardzo chciałby zrobić sobie przerwę.

– Potrzebuję kukurydzy! – oznajmił Elvis, śliniąc się i zerkając na puszki.

– Chyba widzę tam pudełko makaronu z serem! – powiedziała Addy.

– Krakersy i dżem! – dodała Lailani, oblizując wargi.

Zanim porucznik Ben-Ari zdążyła odpowiedzieć, sierżant Singh podszedł do szafek, odwrócił się twarzą do żołnierzy i skrzyżował ramiona na piersi.

– Nikt nie będzie jadł kukurydzy z puszki, makaronu z serem ani krakersów z dżemem. – Wojownik w turbanie obrzucił ich groźnym spojrzeniem.

– Ale, ale... – zaczęli wszyscy na raz.

– Dosyć! – zagrzmiął brodaty sierżant, łapiąc za rękę z wiszącego mu u pasa zakrzywionego noża, tradycyjnej broni Sikhów. – Nie zjecie żadnej z tych rzeczy, bo ja będę gotował.

Wszyscy zaczęli wiwatować, a porucznik Ben-Ari westchnęła.

– W porządku! – powiedziała. – Ale wejścia ma przez cały czas pilnować dwoje żołnierzy. Kikucik się nie liczy.

Za drzwiami czaiła się groza godna samego piekła, chmara potwornych obcych i wypaczonych, udreńczonych stworzeń, koszmarna kraina śmierci i zła. Ale tutaj, chociaż na chwilę, żołnierze stworzyli sobie zaciszny kąt. Lailani znalazła w szafce świeczki i porozstawiała je zapalone w kuchni, dzięki czemu żołnierze mogli wyłączyć latarki. Elvis usiadł na krześle, wyciągnął nogi przed siebie i zaczął śpiewać kawałki rockabilly, a Addy wkrótce do niego dołączyła. Singh również nucił, szykując posiłek – gotując wodę, rozmrażając kurczaka, a potem smażąc go w panierce z bułki tartej i mąki na kuchence ogrzewanej butlą gazową. Sierżant otworzył puszki pomidorów, groszku i ciecierzycy, dodał przypraw, skosztował, pokiwał głową, przyprawił jeszcze trochę. Ugotował ryż w garnku, a nawet upiekł ciasto na deser, mieszając mąkę z mlekiem i czekoladą w proszku, olejem oraz cukrem, na wierzch kładąc dżem jagodowy. Kuchnię wypełniły tak apetyczne zapachy,

że Singh co chwila musiał rzucać podekscytowanemu Kikucikowi coś na ząb.

W końcu uczta była gotowa. Singh nakrył do stołu i wszyscy siedli do posiłku – ranni i posiniaczeni, pokryci kurzem i krwią, wciąż w hełmach na głowie i z bronią w ręku, z duszami roztrzaskanymi na kawałki, ale też głodni. Głodni jedzenia, ale przede wszystkim normalności, towarzystwa, chwili wytchnienia od strachu, smutku i straty.

– Wygląda cudownie, dowódcu – powiedział Marco do Singha.

– Pomagałam. – Addy uśmiechnęła się promiennie.

Singh również się uśmiechnął. Zdjął hełm, odsłaniając zielony wojskowy turban. Amulet ze znakiem Khanda, symbol jego wiary, lśnił mu na piersi.

– Zanim zaczniemy jeść, czy mogę zmówić modlitwę?

– Myślę, że w takim miejscu modlitwa wszystkim nam się przyda – odparła cicho Ben-Ari.

Wszyscy chwycili się za ręce wokół stołu – nawet Osiris, która usiadła z nimi, choć nie potrzebowała pożywienia. Singh spuścił głowę, zamknął oczy i po cichu zaintonował jakąś pieśń w obcym języku. Marco nie rozumiał słów, ale wyobrażał sobie, że to modlitwa o pokój, o zbawienie od zła, o to, by mrok wypełniła świętość.

Gdy wreszcie modlitwa dobiegła końca, Ben-Ari zapytała:

– Czy będziecie mieć coś przeciwko, jeśli ja też się pomodłę?

Porucznik wyciągnęła spod koszuli wisiołek z Gwiazdą Dawida i również odśpiewała obcojęzyczną modlitwę. Tych słów Marco także nie rozumiał, ale dodały mu otuchy. Pobrzmiewało w nich dobro, nadzieja i miłość. Marco nie był religijny i nie wiedział, czy jacyś bogowie ich słuchają, ale w jedno wierzył – w dobroć, którą nosili w sobie Singh i Ben-Ari.

– Czy mogę? – zapytała teraz Lailani, po czym również zmówiła modlitwę z zamkniętymi oczami, a następnie przeżegnała się i skinęła głową. Oczy miała wilgotne. Zresztą nie tylko ona. Wszyscy siedzieli jak urzeczeni, jeśli nie aspektem duchowym, to poczuciem wspólnoty i spokoju, nawet tutaj, pośrodku piekła.

Addy odezwała się cichym głosem:

– Sierżant Singh zmówił modlitwę Sikhów, Ben-Ari żydowską, a Lailani katolicką. Czy mogę dodać od siebie parę świętych słów? – Wstała i odchrząknęła. – Rabadabada, szama na sto dwa. Dzięki, Boże!

Wszyscy jęknęli, a Elvis rzucił w nią pustą puszką.

– Okaż trochę szacunku! – powiedział. – Mówi się: dobre mięso, dobra woda, dobry Boże, czasu szkoda!

To wywołało jeszcze więcej jęków.

– Jedzmy już – zgodził się Marco.

Tak zrobili.

Posiłek był przepyszny; mięso smakowało zaskakująco dobrze jak na coś, co tajało

w kopalnianej zamrażarce, sos był gęsty i kremowy. Na zewnątrz – tuż za drzwiami, zaledwie metr czy dwa od nich – rozpościerała się kraina pełna grozy i, nawet jeżdżąc, słyszeli stukot i szuranie przebiegających tunelami wjiców. Rozmawiali i śmiali się na tyle głośno, żeby zagłuszyć te odgłosy. Osiris sypała kiepskimi żartami, a oni wybuchali śmiechem, co tylko zachęcało ją, aby opowiadać kolejne.

– Sierzancie – Marco spojrzął na Singha – gdzie się pan nauczył tak gotować?

– W domu – odparł sierżant. – Gotowałem dla żony i córki.

– Bez zdjęć nie uwierzę – powiedział Elvis.

Singh wyciągnął z portfela potargane zdjęcie. Przedstawiało uśmiechniętą kobietę w sari trzymającą w ramionach małe dziecko.

– Są piękne – stwierdził Marco, po czym zmarszczył brwi. – Ale sierzancie... kiedy pan zdążył? Do wojska idzie się w wieku osiemnastu lat. Ożenił się pan jako nastolatek? Czy to część waszej kultury?

Singh pokręcił głową z uśmiechem.

– Nie, nie jako nastolatek. Miałem wtedy dwadzieścia trzy lata, a do wojska wstąpiłem dopiero, kiedy skończyłem dwadzieścia sześć. Teraz mam trzydzieści.

– Dwadzieścia sześć! – Addy odetchnęła głęboko z wrażenia. – Jak do diabła udało się panu unikać tej zaszrannej służby przez osiem lat? – Zagwizdała. – Musiał się pan cholernie dobrze ukrywać.

W uśmiech Singha wkraść się smutek.

– Jeśli można uznać leżenie w szpitalnym łóżku za ukrywanie się. – Na te słowa wszyscy umilkli, a Singh ciągnął ściszone głosem: – Zachorowałem na raka zaledwie kilka miesięcy przed wcieleniem do wojska. Miałem siedemnaście lat i strasznie się bałem, że umrę. Przez dwa lata walczyłem z chorobą. Gdy już udało mi się ją pokonać, cóż... odpuścili mi. Powiedzieli, że nie muszę w ogóle wstępować do SOL. Tak więc trochę czasu spędziłem pracując w fabryce mięsa, pakując pastrami i parówki, a nawet mielonkę. Ożeniłem się. Urodziło mi się dziecko. Kiedy moja córka skończyła trzy lata – to było cztery lata temu – poszedłem do najbliższej bazy wojskowej i powiedziałem, że chcę odbyć służbę.

– Co pan zrobił? – Elvis rozdziawił usta i wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć. Zaczął się kztusić jedzeniem, aż Addy klepnęła go w plecy i uwolniła kęs, który utknął mu w gardle.

– Jestem skłonny zgodzić się z Elvisem – stwierdził Marco. – Skoro dali panu spokój, mógł pan tego wszystkiego uniknąć, sierzancie. Mógłby pan w tej chwili gotować dla swojej rodziny.

Singh uśmiechnął się.

– Ja właśnie gotuję dla swojej rodziny.

– Ojej, jest taki słodki, kiedy na nas nie krzyczy – stwierdziła Addy.

– Nigdy nie przepadałem za krzykiem na kogośkolwiek – odparł Singh. – To była część mojej pracy w Forcie Dżamila. Wyszkolić was. Przygotować do bitwy. Widzicie, zanim

wstąpiłem do wojska, straciłem zbyt wielu przyjaciół, widziałem zbyt wiele śmierci. Nie mogłem znieść świadomości, że moja córka dorasta w takim świecie, świecie terroryzowanym przez wijce. Wiedziałem, że muszę zrobić, co do mnie należy. Zaciągnąłem się więc. Walczyłem. Uczyłem. Teraz znowu walczę, z nową rodziną u boku. Spędziłem w wojsku już cztery lata; za rok wrócę do domu, do mojej pięknej żony i mojej pięknej córki, wiedząc, że uczyniłem świat trochę bezpieczniejszym dla nich obu.

– I tak myślę, że jest pan nienormalny – stwierdził Elvis. – Z całym szacunkiem, dowódco.

Singh przytaknął.

– Pewnie masz rację, ale kto w tym wojsku jest normalny?

Zgłosił się na ochotnika. Marco ledwo mieściło się to w głowie. On sam został wcielony do wojska; gdyby odmówił, spędziłby lata w więziennej celi. Nienawidził służby wojskowej. Nienawidził każdej spędzonej tu sekundy. Z trudem przychodziło mu wyobrażenie sobie, jakby to było podejść do bazy wojskowej, odrzucić zwolnienie komisji lekarskiej i zgłosić gotowość do walki – zwłaszcza mając żonę i dziecko.

– Sierzancie – powiedział – przepraszam za język, ale naprawdę ma pan jaja.

Addy zatchnęła się.

– Poeta zaklął! Poeta zaklął!

– „Jaja” to nie przekleństwo – zaprotestował Marco.

– Jak na ciebie owszem! – Addy podskakiwała na krześle. – O jejku jejku, chyba w końcu sprowadziliśmy go na złą drogę.

– Ja też zaciągnęłam się z własnej woli – powiedziała cicho Lailani.

Wszyscy zwrócili się ku niej. Elvis wycelował w nią łyżką.

– Jesteś nienormalna. Wszyscy jesteście nienormalni.

Lailani pokręciła głową.

– Wcale nie. To znaczy tak, ale nie dlatego, że wstąpiłam do wojska. Moje wcześniejsze życie... – Spuściła głowę. – To w ogóle nie było życie. Nie było mi wiele lepiej niż w tych tunelach. Niektóre noce spędzałam śpiąc przy torach kolejowych w slumsach Manili, z jednym okiem otwartym, żeby wypatrywać złodziei i gwałcicieli. Inne przesypiałam za burdelami, budząc się, ilekroć złapał mnie jakiś facet. Dnie spędzałam w uliczkach za fast foodami, grzebiąc w kubłach na śmieci w poszukiwaniu kości kurczaka. Obierałam z nich resztki mięsa, podsmażałam je, zamykałam oczy i zmuszałam się, żeby je przełknąć, nieraz po to, żeby później je wyrzygać, bo mięso było zepsute. – Spojrzała w swój talerz z jedzeniem. – Taki posiłek? Do diabła, nawet mielonka ze szkolenia była dla mnie ucztą. – Spojrzała na Singha. – Pańska córka ma dużo szczęścia, sierzancie. Moja matka była dziecięcą prostytutką, która umarła z głodu, kiedy miałam dziesięć lat. Do tej pory nie wiem, kim był mój ojciec. Podobno amerykańskim żołnierzem, ale równie dobrze mógł być bezdomnym pijakiem, który zapłacił mojej matce narkotykami. Więc owszem, jestem trochę

nienormalna. Uwielbiam wojsko. Strasznie mi się tu podoba. Mam jedzenie, dach nad głową, a co najważniejsze, mam tu rodzinę. – Obiegła wszystkim wzrokiem. – Ludzi, których kocham.

Marco, który siedział koło niej, położył jej dłoń na ramieniu. Addy, siedząca po jej drugiej stronie, przytuliła ją i ucałowała w policzek.

– My też cię kochamy, Mini – powiedziała.

Marco odwrócił się, by spojrzeć na Kemi. Siedziała u jego drugiego boku, spoglądając na niego łagodnie. Sięgnął pod stołem i wziął ją za rękę. Nie protestowała. Oparła głowę na jego ramieniu, muskając lokami jego policzek.

Singh pokroił ciasto i podał żołnierzom kawałki. Wszyscy zaczęli pałaszować, z wyjątkiem Elvisa, który spuścił głowę, wpatrując się w deser.

– Chciałbym tylko, żeby inni byli tu z nami – powiedział. – Reszta naszej rodziny. Bestia. Jaskiniowiec. Szeryf. Diaz. Do licha, tęsknię nawet za Pinkym i Chihuahua. Straciliśmy tylu ludzi. Pozostała po nich taka pustka.

Wszyscy przerwali jedzenie. Singh wstał z miejsca, znalazł w szafce butelkę soku z winogron i nalał go do styropianowych kubków.

– Za utraconą rodzinę – powiedział, wznosząc toast.

– Za Bestię! – dodał Elvis. – Za Jaskiniowca. Za Szeryfa. Za Diaza. Za kapitan Petty. Za wszystkich, których straciliśmy. Na zawsze pozostaną w naszej pamięci. Zawsze będziemy walczyć dla nich.

Napili się, a gdy słodki sok spływał mu do gardła, Marco zaczął się zastanawiać, ilu przyjaciół straci jeszcze na tej wojnie – i jak długo on sam utrzyma się przy życiu.

Ben-Ari po raz drugi uniosła kubek.

– Za życie! – powiedziała.

– Za życie! – powtórzyli za nią. Tutaj, w tym pełnym śmierci ulu, ostatni ocalali z masakry, wśród targanego płomieniami kosmosu, gdzie ludzkość podnosi się ze zgliszcz, wzniesli toast – za życie!

Gdy ich kubki były już puste, wbili wzrok w drzwi. Rozmowa urwała się i słyszeli teraz stwory przemierzające się po kopalni.

– Jesteśmy blisko – powiedziała Kemi z zamkniętymi oczami. – Tak wiele razy je widziałam. Czuję, jak pulsuje. Wzywa nas. Serce.

Marco ruszył w stronę drzwi.

– No to chodźmy po nie.

Żadne z nich nie chciało opuszczać tego schronienia. Chcieli spać, śmiać się, wspominać, zjeść jeszcze jeden posiłek, nie wracać tak prędko do koszmaru.

„Miejmy to już za sobą – pomyślał Marco. – Dość już tego miejsca pełnego śmierci. Wracajmy do życia. Do życia”.

Otworzył drzwi i na nowo wkroczyli do labiryntu.



ROZDZIAŁ 20

Tunele stały się tak wąskie, że musieli iść najpierw pochyleni, a potem na czworakach; wciąż opadały w dół, kręte i cuchnące. Kemi czołgała się na przedzie, a Marco podążał za nią z karabinem przewieszonym przez plecy, objającym się o sufit. Czasem przejście zwężało się tak, że ledwie byli w stanie się przecisnąć. Kiedy tak pęzli przed siebie, Marco czuł się, jakby sam był wijcem, ryjącym w ziemi insektem przemierzającym ul. Czasami tunel rozwidlał się, ale Kemi zawsze wiedziała, która droga była właściwa. Tu nie było już torów ani żadnych innych śladów obecności ludzi. Tych ścieżek nie wydrążyli górnicy.

„Tunele wijców” – pomyślał Marco.

– Kemi, jesteś pewna, że znasz drogę? – zapytał.

Czołgająca się przed nim Kemi spojrzała przez ramię.

– Widziałam te tunele. Wszystkie. Są wyryte w moim umyśle. Przemierzałam te ścieżki dziesięć tysięcy razy w ciałach dziesięciu tysięcy stworzeń. Znam drogę. – Ruszyła dalej.

Przemieszczali się coraz głębiej, tunelem tak stromym, że chwilami Marco musiał napierać na ściany, żeby przyhamować i nie ześlizgnąć się prosto na Kemi. Wszędzie czuć było odór wijców, a ślady ich szponów znaczyły ściany. Czasem mijali nory prowadzące do komór wypełnionych stertami cuchnących wijczych odchodów, nabrzmiętymi workami z miodem, a nawet ciałami martwych wijców, powoli ćwiartowanymi przez te żywe. Każde pomieszczenie pełniło jakąś funkcję – latryny, spiżarni bądź krematorium. Same wijce, które tu mieszkały, różniły się od wojowników – mniejsze, często nie większe od psów stawonogi z długimi czułkami; na końcach odnóży miały zaczepy, a czasem pazury przeznaczone nie do walki, lecz do kopania w ziemi. Tutaj trudzili się robotnicy, służący i niewolnicy, drążąc tunele i komory, opiekując się młodymi, pożerając starych.

Żołnierze pęzli przed siebie, unikając stawonogów, aby nie marnować amunicji. Marco został już tylko jeden magazynek – zaledwie sześćdziesiąt naboń – i trzy granaty. Kilkoro z jego towarzyszy mogło oddać jeszcze jedynie trzydzieści lub dwadzieścia strzałów. Gdy naboń zabraknie, pozostaną im bagnety – żałośnie nieskuteczne nawet przeciwko martwym wijcom podpartym na kijach, a co do dopiero żywym bestiom. Co gorsza, kończyły im się baterie w latarkach. Z każdą godziną ich światło przygasało; niebawem latarka Marco

zaczęła migotać i musiał co chwilę w nią stukać, aby nie zgasła do końca.

– Daleko jeszcze? – zapytała Addy, która czołgała się za Marco. Wyciągnęła rękę, złapała go za tył spodni i zaczęła szarpać. – Daleko jeszcze, daleko jeszcze, daleko...

Kopnął ją w ramię.

– Cicho bądź, albo nie pójdziemy jeść do pizzerii.

Addy chwyciła go za kostkę.

– Proszę, tatusiu, proszę proszę proszę...

Przed nimi rozległo się syczenie.

Addy puściła go, a Marco sięgnął po nóż.

– Kemi? – szepnął.

Dziewczyna przed nim zastygła w bezruchu.

– Wijce! – odpowiedziała szeptem. – Zaraz. Nie. To coś mniejszego. Są tutaj. – Położyła się płasko na brzuchu. – Padnij!

W świetle latarki Marco zobaczył je w tunelu przed nimi. Wydłużone, szare stworzenia ze sterczącymi wąsikami, podobne raczej do rybików niż do skolopendr. Przypominały Marco sumy, które łowił kiedyś razem z dziadkiem. Wcześniej posuwał się naprzód na łokciach i kolanach, ale teraz położył się płasko na brzuchu, a stworzenia przemknęły nad nim, uczipione sufitu długimi, przypominającymi pióra odnóżami, ocierając się o jego plecy. Stwory miały rozmiary człowieka, a ich spłaszczone, miękkie ciała pokryte były meszkiem. Przeszła ich chyba z setka, wydając przy tym syczące dźwięki, brzmiące niemal jak ludzki szept. Marco nie miał pewności, jaka była ich rola w ulu. Na szczęście wkrótce minęły ich i zniknęły w oddali.

– Co za cieniasy – stwierdziła Addy, oglądając się za ostatnim odchodzącym kosmitą. – To pewnie takie wymoczkowate nerdy wśród wijców. Hej, Marco, może one też piszą powieści!

– Bardzo śmieszne, prawie jak żarty Osiris – odparł Marco, po czym ruszył dalej za Kemi.

Wczołgiwali się coraz głębiej i głębiej. Minęli komorę oddzieloną od nich podobną do okna, przejrzystą płytą. Marco dojrzał przez nią wielką górę wierzących się larw wijców. Starsze osobniki – pozbawieni ostrych szponów opiekunowie – wytaczały kule gnoju z położonego głębiej pomieszczenia, rozbijały je na kawałki i karmiły nimi młode. Małe stworzenia z apetytem zajadały się odchodami swoich rodziców.

– Faj, kupojady! – powiedziała Addy, zaglądając przez przejrzystą osłonę, i wydała dźwięk, jakby zbierało jej się na wymioty.

– Tak jak niektóre z ziemskich zwierząt – odparł Marco. – Właśnie w ten sposób golce karmią swoje młode.

– Dobra, jak już powybijamy wijce, możemy wytępić też golce – stwierdziła Addy.

Marco rozejrzał się i podrapał paznokciem w sufit.

– Wiesz, Addy, te tunele zostały chyba zbudowane z pomocą jakiejś zaprawy. Bardzo

przypomina mi ona to, co zjadają małe wijce.

Addy pozieleniała na twarzy.

– Muszę założyć maskę gazową.

– No, chodźcie – Kemi obejrzała się na nich przez ramię. – Pospieszcie się. Jesteśmy już blisko. Bardzo blisko. Za chwilę będziemy na miejscu.

Marco pozwolił sobie na odrobinę nadziei. Nie znaleźli pod ziemią żadnych ocalałych, nie licząc nieszczęsnych hybryd, ale wkrótce znajdą eterytowe serce, a wtedy będą mogli naprawić *Miyari*. Już niebawem wyniosą się z tego księżycyca i rozwalą to miejsce z orbity.

Kiedy tak czołgali się w mroku, latarka Marco zamrugała po raz ostatni, po czym zgasła na dobre. Latarka Kemi wciąż działała, więc podążał za jej łagodnym światłem. Za jego plecami latarka Addy również była bliska wyczerpania. Kiedy spojrzął za nią, zobaczył pozostałych – Ben-Ari, Singha, Osiris, a dalej już tylko cienie w słabym, przygasającym świetle. Pełzli przed siebie, teraz w szybszym tempie. Marco nie wiedział, jak ma im wystarczyć światła i amunicji na ucieczkę z kopalni – dotarcie tutaj zajęło im kilka dni – ale tym będą się martwić później.

Powietrze stawało się coraz cieplejsze, wręcz gorące. Otoczyła ich mdląco słodka woń miodu i krwi, zapach przejrzałych owoców i gnijącego na słońcu mięsa. Tunel wypełniła pomarańczowa poświata, stopniowo narastająca i przechodząca w żółć w miarę, jak posuwali się naprzód. Powietrze zdawało się pulsować, muskając Marco wilgotnymi falami, a kurz na ziemi wibrował. Marco czuł się jak pasożyt pełznący przez żyły jakiejś bestii w stronę jej bijącego serca.

Po dłuższym czasie tunel stał się bardziej przestronny i żołnierze znów mogli iść na nogach.

Źródło światła było przed nimi, a słodkawa woń nasiliła się, przyprawiając Marco o zawroty głowy. Wszyscy założyli maski gazowe i momentalnie oblali się potem. Zmierzali w stronę pomarańczowego światła, przypominającego blask paleniska odbity w bursztynie, i nawet z maską na twarzy Marco czuł zapach tego miejsca: krew, organy, ciało, seks, poród, miód, ocet, stawonogi, ludzie, rozkład, życie.

„To język – zdał sobie sprawę. – Zapachy to język, którym posługują się wijce”.

Przed nimi majaczyła brama, a za nią widać było wilgotne, pofałdowane ściany pulsującej komory. Nie, to nie brama. Wejście było organiczne i mięsiste jak szyjka macicy, dygotało, szeptało o skrywanym przez siebie życiu. Widać było tylko wąską szczelinę, jak między zaciągniętymi zasłonami, przejrzystymi i pełnymi żył.

Żołnierze zatrzymali się i spojrzeli po sobie.

– To tutaj – wyszeptała Kemi. Oczy miała szeroko otwarte i drżały jej ręce. – Jest za tą bramą. Zło. Zło strzegące serca. – Wciąż była ubrana w stare spodnie i koszulkę Addy, włosy miała pozlepiane błotem, a pistolet dygotał jej w dłoni. – Wzywa mnie. Boi się. Jest przerażona i taka okrutna.

Kemi drżała. Marco podszedł do niej i położył jej dłoń na plecach.

– Już dobrze, Kemi. Jesteśmy z tobą. Do tej pory udało nam się przetrwać. Cokolwiek jest tam w środku, zmierzmy się z tym. – Spojrzał na pozostałych. – Jestem gotowy.

Odwzajemnili spojrzenie. Porucznik Ben-Ari z kucykiem wystającym spod hełmu, w wyblakłym mundurze splamionym krwią wujców i karabinem plazmowym w rękach. Addy, wyższa od porucznik, z dłuższą bronią i zmrużonymi oczami, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, hokeistka, która potrafiła pobić dwa razy od siebie wyższego mężczyznę, gotowa do walki; najlepsza przyjaciółka Marco, zawsze u jego boku. Elvis, niski i smukły, chłopak, który tak wiele stracił – brata, narzeczoną, przyjaciół – który rozpoczął służbę śpiewając i tańcząc, ale potem pogrzyżył się w mroku, przesiąkł nim, stracił swój głos i wewnętrzne światło. Sierżant Amar Singh z hełmem założonym na turban, zakrzywionym ostrzem wiszącym u pasa i amuletem na szyi – podczas szkolenia budził w Marco lęk, potem jednak stał się dla niego mentorem, przyjacielem, podporą. Osiris o oczach jaśniejących niesamowitym blaskiem, z dziwnym uśmiechem na ustach, nagle sprawiająca wrażenie wygłodniałej, wprawnej łowczyni; maszyna o niezwykle sprawnym, wyrachowanym umyśle i sercu dziecka.

W końcu Marco spojrzał na Lailani i jego strach nieco zelżał. Lailani. Jego mała żołnierz. Kobieta złamana w środku. Skrzywdzona. Udręczona. Kobieta, która wycierpiała więcej, niż ktokolwiek zdawał sobie sprawę, nosząca w sobie gniew, smutek i desperację. Kobieta z bliznami na nadgarstkach, która wstąpiła do wojska, aby polec w boju, jednak do tej pory przetrwała razem z nim. Mierzyła go spojrzeniem ciemnych oczu o kształcie migdałów, a Marco przypominał sobie, jak ją poznał, jak w pierwszej chwili wziął ją za chłopca, jak kochał się z nią w namiocie i spał trzymając ją w objęciach. Kochał ją. Była w rozsypce i być może nigdy nie będzie w pełni jego, ale mimo to ją kochał i chciał walczyć w jej obronie, uzdrowić ją, uszczęśliwić – bez względu na to, jaka ciemność czaiła się przed nimi.

– Boję się – szepnęła Kemi.

Marco spojrzał na nią, potem na nich wszystkich, i odezwał się cicho:

– Pamiętam Ziemię. Tutaj, w ciemności, czasem trudno jest ją sobie przypomnieć, wyobrazić sobie, że ona naprawdę wciąż gdzieś tam jest. Ale pamiętam światło świec w bibliotece, szelest kartek, skrobanie mojego pióra o papier, smak herbaty i whisky mojego ojca. Pamiętam spacer po plaży, wiatr poruszający liśćmi klonu, wiosenne kwiaty, śnieg padający zimą i smak kawy. Tęsknię za kawą. Tęsknię za ojcem. Ale wy jesteście moją nową rodziną – każde z was. Cokolwiek czeka na nas w ciemności, nie mógłbym sobie wymarzyć lepszych towarzyszy. Chodźmy znaleźć to serce.

Elvis miał zaczerwienione oczy, a Ben-Ari skinęła głową z uśmiechem.

Addy zmierzwiła mu włosy.

– Niemądry Poeta – powiedziała.

– Bardziej poeta niż wojownik – stwierdził.

Addy pokręciła głową.

– Nie. Wojownik też. A teraz idziemy! Czas skopać im tyłki.

Podeszli bliżej mięsistej szpary. Marco zwrócił się do Ben-Ari.

– Pani oficer, czy mogę iść pierwszy?

Porucznik skinęła głową.

– Jestem tuż za tobą, Marco.

Wyciągnął ręce i zaczął odsuwać organiczne zasłony.

Ze środka w jednej chwili wypadły wijce.

Marco odskoczył, upadł na ziemię i wystrzelił.

Stwory wylewające się z pomieszczenia nie przypominały żadnych wijców, jakie od tej pory widział. Miały co prawda ciała skolopendr, ale ich głowy, z których sterczały luminescencyjne latarnie, przywodziły na myśl żabnice, drapieżniki z morskich głębin o zębach długich i ostrych jak sztylety. Wszystkie nosiły naszyjniki wykonane z gnijących rąk ludzkich niemowląt, ponure trofea swoich podbojów, a ludzkie kości, czaszki i pasy wyschniętej skóry pokrywały ich ciała niczym zbroje.

– Używają narzędzi! – powiedziała Osiris. – Fascynujące. Nie wiedziałam, że *scolopendra titania* to potrafią. Muszę zaktualizować bazy encyklopedii SOL!

Pozostali byli zbyt zajęci strzelaniem, żeby podzielić jej fascynację. Marco trafił jednego ze stworów, wybijając mu zęby. Obcy rzucił się na niego, pobrzękując strojem z kości i mięsa, i rozorał mu szponem nogę. Marco krzyknął, wepchnął lufę w szczerbatą paszczę stwora i wystrzelił. Głowa wijca eksplodowała, a reszta ciała upadła, sypiąc wokoło czaszkami i kośćmi.

Dookoła walczyli pozostali żołnierze. Singh zawył, raniony w policzek, i zaczął wymachiwać karabinem naokoło, trafiając lufą dwa wijce. Lailani zaparła się plecami o ścianę i z wrzaskiem wystrzeliwała jedną kulę za drugą. Ben-Ari i Kemi stały plecami do siebie; powietrze wokół nich wypełniał trzask plazmy, wijce płonęły.

Nadciągało coraz więcej wrogów odzianych w klekoczące pancerze z kości, gryząc i wrzeszcząc. Zęby jednego zaskrobały o hełm Ben-Ari, inny zatrzaskał paszczę na ramieniu Osiris i oderwał je szarpnięciem, odsłaniając obwody wewnętrzne. Wijce nie przestawały wyłaniać się z komory, potężne, wysokie na ponad trzy metry; wszędzie widać było tylko szpony, kły i ściekający z nich jad. Osiris upadła, a po niej Ben-Ari. Silny cios odrzucił Singha aż na ścianę.

– Śmierć i chwała! – zawołała Lailani, strzelając z karabinu, zanim kolejny cios powalił i ją.

– Nie – powiedział Elvis. – Nie! – Załadował swój ostatni magazynek. – Nie! Nie chcę już żadnej śmierci. Nigdy więcej!

Z krzykiem przełączył karabin na tryb automatyczny i wystrzelił. Posypał się grad kul, a za nim fragmenty kości. Wijce padały.

– Nie! – zawołał znów Elvis. Sięgnął pod cholewkę buta i wyciągnął kolejny magazynek.
– Nikt już nie zginie. – Strzelał raz za razem, rozrywając wijce na kawałki. Gdy zabrakło mu nabożów, zamocował bagnet; nie przestawał krzyczeć, a oczy mu płonęły. – Dość już straciłem. Wystarczy! Wystarczy!

Rzucił się na wijce, wywijając bagnetem. Trafił jednego w czaszkę. Zamachnął się znowu, rozcinając brzuch stwora. Pochylił się nad Singhiem, jakby chciał pomóc mu wstać, ale zamiast tego chwycił jego karabin i zaczął strzelać, powalając jeszcze więcej wijców. Kosmici umierali przed nim. Ostatni stwór zachybotał się, po czym runął ciężko na ziemię, a Elvis przebił bagnetem jego czaszkę.

Wokół leżały już tylko parujące ciała martwych wrogów.

Elvis splunął.

– Pieprzone wijce.

A potem zaczął płakać.

– Jasna cholera – szepnęła Addy. – Elvis to dzika bestia.

Marco podszedł do płaczącego chłopaka i objął go ramieniem.

– Wszystko w porządku?

Elvis skinął głową.

– Nienawidzę ich. Po prostu ich nienawidzę. Za to, co zrobiły z Bestią, z nami, z całym światem.

Marco wygrzebał z plecaka apteczkę i dłuższą chwilę spędził, opatrując innym rany. Wszyscy byli pokiereszowani, potrzebowali piekących zastrzyków z antidotum oraz dużej ilości bandaży, ale byli w stanie ustać na nogach. Wciąż byli zdolni do walki. Wszyscy zwrócili się w stronę mięsistego przejścia, z którego przedtem wyłoniły się wijce.

Marco odetchnął głęboko i przeszedł przez membranę, wkraczając do komory. Pozostali podążyli za nim.



ROZDZIAŁ 21

Wchodząc do pomieszczenia czuli się, jakby wkraczali do wnętrza macicy. Ściany były zaokrąglone i pokryte lepкими, czerwonymi membranami. Z sufitu zwieszało się mnóstwo skręconych, białych rur, dostarczających pożywienie istocie spoczywającej na środku komory – pulsującej, tęgiej, łapiącej z trudem chrapliwe oddechy. Królewskiej. Świętej. Czczonej.

– Królowa wjdców – stwierdził Marco.

Wszyscy stali, wpatrzeni.

Tutaj, w głębi ula, spędzała swoje życie, zbyt otyła, aby ruszyć się z miejsca. Jej kremowe ciało było wielkie jak cielsko wieloryba, pokryte pasami zgrubień, miękkie i drżące. Pulsowało, a z każdym drgnięciem królowa składała jajo z wiercąca się w środku larwą. Wydzielina ściekała na podłogę, cuchnąca, żółta i spieniona. Gdy tylko pojawiało się kolejne jajo, jeden z mniejszych, miększych wjdców, tych przypominających rybiki, unosił cenny skarb i zabierał go matce, wyślizgując się przez dziurę w suficie.

– Boże, jak ona cuchnie – powiedziała Addy. – Czuję to nawet przez maskę gazową. – Uniosła broń. – Upieczmy tę sukę.

Marco protestował wcześniej przeciwko zabijaniu larw, ale widząc przed sobą tę tłustą, dygoczącą istotę, nie znajdował w sercu ani odrobiny litości. To była kosmitka płodząca armię wjdców – armię, która zabijała jego przyjaciół. Takie właśnie armie spustoszyły świat, powyrzynały miliardy ludzi, zabiły jego matkę. Skinął głową i również uniósł karabin. Pozostali, wyglądający przy królowej jak figurki żołnierzyków ustawione obok zwłok kota, zrobili to samo.

Marco położył palec na spuście i wtedy usłyszał głos.

– Po... mocy...

Głos kobiety. Słaby. Pełen strachu.

Opuścił broń. Głos rozległ się znowu.

– Po... mocy...

Dochodził zza królowej. Marco ruszył w tamtą stronę ze zmarszczonymi brwiami, trzymając karabin przed sobą. Pozostali ruszyli za nim. Obeszli dookoła kremowe ciało

królowej, które wciąż składało kolejne jaja, jedno za drugim. Ściekała z niego wilgoć, tworząc kałuże u ich stóp.

– Pomocy...

Marco dotarł do końca potężnego odwłoka królowej, obszedł kilka ostatnich fałd jej ciała i zamarł.

Zapało mu dech.

Ciemność wokół zgęstniała.

Zaczęła go ogarniać panika. Był zlany potem, kręciło mu się w głowie, drżały mu ręce.

Królowa wijców miała tors, ramiona i głowę ludzkiej kobiety.

Wpatrywała się w nich wilgotnymi oczami. Poniżej żeber jej tułów przechodził w nabrzmiały odwłok wypełniający pomieszczenie.

– Pomóżcie mi – wyszeptała. – Skrzywdzili mojego męża. Skrzywdzili moje dzieci. Chyba nie żyją. Pomóżcie mi. Pomóżcie. – Łzy polały się jej po policzkach. – Co się ze mną stało?

Marco zobaczył plaketkę z nazwiskiem wciąż przyklepioną do tego, co zostało z jej koszuli. *Kara Lason, Inwentaryzacja.*

– Dobry Boże – szepnęła Ben-Ari, klękając obok kobiety i gładząc ją po włosach. – Już dobrze, Kara. Już wszystko dobrze. Jesteśmy tutaj. Pomożemy ci.

– Moje dzieci – odpowiedziała Kara szeptem. – Widzieliście je? Chyba zabiłam moją córkę. Trzymałam ją, próbowałam uciszyć. Polował na nas potwór. Chyba się udusiła. Widzieliście ją? Widzieliście moją córkę?

Łza spłynęła Ben-Ari po policzku.

– Jest już bezpieczna – wyszeptała porucznik, trzymając Karę za rękę. – Bezpieczna. Wszyscy są bezpieczni.

– Od jak dawna tu jestem? – zapytała Kara. – Nie mogę się ruszyć. Dlaczego nie mogę się ruszyć? – Spojrzała na ogromną, dygoczącą masę wyrastającą z jej ciała i wypełniającą komorę. – Co mi się stało?

– Musi tutaj być, odkąd wijce wylądowały – stwierdził Marco, po czym zwrócił się do androida. – Osiris, pamiętasz, jak odebraliśmy sygnał alarmowy na *Miyari*? Wiadomości nie podróżują w kosmosie szybciej niż w prędkością światła, a od tego układu dzieliły nas lata świetlne. Jak dawno został nadany tamten sygnał?

– Sprawdzam banki pamięci... – Android zastanowił się przez chwilę. – Cztery ziemskie lata, dwa miesiące, cztery dni i siedem godzin temu, panie.

– Jest tu od czterech lat. – Marco odetchnął powoli. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić trwania tak długo w tych męczarniach. – Nie. Nie, to niemożliwe. – Potrząsnął gwałtownie głową. – Przez ostatnie cztery lata musiałyby się tu zjawić jakieś statki, żeby przywieźć zapasy i odebrać eteryt. Jak to wszystko może się ciągnąć od czterech lat?

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli.

W końcu Ben-Ari wyszeptała:

– Wiedzieli.

Żołnierze zwrócili się w jej stronę.

– Pani oficer? – zapytał Marco.

– Wiedzieli – powtórzyła Ben-Ari, pobladła. – Chrysopoeia Corp. Może nawet naczelne dowództwo SOL. Wiedzieli, co się tu dzieje, i nic z tym nie zrobili. To nie mogło pozostać niezauważone przez cztery lata. Przypadkiem natknęliśmy się tu na coś, czego nie powinniśmy byli zobaczyć. – Porucznik spojrzała na królową, a potem znowu na swoich żołnierzy. – Słuchajcie... co się tutaj dzieje?

Lailani, która stała trochę dalej, teraz podbiegła i złapała Marco za ramię.

– Marco! – powiedziała. – Chodź, zobacz. – Pociągnęła go kawałek i wskazała na wierzch ciała królowej. – Widzisz?

Marco spojrział. Tak. Widział niebieską poświatę.

– Kolor eterytu – powiedział.

– Podsadź mnie – poprosiła Lailani. Przykląkł, a ona wskoczyła mu na ramiona. Kiedy wstał z powrotem, unosząc ją na barkach, pokiwała głową. – Widzę go, Marco! Widzę, jak pulsuje pod skórą. To musi być on. Eterytowy silnik. Urządzenie, które kiedyś dostarczało energię dla kopalni, teraz jest wewnątrz królowej, służy jej za drugie serce.

Zeskoczyła mu z ramion i zaczęła wspinać się po nabrzmiałym odwłoku królowej, to ześlizgując się, to odzyskując chwyt, aż w końcu wdrapała się na górę. Ociekające wilgocią ciało drżało pod nią. Podała Marco rękę. Kiedy wspinał się za nią, poczuł się jak dziecko na dmuchanym zamku i właśnie tutaj, w tej komnacie grozy, pośrodku kopalni pełnej potworów, nagle zaczął się śmiać – bolesnym, chorobliwym, cudownym śmiechem, od którego łzy pociekły mu z oczu. Co innego można zrobić w obliczu takiej udręki i przerażenia, niż wybuchnąć śmiechem?

Dotarł na górę razem z Lailani. Z jednej strony odwłok ciągnął się dalej, podzielony na niewyraźnie zarysowane pierścienie, wciąż wypluwając z siebie jaja; Marco czuł pod sobą wiele takich jaj, czekających, aż zostaną zniesione. Po drugiej stronie odwłok opadał, łącząc się z ludzką klatką piersiową Kary. A w tym miejscu, pomiędzy nim a Lailani, tuż pod skórą, coś świeciło na niebiesko. Marco dostrzegł niewyraźny zarys mechanicznego serca.

– To silnik! – zawołał do porucznik Ben-Ari. – Jest tutaj, pani oficer, umieszczony w jej ciele. Wijce musiały go tam wsadzić.

– Po co miałyby to robić? – zapytała Lailani.

– Może uważały, że eteryt doda królowej siły i płodności – stwierdził Marco. – Może czczą jego blask tak, jak starożytne ludzkie plemiona czciły kamienie szlachetne. Chyba dam radę je wyciąć. – Spojrział w dół na Ben-Ari. – Pani oficer?

Porucznik wciąż klęczała u boku Kary, trzymając ją za rękę, a pozostali żołnierze stali wokół niej. Z wilgotnymi oczami, Ben-Ari skinęła głową.

– Wytnij je. – Ścisnęła mocniej dłoń kobiety. – Może trochę zabołeć.

Marco dobył noża. Spojrzał na kształt pulsujący pod skórą, bladoniebiesko czarny, nie większy niż ludzkie serce.

„To tylko sen – pomyślał. – Tylko majaczenie w gorączce. Zostałem ranny w Forcie Dżamila. Śpię. Gorączkuję. To mi się śni”.

Wbił nóż w skórę.

Kara krzyknęła.

Rozciągnięty brzuch zadrżał. Marco pracował szybko, nacinając, wykrawając otwór, a w końcu sięgając ręką do środka. Tam, powyżej jaj, spoczywało serce – mechaniczne, wykute z metalu, z lśniącym kryształem eterytu widocznym przez szybkę. Zamiast metalowych rurek, do jego zaworów podłączone były organiczne przewody. Marco przeciął je, po czym wziął serce do rąk i wydobył je na zewnątrz.

– Mam! – oznajmił, wkładając serce do plecaka. – Opatrzę ranę.

Otworzył apteczkę, świadomy, że życie Kary to pasmo cierpień, ale wiedząc też, że nie może jej zabić, że nie ma prawa odebrać jej życia. Właśnie wyjmował bandaż, kiedy brzuchem wstrząsnęły drgawki i odwłok zaczął się zapadać. Marco zakołysał się; Lailani go przytrzymała. Z królowej jakby uchodziło powietrze. Przewrócili się i zjechali na dół, uderzając ciężko o podłogę. Pozbawione serca ciało królowej kurczyło się, wyrzucając z siebie ostatnie jaja i niknąc, oddzielając się od ludzkiego tułowia.

Marco podszedł do Kary. Kobieta leżała, trzymając Ben-Ari za rękę, a jej ciało kończyło się teraz pustym workiem. Podniosła zamglone spojrzenie na Marco.

– Dziękuję – wyszeptała.

Zamknęła oczy.

Przestała oddychać.

Żołnierze zebrali się dookoła, zakrwawieni, obandażowani, znużeni – ale ze zdobyczą w garści.

„Żegnaj, Karo Lason – pomyślał Marco. – Przepraszam, że nie mogliśmy cię uratować. Przepraszam”.

– Wiem, gdzie jest wyjście – powiedziała Kemi, wskazując na tunel po drugiej stronie pomieszczenia. – Tylko dwa kilometry stąd znajduje się inny szyb z windą. Tamtędy możemy wrócić do Corpus City, a potem na *Miyari*... i daleko, jak najdalej od tego przeklętego miejsca.

Sierżant Singh skinął głową.

– Tym razem ja pójdę przodem. Bateria w moje latarce jeszcze nie całkiem się rozładowała, a w karabinie wciąż mam trochę naboju. – Uniósł broń. – Wynośmy się stąd. Wracajmy do domu.

Żołnierze okrążyli jaja i ruszyli w stronę tunelu.

„Już po wszystkim – pomyślał Marco, podążając za swoim sierżantem. – Już po

wszystkim”.

– Zdrajcy! – rozległ się wrzask.

Sierżant Singh zatrzymał się w wejściu do tunelu.

Plama krwi rozlała się na jego plecach.

– Amar! – zawołała Ben-Ari.

Szpony uniosły sierżanta wysoko, rozerwały go na strzępy, wywlokły wnętrzności, po czym cisnęły nim o ziemię. Singh upadł, rozdarty na kawałki. Zginął, zanim zdążył krzyknąć.

Pozostali żołnierze unieśli broń, wpatrzeni przed siebie.

W wylocie tunelu stała kapitan Coleen Petty, dowódca ich kompanii. Jej ludzkie ciało kończyło się teraz poniżej żeber, przechodząc w ogromny tułów skolopendry uzbrojony w rzędy szponów. Uniosła się niczym kobra gotowa do ataku, wysoka na ponad trzy metry.

– Wszyscy jesteście zdrajcami! – zaskrzeczał stwór. – Zniszczyliście mój statek! Zostawiliście mnie na pastwę wjiców! Zrobiliście ze mnie to!

Hybryda rzuciła się naprzód, siekąc szponami.

Żołnierze otwarli ogień.

Kule przeszły kapitan Petty – a przynajmniej to, czym się stała. Podziurawiły jej ciało skolopendry, tak jak i ludzkie, ale wciąż nacierała, wymachując szponami, krzycząc mimo potrzaskanej szczęki.

– Zdrajcy! Zdrajcy! Zdraj...

Porucznik Ben-Ari wystrzeliła ostatni ładunek plazmy i kapitan Petty zapłonęła żywym ogniem. Stwór krzyczał, topił się, zwijał w płomieniach. Petty upadła na podłogę. Spojrzała spomiędzy języków ognia, nagle wyglądając na przerażoną i skrzywdzoną.

– Pomocy – wyszeptała. – Pomóżcie mi. Nie wiem, czym jestem. Pomóż mi, Ben-Ari. Proszę...

Płomienie pochłoneły ją, trawiąc jej kości.

Z tunelu za nimi, z nor, przez które się czołgali, dobiegł wrzask wielu stworzeń.

– Nadciąga więcej wjiców! – oznajmiła Osiris.

– Biegnijcie do tunelu po drugiej stronie! – powiedziała Ben-Ari. – Kemi, prowadź! *Biegiem!*



ROZDZIAŁ 22

Kemi popędziła tunelem, a pozostali podążyli za nią, pozostawiając w tyle rozszarpane zwłoki Singha. Jako ostatni biegł Marco; zdążył jeszcze zobaczyć, jak do sali królowej wpadają wijce – całe setki. Odpiął granat i cisnął go za siebie, czując na plecach podmuch wybuchu. Rzucił w stronę sali jeszcze jeden granat, a wtedy tunel zawalił się za nim. Żołnierze biegli dalej.

– Tędy! – zawołała Kemi. – Winda jest tylko parę kilometrów stąd!

Pędzili przed siebie, przesywając kulami każde stworzenie, jakie się do nich zbliżyło – wijca czy hybrydę. Biegli w górę tunelami, przez kopalnie, wzdłuż torów, uciekając od całej grozy kosmosu, od śmierci, od tego koszmaru, bólu, widoków, których już nigdy nie będzie im dane zapomnieć, które na zawsze pozostawią ślad w ich psychice. Lailani powiedziałyby, że uciekają z piekła. Biegli, aż dotarli do szybu, a tam! Marco już ją widział: kabina windy!

Wpadli do środka. Wznosili się wspólnymi siłami, coraz wyżej i wyżej, podczas gdy wijce w dole skrzeczały i skakały za unoszącą się klatką.

Podczas gdy Addy i Elvis kręcili korbą, Marco zrzucił granaty w dół szybu. Wybuchy wstrząsały kopalnią, kołysały klatką, wzniecały płomienie. Podłoga kabiny zasypana była odłamkami. Wijce w dole krzyczały i dalej ścigały windę wzbierającą falą; Marco cisnął kolejne granaty. Buchnął ogień, wkoło posypały się kamienie i metal.

Ostatni granat zrzucił, kiedy pozostało im jeszcze do pokonania trzydzieści metrów.

Wijce wciąż wrzeszczały w dole, wspinając się po ścianach szybu.

– Ktoś ma jeszcze naboje? – zawołał.

– Zostały nam dwa magazynki, ale potrzebujemy ich, żeby przedrzeć się do statku! – odpowiedziała Ben-Ari.

– Ostrza w ruch – mruknęła Addy, nasadzając bagnet.

Marco również zamocował swój, podobnie jak Lailani i Elvis. Kemi nie miała bagnetu, ale wzięła od Addy nóż bojowy.

Wijce skakały z dołu, chwytając się prętów klatki. Żołnierze dźgali je, starając się trafić w przerwy pomiędzy segmentami twardego egzoszkieletu, aby zranić skryte pod nim ciało. Jedna skolopendra potoczyła się w dół, pchnięta bagnetem poniżej głowy, niemal wyrrywając

przy tym karabin z rąk Marco; inna wygięła pręty i dostała się do środka, ale Lailani i Addy rozpruły ją swoimi ostrzami.

Wreszcie dotarli na górę. Wypadli z klatki, wybiegając z powrotem w ruiny miasta. Wokół nich wznosiły się mroczne, postrzępione sylwetki opuszczonych wież, a w górze kłębiła się czerwona powierzchnia Indrani, przesłaniając niemal całe niebo. Wijce były wszędzie. Pełzały po ścianach i dachach, przemykały ulicami, wynurzały się z kanałów.

– Biegiem! – krzyknęła Ben-Ari.

Nie trzeba im było zachęty. Pognali przez miasto, wystrzeliwując ostatnie zachowanie naboje, aby odeprzeć wijce. Ruiny drżały, ściany waliły się. Jedna z wież pękła i runęła na niższe budynki, burząc je i wzniecając tumany pyłu. Wraz ze śmiercią królowej tysiące skolopendr ruszyły na powierzchnię, aby pogrzebać miasto. Cały Corpus się rozpadał.

Na żołnierzy posypał się grad cegieł, bębniąc im o hełmy i obijając ramiona. Lailani krzyknęła i upadła; trafiły w nią kolejne cegły, a jeden z wjwców złapał ją za nogę. Marco dźgnął go bagnetem, po czym uniósł Lailani, zarzucił ją sobie na ramiona i popędził za pozostałymi, przebiegając z prawa na lewo pomiędzy walącymi się budynkami. Ulice pękały, odsłaniając kolejne skolopendry. Marco przeskoczył nad wyrwą i pobiegł dalej, z całych sił trzymając Lailani, nie wiedząc, czy ta w ogóle jeszcze żyje.

Kiedy dotarli na wzgórze, zdążyli już zużyć wszystkie naboje. Mrowie wjwców pędziło za nimi po czarnym gruncie.

Przed sobą widzieli już cel – OSOL *Miyari*.

Obudowa silnika została podłączona na nowo, ale wciąż była ciemna i zimna. Bez eterytowego serca, które Marco niósł w plecaku, okręt nigdzie nie poleci.

Tylna śluza *Miyari* rozsunała się, rampa uderzyła o ziemię. Major Mwarabu stanął w wejściu z granatnikiem w rękach. Po obu jego stronach pojawiło się dwoje członków załogi, również uzbrojonych w wyrzutnie. Cała trójka wystrzeliła. Granaty poszybowały łukiem nad biegnącymi żołnierzami i uderzyły w ścigające ich wijce. Eksplozje zatrzęsły wzgórzami, posypały się odłamki egzoszkieletów. Marco krzyknął, gdy gorące, ostre fragmenty poraniły mu plecy. Niemal upadł, ale zdołał biec dalej, niosąc Lailani, ścigany wrzaskami tysięcy wjwców. Kapral Kikucik biegł tuż przy nim z krwawiącą raną na boku.

– Tutaj, szybko! – wołał Mwarabu, machając ręką.

Ben-Ari jako pierwsza wpadła na podkład, wzięła od Mwarabu pistolet, przyklękła i zaczęła strzelać do wjwców. Jeden z pocisków świsnął Marco koło ucha; chłopak krzyknął, a gdy dotknął małżowiny palcami, poczuł wilgoć krwi. Biegł dalej, dopadł do rampy i wspiął się do hangaru, gdzie położył Lailani na podłodze. Krwawiła z kilku ran ciętych, ale wciąż żyła. Pozostali ocaleni z misji – Kemi, Addy, Osiris i Elvis – również wbiegli po rampie, a ostatni, szczerkając, dołączył do nich Kapral Kikucik.

Rampa zaczęła się unosić. Kilka wjwców zdołało pochwycić krawędź i dostać się do hangaru. Mwarabu i jego załoga otwarli ogień. Zabili kilka stworów, ale jeden wijec rzucił

się na Mwarabu i wbił szpony w jego pierś. Major, dowódca *Miyari*, krzyknął i upadł, gdy kosmita wyrwał mu serce. Pozostałe wijce rzuciły się na innych członków załogi i rozszarpały ich, obryzgując hangar krwią. Marco i jego towarzysze zaczęli strzelać do stworów; fragmenty ciał poleciały na wszystkie strony. Kadłub wygiął się pod ciosami rzucających się na niego wijców – najpierw tylko kilku, potem całych setek i tysięcy. *Miyari* zakołysała się.

– Cholera, dopadły już rannych, których tu zostawiliśmy! – zawołała Addy, cofając się do hangaru z korytarza. – Walczyli przez cały czas, kiedy nas nie było.

– Nie mamy pilotów! – krzyknął Marco, spoglądając na zwłoki Mwarabu i jego załogi.

– Potrafię kierować statkiem, panie – odezwała się Osiris. – Czy mogę prosić o eterytowe serce?

Marco skinął głową i wyciągnął serce z plecaka, ale zawahał się. Przeszło mu przez myśl, czy to nie Osiris była sabotażystką, która rozbiła poprzednie. Przypomniał sobie, co Ben-Ari powiedziała w sali królowej.

„Naczelne dowództwo wiedziało o tym miejscu – pomyślał. – Musiało wiedzieć, skoro trwa to już od lat. Ten koszmar rozgrywał się za ich przyzwoleniem. To nie jest tylko robota wijców. Czy Osiris wie coś, o czym nam nie mówi?”

Ale był zmuszony na razie zaufać androidowi. Co innego mogli zrobić? Wręczył Osiris serce.

– Osiris, napraw silnik i zabierz nas z tego księżyca – powiedziała Ben-Ari. – Tak szybko, jak to tylko możliwe. Kadłub już długo nie wytrzyma. Cała reszta niech idzie za mną do wieżyczek strzelniczych. Będziemy odpiierać wijce, dopóki Osiris nie skończy.

Wszyscy wybiegli z hangaru. Lailani dawała radę kuśtykać, wsparta o Marco, a Kikucik truchtał za nimi. Podczas gdy Osiris pospieszyła z sercem na dół, do maszynowni, Ben-Ari i pozostali wojownicy zmierzali na górę. Biegli mrocznymi korytarzami rozkołysanego statku, a wijce skrzeczały na zewnątrz i rzucały się na kadłub, tworząc kolejne wgniecenia.

– Po tej drabinie, a potem się rozdzielamy – poleciła Ben-Ari. – Na szczycie *Miyari* jest sześć wieżyczek strzelniczych, odstających jak sześcioro oczu.

Sześć wieżyczek. Sześcioro ocalałych żołnierzy. Wspięli się po drabinie na samą górę statku, gdzie szkliste tunele rozwidlały się w sześć odnóg niczym kandelabr. Ben-Ari, Kemi i Lailani pobiegły na lewo, a Marco, Elvis oraz Addy na prawo.

Miyari wydała z siebie pomruk. Wraz z odzyskanym zasilaniem w korytarzach zapalały się światła; silniki krztusiły się i warczały.

Marco dotarł do przezroczystej, kwarcowej kopuły odstającej od powierzchni kadłuba. Wystawało z niej działo. Złapał znajdujący się we wnętrzu kopuły uchwyt, szarpnął z całej siły w prawo i wycelował w nadbiegające z dołu wijce. Przez szybę widział, jak Addy i Elvis wchodzą do swoich wieżyczek. Wijce były wszędzie, tysiącami wpełzając z ruin miasta jak szczury z tonącego statku.

Okręt trząsał się i rząził. Marco wystrzelił z działa.

Ładunek plazmy uderzył w ziemię, rozdzierając wijce na kawałki i wyrzucając je w powietrze. Szpony posypały się na statek, pozostawiając wgniecenia w kadłubie. Działa strzelały z hukiem, wybijając dziury w powierzchni Corpusa oraz w kłębowisku wrogich istot. Wciąż jednak nadbiegały kolejne, wciąż wspinały się na statek. Kilka pomknęło w stronę wieżyczek, uderzając szponami w kwarcowe kopuły. Na szybie przed Marco pojawiło się cienkie jak włos pęknięcie.

Pomruk silnika przerodził się w warkot.

Okręt zaczął się unosić, wzniecając tumany kurzu, dymu i pary.

Buchnął ogień.

Miyari wystrzeliła w górę.

Płomienie huczały, a pęd powietrza ciskał w wieżyczkę strzelniczą kłębami pyłu. Wijec oderwał się od szyby i stoczył prosto w ogień. Wzdłuż całego statku obcy ześlizgiwali się, drapiąc szponami w ostatnich, rozpaczliwych próbach utrzymania się na powierzchni, aż w końcu odrywali się i spadali na powierzchnię księżyca.

Okręt z klekotem unosił się w coraz wyższe warstwy atmosfery. Drobne pęknięcie na szybie powiększyło się. Z tej wysokości ruiny wydawały się takie małe; wieże wyglądały jak igły, a rój wijców jak niewielka kałuża. W końcu wylecieli z atmosfery w przestrzeń kosmiczną. Corpus, skalisty księżyc, i Indrani, gazowy olbrzym spowity wirującymi, czerwonymi obłokami, wypełniały niemal całe pole widzenia, ale w oddali Marco dostrzegł cieniutki skrawek usianej gwiazdami czerni. Odetchnął z ulgą.

„Żyję. Addy żyje. Lailani żyje. Kemi żyje. – Zdał sobie sprawę, że cały drży. – Części z nas się udało. Przetrwaliśmy”.

Miał już wyjść z wieżyczki, kiedy z głośników dobiegł głos Osiris, rozbrzmiewając donośnie po całym okręcie.

– Mamy kłopoty! – oznajmił android. – Wrogie statki nadlatują ze wszystkich stron.

Cholera.

Zobaczył je. Z powierzchni planety wznosiły się fioletowe, mięsiste kule, zbudowane nie z metalu, lecz z twardego, organicznego materiału, który wijce same wydzielały, a potem świadomie kształtowały. Podczas gdy ludzie doskonale operowali tworzywem sztucznym, *scolopendra titania* były mistrzami bioinżynierii, nawet statki kosmiczne budującymi z żywej tkanki, utwardzonej kości i skorupy; żywe okręty, pokryte żyłami, pulsujące, spowite wieńcami płomieni.

Marco pociągnął za spust, a działa wypluło strumień plazmy. Widoczne przed nimi statki wijców rozpięchły się. Marco pociągnął działa w bok, uniósł lufę i znów wystrzelił. Kokpit zatrzęsał się, a uchwyt zadrżał mu w rękach, gdy plazma trysnęła szerokim strumieniem. Wrogi statek próbował uciec, ale dosięgnęły go płomienie. Napuchł i popękał, a kolejny ładunek plazmy rozbił go na kawałki. Skolopendry wysypały się ze środka

i podryfowały w przestrzeń. *Miyari* pochyliła się i obróciła, ukazując w polu widzenia jeszcze tuzin obcych statków zmierzających w ich kierunku. Działa strzelały strumieniami plazmy, trafiając okręty wroga. Odłamki egzoszkieletów i statków unosiły się w przestrzeni, uderzały o *Miyari*. Z innej części pokładu Marco słyszał tryumfalne okrzyki Addy.

Nadciągnęły kolejne statki wjwców, gnając przed siebie. Działa wystrzeliły. Jeden z wrogich pojazdów pomknął przez przestrzeń, unikając ognia z dział, i uderzył o *Miyari*. Okręt zatrząsł się tak gwałtownie, że Marco o mało nie upadł. Wjwce wylały się z pękniętego statku, uderzając szponami o kadłub. Marco opuścił dział tak nisko, jak tylko był w stanie i spalił stwory ładunkiem plazmy. *Miyari* podskoczyła, gdy uderzył w nią kolejny okręt wjwców. Dym i ogień wypełniły korytarze. Marco wciąż strzelał, niszcząc nadlatujące statki.

Pozostały jeszcze trzy pojazdy wjwców. Strzał z działa Addy wyeliminował jeden z nich, a dwa kolejne rzuciły się naprzód, szybkimi zwrotami omijając plazmę. *Miyari* uniosła się wyżej, opadła i odwróciła do góry nogami. Powierzchnia Corpusa rozciągała się teraz nad głową Marco, a czerwone burze Indrani wirowały pod nim. Dwa statki wjwców pędziły w jego stronę.

Wypalił. Jeden statek eksplodował, zasypując odłamkami drugi. Strumienie wystrzeliły z trzech dział; *Miyari* zakręciła i plazma utworzyła w przestrzeni pierścień ognia. Ostatni statek wjwców próbował ich dosięgnąć, przeleciał przez plazmę i stopił się. W kadłub uderzył rozerwany na tysiąc rozpalonych fragmentów.

Miyari unosiła się w przestrzeni.

Ostatnie niedobitki skolopendr dryfowały wokół niej, po czym spadały z powrotem na powierzchnię Corpusa.

Marco odetchnął z ulgą.

Opuścił wieżyczkę, zszedł po drabinie i spotkał się ze swoimi towarzyszami w białym korytarzu. Spojrzeli na niego. Jego przyjaciele. Ci, którzy ocaleli. Byli zakrwawieni, poowijani bandażami, wysmarowani brudem, a ich mundury wisały w strzępach. Sześcioro ocalałych – siedmioro, jeśli liczyć przebywającą na mostku Osiris. Marco podszedł do swoich towarzyszy i wszyscy objęli się nawzajem, śmiejąc się i płacząc. Trwali tak przez dłuższą chwilę. Nie było już porucznik i jej żołnierzy; w tej chwili prawie w ogóle nie byli żołnierzami. Byli ludźmi. Żyli. Przetrwali tam, gdzie dwustu poległo.

Ben-Ari odetchnęła głęboko.

– Od najbliższego centrum dowodzenia SOL dzielą nas lata świetlne – powiedziała. – Jako najwyższy stopniem żołnierz na pokładzie autoryzuję zaprzestanie eksploatacji kopalni w Corpus City. Innymi słowy, wysadzimy całe to przekłete miejsce. Słyszałaś, Osiris?

– Tak, pani oficer – odpowiedział android przez głośniki.

Marco i jego przyjaciele pokuśtykali korytarzem, aż znaleźli iluminator. Stanęli razem, wpatrzeni w przestrzeń, podziwiając, jak strumienie światła padają z *Miyari* na powierzchnię Corpusa. Światłne obłoki rozciągnęły się nad ruinami miasta jak rozjaśnione piorunami

chmury, jak plamy akwareli, z tej wysokości niemal piękne. Jeden wybuch. Drugi. Trzeci. Dziesięć eksplozji, jedna po drugiej, pulsujące, zalewające księżyc światłem, zanim znów zatonął w mroku. Nie było już miasta. Nie było już wyców. Wszystkie potwory, cały ból i zło tam, w dole – zniknęły.

„Ale nie to, co nosimy w sobie – pomyślał Marco, odwracając się od szyby. – Nie koszmary. Nie wspomnienia. One pozostaną z nami na zawsze”.

Jeszcze raz objął swoich przyjaciół. Stali razem w korytarzu, podczas gdy *Miyari* unosiła się nad gruzami.



ROZDZIAŁ 23

Leżeli w ambulatorium. Sześcioro wojowników, sześcioro ocalałych – ostatnich, którzy pozostali z całej kompanii. Medyk zginął na Corpusie, wraz z niemal dwustoma innymi żołnierzami, musieli zatem sami oczyścić i opatrzyć swoje rany, a nawet pozszywać te głębsze. Sześcioro spośród dwustu. Sześcioro pozostałych przy życiu.

Porucznik Ben-Ari, z blond włosami zabrudzonymi krwią i nieobecny, udreńczonym spojrzeniem. Szeregowy Benny „Elvis” Ray, teraz bez piosenki na ustach. Kadet Kemi Abasi, wciąż otulona kocem, z ciałem posiniaczonym w miejscach, gdzie podłączone były rurki wyciów. Addy „Hokeistka” Linden, kiedyś hałaśliwa i obcesowa, teraz milcząca, ze spuszczoną głową i zaczerwienionymi oczami. Lailani „Mini” de la Rosa, dziewczyna, która przeżyła jedno piekło, tylko po to, aby przetrwać kolejne.

„I ja – pomyślał Marco. – Spośród dwustu żołnierzy, to właśnie ja – syn bibliotekarza – siedzę tu wśród ocalałych. Czym zasłużyłem sobie na życie, kiedy tak wielu poległo?”

Obandażowany, wyglądał przez okno. OSOL *Miyari* krążył po orbicie gazowego olbrzyma Indrani, czekając, aż rozgrzeją się silniki nadprzestrzenne. Na zewnątrz wirowała przeplatana pomarańczowymi i żółtymi plamami czerwien burz szalejących nad planetą dwa razy większą od Jowisza, pozbawioną stałej powierzchni. Czerwony bóg. Jego księżyc, Corpus, z tego miejsca wyglądający jak mała, czarna kulka, unosił się ospale w zabarwionej jego krwawym blaskiem przestrzeni.

„Wspomnienia tego miejsca już zawsze będą mnie dręczyć – pomyślał Marco. – Nigdy nie zapomnimy, co się tu wydarzyło, co tutaj widzieliśmy, kogo straciliśmy”.

Głos Osiris dobiegł z głośników, przerywając panującą w ambulatorium ciszę.

– Jedna godzina do skoku w nadprzestrzeń. Szacowana długość podróży do Przyczołku Nightwall na granicy: osiemnaście dni i trzy godziny.

Elvis siedział na łóżku, wpatrzony w iluminator.

– Nie wiem jak wy, ale ja nie mogę się już doczekać, żeby wynieść się z tej piekielnej dziury raz na zawsze.

– Nigdy tu nie wracajmy – powiedziała Addy.

Podczas gdy Osiris odliczała minuty, Kemi wstała z łóżka. Owinięta kocem, podeszła do

iluminatora, położyła dłoń na szybie i wbiła wzrok w burzliwą powierzchnię gazowego olbrzyma, skąpana w czerwonej poświacie planety. Powoli odwróciła się twarzą do nich; spojrzenie miała nieobecne, jakby wpatrywała się w jakiś inny świat.

– Nie możemy stąd odlecieć – szepnęła.

– Co? – Elvis zerwał się z łóżka. – Chcesz powiedzieć, że nie możemy odlecieć dość szybko.

Na policzku Kemi zalśniła łza.

– Nasza wojna tutaj jeszcze się nie skończyła. On czeka. – Jej głos przycichł, przechodząc w drżący szept. – Patrzy.

Marco podszedł do niej. Ledwie go zauważyła.

– Kto taki, Kemi? – zapytał. – Kto na nas patrzy?

Z powrotem odwróciła się do okna.

– Czai się w burzy, na planecie Indrani. Kiedy byłam uwięziona w świecie snów, połączona z rojem, widziałam go. Płynęłam przez umysły jego dzieci, a on nas strzegł, obserwował. Wciąż nas obserwuje. – Wyciągnęła rękę i chwyciła Marco, zaciskając dłonie na jego ramionach, wbijając mu paznokcie w skórę. – Zabiliśmy jego dzieci, Marco. Zabiliśmy jego oblubienicę. Teraz planuje zemstę. Jeśli go nie powstrzymamy, zaleje kosmos swoim złem. Rozpęta najprawdziwsze piekło.

– Kto taki, Kemi? – zapytał Marco szeptem, czując, jak wstrząsają nim dreszcze.

Przez jej usta przemknął obłąkany uśmiech.

– Rój wjwców ma nie tylko królową, ale też króla. – Wskazała gazowego olbrzyma na zewnątrz. – A on czeka właśnie tam, planuje swoją zemstę pośród burzy. – Głos jej się załamał, oczy wypełniło przerażenie. – On jest ucieleśnieniem zła. Czystym okrucieństwem. Musimy go zabić. – Jej głos znów nabrał mocy. – Nie możemy odejść, pozostawiając go przy życiu. Musimy go zabić, albo nigdy nie da nam spokoju.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli, spoglądając po sobie. W ambulatorium jakby powiało chłodem. Nawet Ben-Ari zdawała się zaniepokojona.

W końcu Elvis odchrząknął.

– W porządku! Dobrze. Okej, nie ma problemu. Podlecimy trochę bliżej Indrani, poczekamy, żeby zobaczyć, gdzie lata ten król wjwców i spuścimy sukinsynowi na łeb atomówkę. Nie powinno zająć więcej niż godzinę, co? Potem będziemy mogli lecieć. Nie trzeba już wchodzić do żadnych kopalni ani nic, prawda?

Porucznik Ben-Ari podeszła do kadetki w potarganym mundurze, z obandażowanymi kończynami i karabinem plazmowym przewieszonym przez plecy.

– Kemi, przybyliśmy tu z misją ratunkową, ponieważ odebraliśmy wezwanie pomocy. Ale spóźniliśmy się. Straciliśmy tak wielu ludzi. Starcie z królem wjwców nie jest celem naszej misji. – Wyjrzała przez iluminator na Corpus unoszący się na tle gazowego olbrzyma. W jej głosie brzmiała udręka. – Nigdy nie powinnam była was tu sprowadzać.

– Einav – powiedziała Kemi cicho, naruszając protokół i zwracając się do porucznik po imieniu. – Mamy tylko jedną misję: wszędzie toczyć walkę z wijcami. Wszędzie je zabijać. – Zaciśnęła dłonie w pięści, a głos jej zdrzął. – Nikt z was nie ma nawet pojęcia, jakie zło naprawdę w nich tkwi. Ich mózgi są nim przeżarte. Oddychają nim, pielęgnują je – zło w najczystszej postaci, istnienie tylko po to, aby krzywdzić innych. – Krew odpłynęła jej z dłoni w miejscach, gdzie wbijała sobie paznokcie w skórę. – Stwórz na tej planecie... to nie cesarz, nie najwyższy przywódca imperium wijców, ale był królem ula, który zniszczyliśmy, i jego wściekłość nie zna granic. Jeśli go tu zostawimy, stworzy sobie nową oblubienicę z własnego ciała, odbuduje swoją armię i ruszy z odwetem na Ziemię. Ale teraz jest słaby. Teraz możemy go unicestwić.

– W takim razie wrócimy, prowadząc ze sobą posiłki – powiedziała Ben-Ari. – Z flotą stu okrętów i...

– Wtedy będzie za późno – odparła Kemi. – On już szykuje się, by wydać potomstwo. Musimy zabić go teraz. Musimy. Musimy. – Upadła na kolana. – Nie wyobrażacie sobie, jaki on jest okrutny. Ja słyszałam jego głos w swojej głowie. Szydł ze mnie, nękał mnie. Wciąż słyszę to brzęczenie. – Ośłoniła uszy dłońmi. – Musimy sprawić, że ucichnie.

Wszyscy wyjrzeni na czerwoną planetę, kilkakrotnie przerastającą rozmiarami Ziemię.

Addy westchnęła.

– Dobra, chuj z tym. Jeden robał więcej do rozgniecenia, co to za różnica?

Lailani położyła dłoń na broni.

– Wchodzę w to.

– Wszystkich was pogięło – stwierdził Elvis. – Ale dobra! Jedno ostatnie polowanie przed lotem na granicę. Jak w ogóle mamy znaleźć tego króla wijców?

– Frunie przez burzę – odparła Kemi. – Poprowadzę nas do niego. – Spojrzenie jej stwardniało. – A wtedy wystrzelimy z wszystkich dział na tym statku i uwolnimy od niego kosmos.

* * * * *

Stali na mostku *Miyari*, w sali w kształcie półokręgu z oknami ciągnącymi się od podłogi po sufit, zapewniającymi im panoramiczny widok na burze szalejące na Indrani. Lecieli teraz zaledwie tysiąc kilometrów od kłębiącej się zawieruchy.

– W porządku, żołnierze, słuchajcie – zaczęła Ben-Ari. – Wykorzystaliśmy cały arsenał nuklearny na kopalnie z Corpusa, ale wciąż mamy do dyspozycji działa plazmowe. Osiris poprowadzi statek przez burzę zgodnie z instrukcjami Kemi, tropiąc króla wijców. Cała reszta będzie czekać w gotowości przy działach. Kiedy zobaczymy króla, spalimy go. Wszystko jasne?

– Tak, pani oficer! – zawołali i znowu poczuli się jak na szkoleniu podstawowym, jak

prawdziwe wojsko. Wszystko zdawało się normalne, mieli poczucie, że panują nad sytuacją. Dodało to Marco otuchy.

– Pani oficer? – zapytał Elvis. – Czy ktoś w ogóle wie, jak wygląda król wjcwów? Czy to po prostu jakiś wielki robal latający wśród burzy?

Wszyscy zwrócili się do Kemi. Miała na sobie zapasowy mundur Addy, sprany strój żołnierza poborowego, a nie biały uniform kadeta, ale i tak było to lepsze niż spodnie z dresu i koc.

– Kiedy byłam połączona z rojem, raczej czułam rzeczy, niż je widziałam – powiedziała. – Wyczuwałam je przez zmysły, których ludzie nie posiadają. Wijce przekazują swoje myśli, koncepcje i uczucia za pomocą feromonów, i komunikują się wszystkie naraz, całymi tysiącami. To jak stać pośrodku lasu pełnego zapachów. Przede wszystkim jednak wyczuwałam *jego*. Króla. Obserwował, kontrolował, rozkazywał. Indrani to gazowy olbrzym. Nie ma stałej powierzchni, na której można by stanąć, tylko mnóstwo wirujących chmur, jedna wielka burza unosząca się w przestrzeni, nic więcej. A pośród tej burzy czułam obecność istoty kolosalnych rozmiarów, wypełniającej ją, wynurzającej się z niej, naginającej ją do swojej woli; świadomości zamkniętej w egzozkiecie. Więc... tak, w pewnym sensie jest to wielki robal latający wśród burzy.

– Ekstra – stwierdził Elvis. – A my będziemy przednią szybą, na której się rozpaćka.

Ben-Ari skinęła głową.

– No dobrze, żołnierze. Obniżamy lot. Kiedy wlecimy w burzę, trochę nami zatrzęsie. Wszyscy do dział! Będziemy mieć dobry widok z wieżyczek i pozostaniemy w kontakcie przez komunikatory. – Spojrzała na nich z powagą. – Powodzenia, wojownicy z Ziemi.

Zasalutowali i opuścili mostek, pozostawiając Osiris i Kemi, aby kierowały statkiem. Przeszli korytarzami, wspięli się na drabiny i ponownie zajęli pozycje w sześciu wieżyczkach strzelniczych sterujących z *Miyari*. Marco wybrał to samo działko, co poprzednio, i wyjrzał przez kokpit na zbliżającą się burzę. Czuł się, jakby leciał prosto w lawę w samych czeluściach piekieł. Ze swojej pozycji miał widok na wszystkie strony. W innych wieżyczkach widział swoich towarzyszy, a silniki *Miyari* lśniły jasnym błękitem, kiedy statek opadał w stronę ogromnej planety.

Marco zmrużył oczy, wypatrując potwora. Jak miał cokolwiek tu dojrzeć? Indrani była większa niż wszystkie planety Układu Słonecznego razem wzięte. Na jej powierzchni wirowały burzowe chmury, czerwone, żółte i białe, każda z nich większa od Ziemi, a ogromne pasma kotłującej się umbrzy i szkarłatu opływały ją niczym rwące rzeki. Gdy zniżyli lot i weszli w pierwszą warstwę atmosfery, *Miyari* zaczęła się trząść. Załatali ryse w kokpicie wieżyczki płynnym kwarcem, ale Marco zaczynał się obawiać, że szyba pęknie znowu. Statkiem zatelepało tak mocno, że Marco z trudem utrzymał uchwyt działka.

Wlecieli w burzę.

Wokół nich przepływały czerwone i pomarańczowe wiry. Chmury chłostały okręt, który

wciąż kołysał się i trząsał. W gęstej jak zupa atmosferze Marco ledwie był w stanie dostrzec pozostałe wieżyczki. Czuł się, jakby lecieli przez kadź czerwono-żółtej farby.

W jego słuchawce rozległ się głos Kemi.

– Jest jeszcze daleko. Kryje się dużo głębiej.

– Trzymaj się, Kemi – powiedział Marco do mikrofonu. – Dopadniemy tego sukinsyna.

W słuchawce zatrzeszczało, po czym dobiegł z niej głos Addy.

– Poeta znowu zaklął!

– Cicho, żołnierze – upomniwała ich Ben-Ari.

Opadali coraz niżej pośród szalejącej burzy. Uderzył z nich podmuch wiatru. *Miyari* była wielka jak blok mieszkalny, ale ten podmuch z łatwością cisnął nią w bok; obróciła się trzy razy, zanim wyrównała lot i ruszyła dalej naprzód. Marco wciąż rozglądał się po niebie w poszukiwaniu wroga. Wiatr rozwiewał dookoła plamy koloru; z każdym podmuchał Marco zdawało się, że widzi wijca, ale zawsze okazywało się, że to tylko cień albo ciemniejszy obłok.

– Czuję go – wyszeptwała Kemi zduszonym głosem. – Patrzy na mnie. Wie, że tu jestem. Marco...

– Jestem przy tobie, Kemi – odpowiedział, chociaż znajdował się sto metrów od niej w wieżycze strzelniczej. – Jestem tutaj, gotowy usmażyć drania. Bądź silna. Jestem z tobą.

– Tak jak my wszyscy – dodała Lailani, a Marco zobaczył, jak spogląda na niego z innej wieżyczki, pięćdziesiąt metrów dalej. – Wszyscy jesteśmy z tobą, Kemi.

Marco chciałby naprawdę być teraz przy Kemi, wziąć ją w ramiona i pocieszyć, rozmawiać z nią twarzą w twarz, a nie tylko przez komunikator. Ale miał w tej chwili ważniejsze zadanie – upiec tego przeklętego króla wijców. Nachylił się do przodu, mrużąc oczy, szukając go wzrokiem. Słyszał teraz odgłosy burzy, nawet przez grubą kwarcową kopułę. Pomrukiwała jak żywe stworzenie, warczała, szeptała, dudniła. Nagle Marco odniósł dziwne wrażenie, że sama planeta żyje, że to mściwe bóstwo, które zaraz połknie ich i strawi. Zanurzali się coraz głębiej, a burza wokół nasilała się w gęstniejącym mroku. Włączyły się reflektory *Miyari*, przenikając promieniami szkarłatne chmury.

– Jest tutaj – powiedziała Kemi drżącym głosem. – O Boże. O Boże. Jest tutaj. Jest tutaj. Zna moje imię.

Marco wbił wzrok przed siebie. Niczego nie dostrzegł.

– Kemi, gdzie...

Urwał.

Czarny ogon przepłynął przez burzę, po czym zniknął za szkarłatnymi obłokami.

Marco odetchnął gwałtownie. Z tego miejsca nie dało się dobrze ocenić wielkości, ale mógłby przysiąc, że tamten ogon był *ogromny*, wielki niczym autobus. *Miyari* puściła się w pogoń, przecinając światłami szalejącą burzę. Wyrównali poziom. Silniki rzucały błękitną poświatę na mijane chmury. Stwór zniknął. Okręt leciał dalej, a dokoła unosiły się czerwone

wiry, ale nic poza tym. Nic, tylko burza.

– Nie ma go? – zapytał Marco. – Uciekł? Czy...

Ściana czerni.

Ryk grzmotu.

Statek przechylił się, a Marco z całych sił przytrzymał się działa, żeby nie upaść.

– Uderzył w nas! – dobiegł z głośników głos Osiris.

– Gdzie on jest? – krzyczała Ben-Ari. – Osiris, obróć nas w jego stronę!

Okręt zaczął wirować jak oszalały. Wypluł strugę błękitnych płomieni, zdołał się wyprostować i ruszyć naprzód. Wziął szeroki zakręt, zanurkował, zwrócił się ku gorze i...

Spadł na nich potężny, czarny kształt, większy niż statek. Poruszał się tak szybko, że Marco zdołał dostrzec jedynie smugę połyskującej czerni. Znów uderzyło w nich coś ogromnego, wgniatając kadłub, i polecieli przez burzę jak liść na wietrze. Addy i Lailani obie strzelały z działa, ale plazma trafiała tylko w chmury.

– Osiris, skręć w jego stronę, do diabła! – wołała Ben-Ari ze swojej wieżyczki.

– Nie mogę, pani oficer, jest za szybki! – odpowiedział android z mostka.

– Obróć nas do niego, ty cholerna kupo złomu, albo już po nas! – krzyknął Elvis.

Okręt wzniósł się wyżej. Kiedy Marco spojrział w dół, zobaczył, jak z chmur wyłaniają się ogromne czarne palce zakończone szponami. Poczul ucisk w piersi. Szpony wydawały się dość duże, by zgnieść *Miyari*. Statek pomknął przed siebie, po czym obrócił się przodem do istoty w dole.

Obcy wynurzył się z burzy.

Marco zapało dech w piersi.

– Ja pierdolę – szepnęła Addy.

Król wjwców był ogromny – większy niż *Miyari*. Obok królowej wjwców wyglądałby jak karaluch przy mrówce. Nie był skolopendrą, jak jego pomiot; przypominał raczej jakieś wielkie stworzenie z głębin morza, czarne i lśniące, z trzema parami odnóży zakończonych szponami oraz kolczastym ogonem, którym kręcił i wymachiwał. Jego głowa była ciężka, pokryta twardymi płytami, a paszczę wypełniały mu zęby przypominające filary budynków. Zaskrzeczał tak głośno, że Marco skulił się i o mało nie puścił działa, żeby osłonić uszy.

Z głośników statku dobiegł głos, cichy jak szept, niemal nieludzki. Marco go nie rozpoznał.

– Panie...

– Ognia! – krzyknęła Ben-Ari. – Zabić go!

Marco pociągnął za spust.

Działo zachrypiało – i nic więcej.

Z lufy nie popłynęła plazma.

W pozostałych wieżyczkach było tak samo.

– Nie ma plazmy! – zawołała Addy.

Z głośników dobiegł głos Osiris.

– Dopływ plazmy został wyłączony! Na dole, na pokładzie czwartym...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, jedna z potężnych dłoni króla wujców trafiła statek.

Zatrzęsło, jakby wpadła na nich góra.

Pokoziółkowali przez niebo. Marco nie zdołał utrzymać się działa i wyrznął głową w kokpit, a potem uderzył udem o podłogę. Na zewnątrz szalała burza. Król wujców znów zawisł nad nimi. Marco zdążył jeszcze zobaczyć, jak jego ogon przecina niebo, zanim uderzył w okręt z całą mocą boskiej furii.

– Uszkodzenie kadłuba na poziomie trzecim! – zameldowała Osiris. – Tracimy powietrze!

– Osiris, potrzebna nam plazma! – zawołała Ben-Ari.

Marco zdołał się podnieść, chwycić działa i jeszcze raz pociągnąć za spust. Bez skutku.

– Pani oficer, dopływ plazmy odcięto! – odparła Osiris. – Ktoś zakręcił zawór. Wykrywam jakąś postać na pokładzie czwartym, w sekcji b, zaraz przy maszynowni.

– Emery, Ray, słyszycie? – powiedziała Ben-Ari. – Zejdźcie tam i włączcie z powrotem dopływ plazmy!

– Tak, pani oficer! – odpowiedzieli Marco i Elvis. Wyszli ze swoich wieżyczek i puścili się pędem po drabinie, a potem korytarzem. Statek przyjął kolejny cios; upadli, podnieśli się i pobiegli dalej. Posypały się iskry. Wysiadło zasilanie; biegli teraz po ciemku.

– Statek się rozpada! – krzyknęła do nich Addy przez komunikator. – Potrzebujemy tej plazmy!

– Osiris, wycofaj się, zabierz nas stąd! – rozkazała Ben-Ari.

– Nie mogę się wycofać, pani oficer – odparł android. – Trzyma nas!

Marco i Elvis gnali po rozchwanym pokładzie, co chwila upadając, pędem pokonywali schody i drabiny.

– Osiris, czego właściwie szukam? – zawołał Marco do komunikatora, biegnąc w stronę maszynowni.

W słuchawce rozległ się głos androida.

– Zobaczysz dwie czerwone rury wystające z ogromnego zbiornika. Mój panel kontrolny pokazuje, że zawór został zakręcony. Odkręć go z powrotem, żeby przywrócić dopływ plazmy do dział.

– Zakręcony? – zapytał Marco. – Nie uszkodzony w...

Statek znów się zatrząsł i Marco poleciał na ścianę. Słyszał go. Słyszał króla ryczącego na zewnątrz. Kadłub wygiął się w miejscu, gdzie szpony uderzyły o metal, zaledwie metr czy dwa od Marco.

– Odczyty wskazują, że zbiornik i rury wciąż działają, panie – powiedziała Osiris. – Trzeba tylko odkręcić zawór. Sugeruję pośpiech, panie.

Zawór – zakręcony. Sabotażysta.

Marco zaklął i pobiegł dalej.

– Pieprzone wijce na pokładzie – powiedział Elvis, biegnący tuż za nim. – To muszą być one. Szykuj się, żeby nafaszerować te sukinsyny łożem.

Dotarli do drzwi maszynowni. Były okrągłe, wykute z niebieskiego metalu i wyższe od nich.

– Wyglądają jak wejście do nory Bilba – zauważył Marco.

– Jakiego znowu Billa? – zapytał Elvis.

– Nieważne. – Marco złapał za sterzącą z drzwi korbę. – Pomóż mi.

Wspólnie zakręcili kołem i ciężkie, niebieskie drzwi się otwały. Weszli do maszynowni, rozległej hali pełnej rur, srebrzystych silników, tłoków wyższych od człowieka i obracających się kół, z których sterczało mnóstwo kabli. Zewsząd otaczały ich panele kontrolne, na których diody to gasły, to zapalały się z powrotem, to znów gasły. Uruchomiło się awaryjne zasilanie i pomieszczenie wypełniało przyćmione światło.

– Widzisz jakieś czerwone rury? – zapytał Elvis.

Zagłębili się pomiędzy maszyny. Wokół nich srebrzyste tłoki unosiły się i opadały z brzękiem. Przed sobą mieli trzy turbiny wielkie jak samochody, jarzące się niebieskim blaskiem. Maszynownia zatrzęsa się, a silniki zamarły na moment, po czym znów ożyły.

– Rozrywa nas na kawałki! – zawołała Ben-Ari przez komunikator. – Potrzebujemy tej plazmy, żołnierze!

– Tam! – Elvis wskazał dłonią. – Czerwone rury.

Pobiegli między tłokami, zatrzymali się na moment, po czym przeskoczyli nad wyrwą pełną prętów, między którymi trzeszczały wyładowania elektryczne. Tam – Marco zobaczył je w rozbłyskach elektryczności i blasku silników: dwie czerwone rury biegły od generatora do sufitu. W miejscu, gdzie stykały się ze zbiornikiem, dostrzegł zawór.

– Widzę go – powiedział, biegnąc wraz z Elvisem w stronę generatora plazmy. – Odkręcimy go z...

Z cienia wynurzyła się postać i stanęła im na drodze.

– Nie.

Marco i Elvis wyhamowali z poślizgiem.

Pomiędzy nimi a generatorem stała Lailani.

Elvis odetchnął z ulgą.

– Niech cię, de la Rosa, napędziłaś mi stracha. Pomóż nam włączyć to cholerstwo z powrotem.

Lailani nie poruszyła się. Gdy otwarła usta, jej głos zadudnił. Niski. Głęboki. Gardłowy.

– Nie.

– Co z tobą, do cholery? – zapytał Elvis, próbując ją ominąć.

Lailani uśmiechnęła się.

Jej ręka wystrzeliła naprzód.

Z opuszków jej palców wysunęły się szpony. Przebiła Elvisa dłonią na wylot, ściskając

w rękę jego ociekające krwią serce.

Marco zamarł w bezruchu z szeroko otwartymi oczami.

Boże, nie, Boże, nie, Boże, nie.

Szyja Lailani zaskrzypiała, gdy dziewczyna zwróciła głowę w jego stronę. Uśmiechnęła się szerzej. Wypuściła serce Elvisa, a potem wyciągnęła rękę z jego ciała. Obydwa z płaskim upadły na podłogę.

– Cześć, Marco – powiedziała.

Nie. Nie. To musi być zły sen. To nie może się dziać naprawdę. To musi być sen.

Statek zatrząsł się z grzechotem. Ben-Ari krzyczała coś przez komunikator. Ciosy wgniatały kadłub, jedna z turbin przestała działać. Marco upadł na kolana i spojrzał na leżącego Elvisa. Jego przyjaciel wpatrywał się w sufit szklistym wzrokiem.

Z powrotem spojrzał na Lailani. Kręciło mu się w głowie. Ledwie był w stanie oddychać, a tym bardziej mówić.

– Kim ty jesteś? – wyszeptał.

Lailani zlizwała krew ze szponów. Każdy z nich był długi niczym sztylet.

– Znasz nas. – Jej głos brzmiał niemożliwie nisko, jak głos demona. – Zabijałeś nas na pustyni. Mordowałeś nasze dzieci i żony w kopalni. Teraz będziesz nas czcił. Teraz do nas dołączysz. To my. Panowie. Prastarzy. Ci, którzy powstają.

– Wijce – szepnął Marco, klęcząc w kałuży krwi, wpatrzony w Lailani. Podniósł się na nogi i złapał karabin. – Zostawcie ją! Wynoście się z jej ciała! – krzyczał ochrypłym głosem. Oczy miał wilgotne. – Weźcie mnie zamiast niej. Zostawcie Lailani!

Zaśmiała się głębokim, dudniącym śmiechem, który nie mógł się wydobywać z tak drobnego ciała.

– Zostawić ją? Lailani zawsze była jedną z nas. Zawsze byliśmy w jej wnętrzu. To my zapłodniliśmy tę dziwkę, jej matkę. To my kryliśmy się w niej przez całe dzieciństwo, utrzymując jej kruche ciało przy życiu. To my złamaliśmy jej duszę. To nas starała się odpędzić, podcinając sobie żyły, to my wciąż ratowaliśmy jej życie, tak wiele razy wyrywając ją z objęć śmierci. Zginęła w Forcie Dżamila, przygnieciona na piasku dźwigany ciężarem, a my daliśmy jej nowe życie. – Stwory tkwiące w Lailani znów się roześmiały. – Zawsze była naszą niewolnicą. Zawsze nosiła w sobie duszę Panów, czekając na rozkazy... czekając, aby stać się naszym żołnierzem. A teraz ten żołnierz zabija.

Marco wpatrywał się w nią, zszokowany. Rozpaczał nad Elvisem. Rozpaczał nad tym, czym stała się Lailani. W uszach dźwięczał mu dudniący wrzask, jak ryk silników odrzutowca. Serce waliło mu w piersi. Stał wpatrzony, a kosmos wokół niego rozpadał się na kawałki.

– To byłaś ty – wyszeptał. – Sabotażystka. To ty poluzowałaś śruby przy silnikach i rozbiłaś eterytowe serce. To ty zrzuciłaś kabinę windy. Ty zakręciłaś dopływ plazmy.

Lailani wyciągnęła rękę i pogłaskała go szponami po policzku. Drapały jego krótki zarost

jak żyletki.

– Mój miły, słodki kochanku. – Zasycała. Jej kły wydłużyły się, a oczy zaśniły czerwonym blaskiem. – To ludzkie ciało z przyjemnością pieprzyło się z tobą. Teraz będziemy spółkować jako stawonogi. Staniesz się jednym z nas. Dołączysz do roju.

Chwyciła Marco za gardło i z niewiarygodną siłą wbiła mu stopę w rzepkę. Usłyszał dźwięk łamanej kości, poczuł ból palący jak dziesięć tysięcy rozpalonych słońc. Próbował krzyknąć, ale ucisk na gardle mu to uniemożliwił. Rzuciła go na kolana; zrobiło mu się białe przed oczami, a po policzkach popłynęły mu łzy, gdy zmiażdżona rzepka uderzyła o podłogę. Lailani stała nad nim, podduszając go z uśmiechem na zaciśniętych ustach. Krew płynęła z ran tam, gdzie zacięły go jej szpony.

– Marco! – odezwała się Ben-Ari przez komunikator. – Marco, co...

Lailani zdarła mu hełm z głowy i odrzuciła go na bok. Głosy dobiegające ze słuchawki zamilkły. Wolną ręką uderzyła w panel kontrolny. Okrągłe, niebieskie drzwi po drugiej stronie maszynowni zamknęły się z trzaskiem, a koło na nich obróciło się, blokując wejście. Lailani znów spojrzała na Marco, nadal trzymając jego gardło w uścisku.

– Przekażę ci ten dar – wyszeptała, pochylając się nad nim. Nie mógł wprost uwierzyć, jaka była silna. – Dar moich feromonów. Moich panów. Mojego roju. Dołącz do nas. Stań się jednym z nas. Będziemy kopulować. Stworzymy nasz własny rój.

Przysunęła się bliżej, rozchyłając usta, jakby chciała go pocałować. Ślina pociekła jej po kłach.

Marco odwrócił głowę, usiłując coś powiedzieć, wyrwać się z uścisku jej szponów. Złapał za nie, kalecząc sobie palce.

– Lailani – wyszeptał ochryple. – Lailani, to nie jesteś ty. Walcz z tym. Oprzyj się im.

Uśmiechnęła się drwiąco i ścisnęła mocniej, ucinając kolejne słowa. Obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

– To zawsze byłam ja! Ty głupcze. Zawsze należałam do roju. Kiedy się ze mną pieprzyłeś, pieprzyłeś pomiot wjiców. – Zaśmiała się. – Wy żałośni ludzie. Przez cały czas tam byłam, u waszego boku, a wy niczego nie podejrzewaliście, wy...

– Nie! – Marco zdołał oderwać od swojego gardła jeden szpon i zaczerpnąć tchu. Krew spłynęła mu po palcach. – Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to ta część ciebie była zagrzebana gdzieś głęboko. Panowałaś nad nią. Wciąż możesz to robić. Jesteś człowiekiem, Lailani! – Jego głos był tylko ochryplym szeptem. – Byłaś człowiekiem, kiedy walczyłaś z wjcami u mojego boku. Byłaś człowiekiem, kiedy cię obejmowałem i całowałem. Kiedy mnie kochałaś. Kocham cię, Lailani. Kocham cię. Jesteś człowiekiem. Nie musisz być im posłuszna.

Usłyszał pięści walące w drzwi maszynowni i głos wołającej go Ben-Ari. Okręt kołysał się gwałtownie, a potężne szpony wciąż uderzały o kadłub. Druga z trzech turbin się wyłączyła. Marco wciąż klęczał, trzymany za szyję przez Lailani. Łzy płynęły jej po

policzkach.

– Nigdy nie byłam człowiekiem – wyszeptała, a jej głos brzmiał teraz tak, jak zawsze. Wysoki. Łagodny. Pełen strachu. – Zawsze byłam popsuta. Nigdy nie wiedziałam, nie rozumiałam, dlaczego byłam inna. Marco. Czuję je w sobie. Ja... – Jej głos znów się obniżył, a oczy rozświetlił czerwony blask. Jeszcze raz nachyliła się do pocałunku; z ust ciekła jej ślina. – Teraz zostaniesz zarażony, człowieku. Niedługo będziemy razem na zawsze, jako samiec i samica z roju.

Oczy zaczęły mu się wywracać do środka głowy. Nie mógł oddychać. Pocałowała go. Jej ślina wlała się do jego ust, gorąca i mdląco słodka, wypełniając go esencją roju. Ul wjiców otworzył się przed nim. Widział je. Były ich miliony. Rozległa sieć tuneli pełnych larw, ogromna inteligencja roju i *on*, górujący nad wszystkimi – władca, cesarz. Wzywał go, witał w swoim królestwie, a Marco pomknął ku niemu przez ciemność i...

Zakaszła, wypluwając wstrętny płyn. Lailani odskoczyła, sycząc ze złości. Zacisnęła mu wolną rękę na piersi, przebijając szponami skórę i rozrywając mięśnie. Krzyknął.

– Lailani – wyszeptał, czując, że traci przytomność. Ledwie ją widział; dookoła rozlewały się cienie. – Kofam cię.

Szpony wypuściły go z uścisku. Upadł na plecy, rozpaczliwie łapiąc powietrze, a każdy oddech ciął jego gardło jak piła. Ciemność odpłynęła. Podparł się łokciami i uniósł na jedno kolano. Lailani stała przed nim we łzach, cała dygocząc. Wokół nich statek kołysał się, a po kadłubie rozchodziły się pęknięcia. Na zewnątrz król wjiców śmiał się donośnym, chrapliwym śmiechem przypominającym pomruk burzy.

– Boję się – powiedziała Lailani. – Pomocy. Pomóż mi, Marco. Pomóż mi. – Wyciągnęła ku niemu rękę. – Kofam cię. – Zaśmiała się przez łzy. – To boli. To tak strasznie boli. Tak bardzo się boję.

Marco podciągnął się w jej stronę i wziął ją za rękę, choć kaleczyły go ostre szpony.

– Lailani, pamiętasz, jak leżeliśmy razem w namiocie i spędzaliśmy całą noc w swoich objęciach? To było prawdziwe. To było prawdziwe, Lailani. To właśnie prawdziwa ty.

– Jestem skażona – wyszeptała, płacząc. – Mój ojciec nie był żołnierzem. Stworzyły mnie wijce. Jestem potworem.

– Nie obchodzi mnie to – odparł Marco. – Jesteś Lailani. Jesteś osobą, którą kocham.

Wziął ją w objęcia. Opierała się. Krzyczała. Rozciąła mu skórę szponami i wygięła plecy w łuk, wyjąc, szczerząc ociekające śliną kły. Wstrząsały nią drgawki. Wykrzykiwała okropne rzeczy, obiecując, że go złamie, że ludzkość zostanie rozniesiona w proch, a on stanie się jednym z wynaturzonych stworzeń, jakie widzieli w kopalniach. Mimo to nie wypuszczał jej z objęć i nie przestawał szeptać jej do ucha. Kocham cię. Kocham cię.

Jej ciało zwiotczało. Poczuł, że drży.

– Pomóż mi – wyszeptała. – Nie zostawiaj mnie.

Trzymał ją w ramionach, gładząc jej włosy zakrwawionymi palcami, aż jej szpony

z powrotem wsunęły się w dłonie, a kły skryły w dziąsłach. Zamknęła oczy i straciła przytomność w jego objęciach.

Położył ją na podłodze obok zwłok Elvisa. Spała; jej pierś unosiła się i opadała, a po szponach nie było ani śladu. Powlókł się naprzód. Statek podskoczył, a Marco upadł, ponownie objijając sobie zmiażdżone kolano, i z trudem zachował przytomność. Poczłogał się. Z leżącego kawałek dalej hełmu dobiegł go krzyk Addy:

– Rozrywa nas na strzępy!

Dotarł do generatora plazmy, wysokiego metalowego zbiornika. Chwycił się go i podciągnął w górę; z rozcięć na rękach ciekła krew. Złapał zawór, plamiąc go czerwienią, i krzywiąc się zaczął obracać. Wskaźniki na generatorze zaślniły, podobnie jak czerwone rury, gdy popłynęły nimi płomienie.

– Wracamy do gry! – rozległ się z hełmu głos Addy. – Żryj ogień!

Płomienie buchnęły z trzaskiem. Rozgrzany generator parzył Marco, palił jego dłonie i mundur. Chłopak odskoczył i upadł na podłogę. Z zewnątrz dobiegały go ryki króla wijców. Przez odległy, okrągły iluminator widać było strumienie plazmy, wirujące niczym burzowe chmury w atmosferze planety, zalewające ciemny kształt. Potem przez chwilę widział tylko czerni, a następnie unoszące się w przestrzeni światła. Wyciągnął rękę, znalazł dłoń Lailani i ścisnął ją mocno. Leżeli jedno obok drugiego; oczy mu się zamknęły, a statek kołysał ich oboje i byli jak rozbitkowie dryfujący po mrocznym morzu, mający nad sobą nieskończony przestwór gwiazd.



ROZDZIAŁ 24

Dryfował po morzu.

Bez końca unosił się i opadał, unosił się i opadał na falach pod gwiazdzistym niebem.

Prąd wyrzucił go na zimny brzeg, gdzie pobiegł przez noc po śniegu, uciekając przed potworami, podczas gdy z nieba jedna za drugą spadały komety. Dotarł do swojej matki akurat, kiedy insekty się nią pożywiały. Potem czołgał się w labiryncie, szukając wyjścia; wkoło rozbrzmiewał śmiech, a tysiąc oczu wpatrywał się w niego.

– Lailani – zawołał we śnie, szukając jej w tunelach. Odpowiedziała mu bolesnym krzykiem. Śmiała się. Płakała. Odnalazł ją w wielkiej, lśniącej sali, nabrzmiałą do rozmiarów statku kosmicznego. Jej nagie, wilgotne ciało składało jaja. Pocałowała go.

– Kofam cię – szepnęła, tnąc go szponami, podczas gdy wokół kłębiła się chmara insektów. – Popatrz na nasze dzieci.

Marco otworzył oczy.

Wpatrywał się w biały sufit. Dzwoniło mu w uszach, ale przez ten dźwięk przebijał się cichy pomruk silników. Wszystko go bolało, jednak ból zdawał się jakby nieostry, zakopany gdzieś głęboko. Skupienie wzroku i obrócenie głowy kosztowało go sporo wysiłku.

Był w ambulatorium *Miyari*. Obok niego stały monitory, stojak z kroplówką i nieduży stolik, a przez iluminator widać było smugi gwiazdznego światła w nadprzestrzeni.

„Odlecieliśmy z Indrani – pomyślał. – Żyję. Ktoś z nas przeżył”.

Odwrócił głowę i zobaczył obok siebie Osiris, uśmiechającą się zaciśniętymi ustami. Spłoszony, o mało nie wyskoczył z łóżka.

– Dzień dobry, panie – powiedział android.

Serce Marco biło jak oszalałe.

– Dzień dobry, Osiris. Nie wiedziałem, że tu jesteś.

– Statkiem kieruje autopilot, panie. Na czas lotu przejęłam obowiązki medyka, podobnie jak pilota, a także wszystkie pozostałe. – Przekrzywiła głowę. – Zostałeś ranny. Kiedy porucznik Ben-Ari cię znalazła, twoje ciało pokrywały rany cięte, a kolano było połamane. Ponadto, czy wiedziałeś, że jeden z twoich bębenków słuchowych był przebity, a kość w tym samym uchu pokruszona?

Nie zaskoczyło go to, biorąc pod uwagę dzwoniące w uszach. Najwyraźniej nie da się przetrwać bitwy pełnej wybuchających granatów i świstających kul bez żadnego uszczerbku na słuchu. Spojrzał w dół na swoje ciało i zobaczył, że jest całe obandażowane; bandaż zakrywał też jego lewe ucho.

– Mam w pamięci wiele książek medycznych – powiedziała Osiris. – Zastąpiłam twoją rzepkę protezą z utwardzonego kwarcu i założyłam szwy na twoje rany. Wymieniłam nawet złamaną kość w uchu na syntetyczną i zaszyłam błonę bębenkową za pomocą małych narzędzi chirurgicznych. Odzyskasz pełnię zdrowia, ale przez długi czas będzie ci doskwierał ból. Kiedy spałeś, regularnie podawałam środki przeciwbólowe i...

– Jak długo już tu leżę? – Usiadł na łóżku. – Gdzie jest Lailani? Co z całą resztą?

Skręciło go w żołądku, kiedy powróciły wspomnienia. Lailani wysuwająca szpony i wbijająca je w jego ciało. Lailani – tylko w połowie człowiek, umieszczona w łonie swojej matki jako agent wjerców. Lailani zabijająca Elvisa. Marco wciąż miał mętlik w głowie.

– Lailani przebywa w celi, panie – odparła Osiris. – Po obejrzeniu nagrania z kamery bezpieczeństwa, porucznik Ben-Ari kazała ją uwięzić, dopóki nie dotrzemy do celu za osiemnaście dni. Jeśli chodzi o pozostałe pytania, spałeś piętnaście godzin, a cała reszta jest na mostku. – Przybrała ponury wyraz twarzy. – Mam ci do powiedzenia coś jeszcze.

To nie brzmiało dobrze.

– Co takiego? – zapytał, czując ucisk w żołądku.

– Koń przyszedł do baru. Barman zapytał go, z czego tak rzy. To zabawne, bo konie nie chadzają do barów. Piją z koryta.

– Osiris. – Marco wyciągnął rękę, aby dotknąć jej zimnej dłoni. – Przepraszam. Na początku, kiedy cię poznałem, nie ufałem ci. Mogłem być dla ciebie miłszy.

– Zawsze byłeś bardzo uprzejmy, panie. Wiem, że nie zawsze działałam prawidłowo. Mam dopiero kilka miesięcy i często popełniam błędy, ale wciąż uczę się i rozwijam. Czy chciałbyś usłyszeć jeszcze jeden dowcip?

– Chciałbym zobaczyć się z przyjaciółmi – odparł Marco cichym głosem. – I z Lailani.

Odpiął kroplówkę i chwiejnie wstał z łóżka. Miał na sobie tylko bokserki, a jego munduru nie było w zasięgu wzroku, więc złapał koc i owinał go sobie wokół ramion. Wyszedł z ambulatorium i ruszył korytarzami *Miyari*. Wokoło panowała niesamowita cisza, w której nawet szuranie jego bosych stóp zdawało się hałaśliwe. Kiedy po raz pierwszy wszedł na pokład tego okrętu, wypełniały go setki żołnierzy; teraz zdawał się opuszczony. Jeden pusty kubryk za drugim, opuszczona hala mesy, opustoszała kaplica. Odnalazł mostek – półkoliste pomieszczenie na dziobie statku, gdzie okna ukazywały panoramę nadprzestrzeni.

Tam byli jego przyjaciele.

„Moja rodzina”.

Ocalałe z Corpusa stały jedna koło drugiej, wpatrzone w ciemność. Porucznik Ben-Ari, wciąż w swoim starym mundurze, z karabinem plazmowym przewieszonym przez plecy.

Obok niej Addy, wysoka, cała w sińcach i zadrapaniach, a dalej Kemi, z czarnymi lokami spływającymi wzdłuż pleców. Cała trójka stała w milczeniu.

„Ostatni spośród nas – pomyślał Marco. – Tylko my przeżyliśmy”. – I wtedy poczuł, jak strata przyjaciół – Szajby, Jaskiniowca, Szeryfa, Singha, Diaza, Bestii, Elvisa, wszystkich pozostałych – przytłacza go ciężarem nie do uniesienia.

„Do diabła z tą wojną. – Zapiekły go oczy. – Do diabła. Do diabła. Do diabła”.

Musiał wydać jakiś dźwięk, bo cała trójka odwróciła się, zobaczyła go i pobiegła w jego stronę.

Objęły go. Stali we czwórkę bez słowa, spleceni w uścisku.

– Już po wszystkim – wyszeptała Kemi. – Po wszystkim. Po wszystkim.

Ale Marco wiedział, że nie jest po wszystkim. Podziemny labirynt pozostanie w jego pamięci, martwi przyjaciele nie wrócą do życia, a koszmary wciąż będą go dręczyć. Opuścił Corpus, ale Corpus nigdy nie opuści jego, a ta bitwa już zawsze będzie się toczyć w jego wnętrzu – we wnętrzu ich wszystkich.

„Może czas uleczy rany na moim ciele – pomyślał. – Może któregoś dnia pokonamy potwory. Ale ran i potworów, które noszę w sobie, nie da się uleczyć ani zabić”.

– Marco. – Porucznik Ben-Ari położyła mu dłoń na policzku, spojrzała na niego łagodnie i powiedziała schrypniętym głosem: – Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam. To ja wybrałam cię do tej misji. Ja poprowadziłam was do kopalni. Tak mi przykro.

Marco pokręcił głową.

– Pani oficer, jestem dumny, że podążyłem tu za panią, że wciąż za panią podążam. Prowadziła nas pani z odwagą. To zaszczyt służyć pod pani dowództwem, uczyć się od pani, walczyć u pani boku.

– Pokonaliśmy je – powiedziała Addy. – Pokonaliśmy te cholerne wijce. Straciliśmy tak wielu ludzi, ale wygraliśmy.

Jednak Marco nie czuł się, jakby odniósł zwycięstwo. Nie, kiedy zabrakło tu Elvisa. Nie bez Diaza, Singha, Bestii i wszystkich pozostałych. Nie, kiedy Kemi została tak bardzo skrzywdzona, a Lailani siedziała w celi. Nie w ten sposób.

„Być może na wojnie nikt nie wygrywa – pomyślał. – Może nawet ci, którzy zwyciężają w boju, tracą swoje dusze. Niektórzy wracają z wojny jako ciała w workach, inni paradując jako zwycięzcy, ale i jedni, i drudzy wracają martwi”.

– Co teraz, pani oficer? – zapytał.

Ben-Ari odwróciła się do okien otaczających mostek i wbiła wzrok w nadprzestrzeń.

– Nasza wojna jeszcze się nie skończyła. Wciąż nie dotarliśmy do granicy. Będziemy kontynuować naszą misję. Polecimy na linię frontu, gdzie toczy się walka pomiędzy ludźmi i wjcamami. Wygraliśmy jedną bitwę. Zniszczyliśmy jeden ul. Jeden przywódca wjczów został zgładzony. W kosmosie wciąż pozostały jednak setki uli, a cesarz wjczów włada nimi wszystkimi. – Porucznik z powrotem odwróciła się do żołnierzy. – Ta wojna nie skończy się,

dopóki nie upadnie sama ojczyzna wjców.

Marco pomyślał o tym, co odkryli na Corpusie – że wjce miały go w posiadaniu od czterech lat. Z pewnością ktoś w Chrysopoeia Corp, albo nawet w SOL, musiał o tym wiedzieć, jednak zachował to w tajemnicy i pozwolił Corpusowi gnić.

„Wiedzieli” – powiedziała Ben-Ari w kopalni.

Marco wzdrygnął się. Być może na granicy insekty nie będą ich jedynymi wrogami.

Wyrzał w kosmos. Granica. Dzieliło ich od niej jeszcze wiele lat świetlnych. Gdzieś tam, w ciemności, czekała go największa bitwa. Gdzieś tam, niemożliwie daleko stąd, była ojczysta planeta wroga. Linia frontu. Wojna, która mogła spopielić wszechświat.

– W takim razie zmierzmy się z nimi – powiedział. – Pokonamy je. Nawet, jeśli przypłacimy to życiem.

„Bo na Ziemi nie ma już dla mnie życia – dodał w myślach. – Ponieważ już jestem martwy”.

Czworo żołnierzy stało razem, wpatrując się w ciemność.

* * * * *

Porucznik Ben-Ari siedziała samotnie na łóżku ze spuszczoną głową, gładząc trzymaną na kolanach przeszkloną ramę i patrząc na zgromadzone w niej medale.

Medale jej przodków. Wszystkich oficerów z jej rodziny. Dziedzictwo wielu pokoleń, poczynając od strasznych czasów drugiej wojny światowej dwieście lat temu. Ciężar, który dźwigała na swoich ramionach. Jej duma, a zarazem jarzmo. Oczekiwania, od których nie mogła się uwolnić.

– Jak wy to znosiliście? – wyszeptała, a jej łzy rozprysnęły się o szkło. – Jak dawaliście radę żyć dalej, straciwszy tak wiele, po tym, jak musieliście patrzeć, jak wasi żołnierze – wasi towarzysze i towarzyszki broni – giną pod waszym dowództwem?

Żałowała, że nie może z nimi porozmawiać. Ze swoim przodkiem, który walczył przeciwko nazistom i stracił całą swoją rodzinę. Z jego synem i wnukiem, którzy toczyli boje w pustynnym żarze. Ze swoim dziadkiem, który walczył z wjcami w czasach Katakliizmu, kiedy świat płonął. Chciałaby, żeby wsparli ją swoją mądrością i wskazali jej drogę, bo choć przewodziła swoim żołnierzom, Ben-Ari czuła się samotna i zagubiona. Ona również potrzebowała mentora. Jednak duchy jej krewnych milczały.

„Muszę być silna – pomyślała. – Dla Marco. Dla Addy. Dla Kemi. Dla Lailani”.

Medale. Medale z tak wielu wojen. Ben-Ari nie wybrała dla siebie takiego życia. Przyszła na świat w bazie wojskowej, w rodzinie pozbawionej domu i narodu. Urodziła się, aby zostać oficerem i prowadzić żołnierzy do boju. Aby cierpieć stratę. Aby zabijać. Aby umrzeć. Wiedziała, że zginie na tej wojnie, że już zbyt wiele razy wymykała się śmierci. Wiedziała, że nie było jej pisane rodzinne ciepło, macierzyństwo, spokój.

– Mam nadzieję, że jesteście ze mnie dumni, moi przodkowie – powiedziała, wyglądając przez iluminator. – Bo ja nie znajduję tu żadnego powodu do dumy. Boję się. Jestem taka samotna. Chcę wrócić do domu, ale nie wiem nawet, gdzie jest mój dom, jeśli w ogóle jakiś mam poza polem bitwy.

Położyła się na łóżku. Jej żołnierze dzielili ze sobą kubryk, mieli jakieś towarzystwo na tym poobijanym, pustym statku. Ona jednak była ich oficerem i dzielił ich nieprzekraczalny dystans. Leżała więc samotnie w ciemności, wpatrując się w sufit, a sen nie nadchodził.

* * * * *

– Marco – powiedziała Kemi – kiedy dotrzemy do Przyczółku Nightwall, poszukam statku, który zawiezie mnie z powrotem na Ziemię.

Siedzieli w kantynie na *Miyari*, tej samej, w której stał zakurzony automat Kapitana Kawiarza i stolik, przy którym grali w pokera. Pomieszczenie było małe i zagracone, ale w tej chwili zdawało się ziać pustką, choć wypełniało je tak wiele wspomnień.

– Rozumiem – odparł Marco. – Od początku wiedzieliśmy, że to nie potrwa długo.

Kemi wyjrzała przez iluminator. Przez długą chwilę milczała, aż w końcu odezwała się cichym głosem:

– Byłam głupia. Liczyłam na przygodę, a znalazłam tylko grozę. W ciemności jest tak wiele zła, tak wiele cierpienia.

Marco objął ją.

– Przykro mi, Kemi.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Myślałam też, że między nami znów będzie jak dawniej. Ale to niemożliwe, Marco. Zmieniliśmy się. – Znów wyjrzała na zewnątrz. – Ludzie, którymi byliśmy, para zakochanych nastolatków... oni zginęli na Corpusie. Może nasze ciała przetrwały, ale osoby, którymi byliśmy, leżą martwe na tamtym księżycu.

– Wiem – powiedział.

Kemi otarła łzy i posłała mu drżący uśmiech.

– Może któregoś dnia powrócę w kosmos, do ciebie. Ale jeszcze nie teraz. Teraz muszę wrócić do akademii. Muszę się uczyć. Muszę dojść do siebie po tym wszystkim, co się stało, i po tym, co zaszło między nami.

– Kocham cię, Kemi – powiedział Marco. – Zawsze będę cię kochał. Nawet, jeśli się rozstaniemy. Nawet, jeśli już nigdy nie będziemy razem. Kocham cię.

Przytuliła go mocno. Stali razem przed iluminatorem, a na zewnątrz przemykały gwiazdy.

– Ja też cię kocham – wyszeptała. – Żegnaj. Tym razem naprawdę.

– Hej, do rozstania w Nightwall zostało nam jeszcze siedemnaście dni drogi. – Uśmiechnął się i żartobliwie stuknął ją w ramię. – Jeszcze się nie żegnamy.

Ale jej łzy wciąż płynęły.

– Żegnamy się. Ona na ciebie czeka. Idź do niej, Marco. Ona cię potrzebuje i będzie cię potrzebować przez wiele następnych dni. Żegnaj. – Pocałowała go w usta. – Żegnaj.

Zostawiła go samego w kantynie. Pozostał tam przez długi czas, sam w niewielkim pomieszczeniu, myśląc o Kemi i o tych, których stracił. Nigdy dotąd nie czuł się tak samotny, tak bezradny, tak zagubiony w ciemności. W końcu wyszedł i ruszył mrocznym labiryntem korytarzy. Poszedł do niej.

Areszt był mały, jeszcze mniejszy niż kantyna. Addy pilnowała zamkniętych drzwi z karabinem w ręku. Spojrzała na Marco, skinęła głową bez słowa i wpuściła go do środka, po czym zamknęła drzwi za nim.

Stał w wąskim, białym pomieszczeniu, wpatrując się w Lailani.

Leżała przywiązana do łóżka, pogrążona we śnie. Wyglądała tak spokojnie i wydawała się taka młoda, taka krucha. Jej ścięte na jeża czarne włosy podrosły przez ostatnich kilka tygodni; Marco pogłaskał ją po głowie i po policzku, a potem wziął ją za rękę. Wymruczała coś przez sen, a następnie uniosła nieco powieki. Jej oczy były ciemne. To były oczy, w które Marco wpatrywał się godzinami z zachwytem.

– Marco? – szepnęła.

– Jestem tu, Lailani.

– Czuję się taka słaba. Wbili mi jakąś igłę. To chyba był środek usypiający. – Zamrugła i próbowała się poruszyć, ale bezskutecznie. Jej ręce, nogi i tors były przywiązane pasami do łóżka. – Nie mogę się ruszyć.

Marco skinął głową i powiedział zduszonym głosem:

– To dla twojego bezpieczeństwa.

– Marco... – Szarpnęła za pasy. – Marco, pomóż mi.

Bolało go serce, kiedy widział ją taką zdezorientowaną, próbującą uwolnić się z więzów w tej małej, białej celi. Uwięzioną.

– Pamiętasz, co się stało? – zapytał.

Spojrzała na niego, zbита z tropu, po czym skinęła głową. Łza spłynęła jej po policzku.

– Pamiętam. Boję się, Marco. Czy to wciąż siedzi we mnie?

Skinął głową, nie będąc w stanie powstrzymać łez. Mocno ścisnął jej rękę.

– Naprawimy to. Uleczymy cię, kiedy dotrzemy na granicę. Mają tam najlepszych lekarzy w całym kosmosie. Cokolwiek w tobie siedzi, oni to wydobędą. Wyleczą cię, Lailani.

Zamknęła oczy.

– Mnie się nie da wyleczyć. Taka już jestem, Marco. Byłam taka głupia. Taka głupia. – Załkała. – Jestem potworem.

– Nie. – Potrząsnął głową i pogładził ją po włosach. – Nie, Lailani.

– Skrzywdziłam cię. Zabiłam Elvisa. – Zadrżała. – Tak mi wstyd. Tak bardzo się boję.

– One cię do tego zmusiły – odparł Marco. – Wijcie.

– Wijce mnie spłodziły – wyszeptała, a potem znów otworzyła oczy, z których polały się łzy.
– Pomóż mi, Marco. Proszę, pomóż mi. Wydostań to ze mnie. Nawet teraz słyszę to w sobie.

Na łóżku koło Lailani było akurat dość miejsca dla Marco. Położył się obok niej i pogłaskał ją po policzku, patrząc jej w oczy.

– Pamiętasz, jak kiedyś na szkoleniu Elvis wyniósł w kieszeniach z kantyny te wszystkie torebki dzemu, a one popękały, kiedy czołgaliśmy się pod drutem kolczastym, i Singh myślał, że to Elvis tak się poharatał?

Przytaknęła.

– Pamiętam.

– A pamiętasz, jak Addy i ja znaleźliśmy automat z jedzeniem, jaką mieliśmy ucztę tamtej nocy? Mój Boże. Addy wyżarła chyba pół automatu, ale ty zjadłaś tylko kilka kęsów.

– Byłam najedzona – powiedziała. – I za wolna.

– Ale nic nie przebije jedzenia, które przygotowała dla nas tamta starsza pani w Grecji. Pamiętasz? Podczas tej symulowanej akcji ratunkowej zakradliśmy się do jej ogródka, żeby się odlać, a ona, zamiast nas wyrzucić, nakarmiła nas papryką faszerowaną ryżem, pomidorami i wołowiną.

W końcu na ustach Lailani pojawił się cień uśmiechu.

– To był dobry dzień. Najlepszy. Tak, to był najlepszy dzień mojego życia.

– Lepszy niż niedziele w Forcie Dżamila, kiedy przez cały dzień wylegiwaliśmy się w namiocie, nadzy, trzymając się w objęciach, podczas gdy inni grali na dworze w piłkę?

Teraz uśmiechała się już szeroko, odsłaniając zęby.

– No dobra, tamte dni były jeszcze lepsze.

Marco objął ją ramieniem i pocałował w policzek.

– Spędzimy ze sobą jeszcze wiele dobrych dni. Bo tacy właśnie jesteśmy. Tych dwoje ludzi w namiocie. Tych dwoje ludzi, którzy jedli faszerowane papryki. To my. Tacy zawsze będziemy.

„Obyśmy już nigdy nie zaznali straty – dodał w duchu. – Obyśmy nigdy nie zapomnieli, kim jesteśmy”.

Lailani skinęła głową i oparła się o niego. Leżał przy niej, trzymając ją w objęciach, a na zewnątrz przelatowały smugi gwiazd. *Miyari* mknęła przez przestrzeń, zostawiając niedawny koszmar daleko w tyle, zmierzając ku granicy.

¹ Ang. „Love me tender” – tytuł piosenki Elvisa Presleya [przyp. tłum.].